

GUILLAUME MUSSO

Powrót do miejsca,
w którym wszystko się zaczęło...

ZJAZD ABSOLWENTÓW

ALBATROS

DZIEWCZYNA, KTÓRA ZNIKA W NOCY.

PRZYJACIELE ZWIĄZANI TRAGICZNĄ TAJEMNICĄ.

SEKRET, KTÓRY PRZEZ LATA UDAWAŁO SIĘ UKRYWAĆ...

Riwiera Francuska – zima 1992 roku.

W mroźną noc, gdy kampus liceum zostaje sparaliżowany przez burzę śnieżną, dziewiętnastoletnia Vinca Rockwell, jedna z najzdolniejszych uczennic w szkole, ucieka z nauczycielem filozofii, z którym ma potajemny romans. Dla nastoletniej dziewczyny miłość oznacza wszystko albo nic. Nikt już nigdy jej nie zobaczy.

Riwiera Francuska – wiosna 2017 roku.

Kiedyś nierozłączni Thomas i Maxime – najlepsi przyjaciele Vinki – nie kontaktowali się ze sobą od czasów szkolnych. Spotykają się dopiero na zjeździe absolwentów. Zaraz po nim jeden z budynków szkoły ma zostać wyburzony. Thomas i Maxime wiedzą, że są w nim ukryte zwłoki. I że wkrótce nic już nie stanie na przeszkodzie, by prawda wyszła na jaw.

GUILLAUME MUSSO

Autor piętnastu bestsellerów, od dziewięciu lat nieprzerwanie utrzymujący się na pierwszym miejscu listy najpopularniejszych francuskich pisarzy. Debiutował w 2001 r. thrillerem *Skidamarink*, doskonale przyjętym przez krytykę. Druga powieść, *Potem...*, zainspirowana wypadkiem samochodowym, z którego cudem uszedł z życiem, rozpoczęła jego spektakularną międzynarodową karierę. Łączny nakład jego powieści – przełożonych na 42 języki – przekroczył 35 milionów egzemplarzy. Kluczem do sukcesu Musso jest łączenie wątków miłosnych, kryminalnych i – czasami – fantastycznych, w doskonałym i niemożliwym do naśladowania stylu.

guillaumemusso.com

Tego autora

POTEM...
URATUJ MNIE
BĘDZIESZ TAM?
PONIEWAŻ CIĘ KOCHAM
WRÓCĘ PO CIEBIE
KIM BYŁBYM BEZ CIEBIE?
PAPIEROWA DZIEWCZYNA
TELEFON OD ANIOŁA
7 LAT PÓŹNIEJ...
JUTRO
CENTRAL PARK
TA CHWILA
DZIEWCZYNA Z BROOKLYNU
APARTAMENT W PARYŻU
ZJAZD ABSOLWENTÓW

Tytuł oryginału:
LA JEUNE FILLE ET LA NUIT

Copyright © Calmann-Lévy, 2018
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2019

Polish translation copyright © Joanna Prądyńska 2019

Redakcja: Anna Jaroszek

Zdjęcie na okładce: Dom Ernest L Gomez/Shutterstock.com

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka

ISBN 978-83-8125-747-3

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

Spis treści

Śladami przemytników

Wczoraj i dziś

FOREVER YOUNG

1. Coca-cola cherry
2. Dranie i prymus klasowy
3. Oto co zrobiliśmy
4. Wrota nieszczęścia
5. Ostatnie dni Vinki Rockwell
6. Śnieżny pejzaż

CHŁOPAK INNY NIŻ WSZYSCY

7. Na ulicach Antibes
8. Lato *Wielkiego błękitu*
9. Los róż
10. Na wojennej ścieżce
- Chłopak inny niż wszyscy
11. Co się kryje za tym uśmiechem?
12. Dziewczyny o ognistych włosach

ŚMIERĆ I DZIEWCZYNA

13. Plac Catastrophe
- Fanny
14. Impreza
- Annabelle
15. Najpiękniejsza w szkole
- Annabelle

[16. Noc wciąż na ciebie czeka](#)

[17. Anielski Ogród](#)

[Richard](#)

[18. Noc i dziewczyna](#)

[Epilog. A GDY MINEŁA NOC...](#)

[Przekleństwo posłusznych](#)

[Jean-Christophe](#)

[Oddział położniczy](#)

[Przewidzieć każde niebezpieczeństwo](#)

[Przywilej pisarza](#)

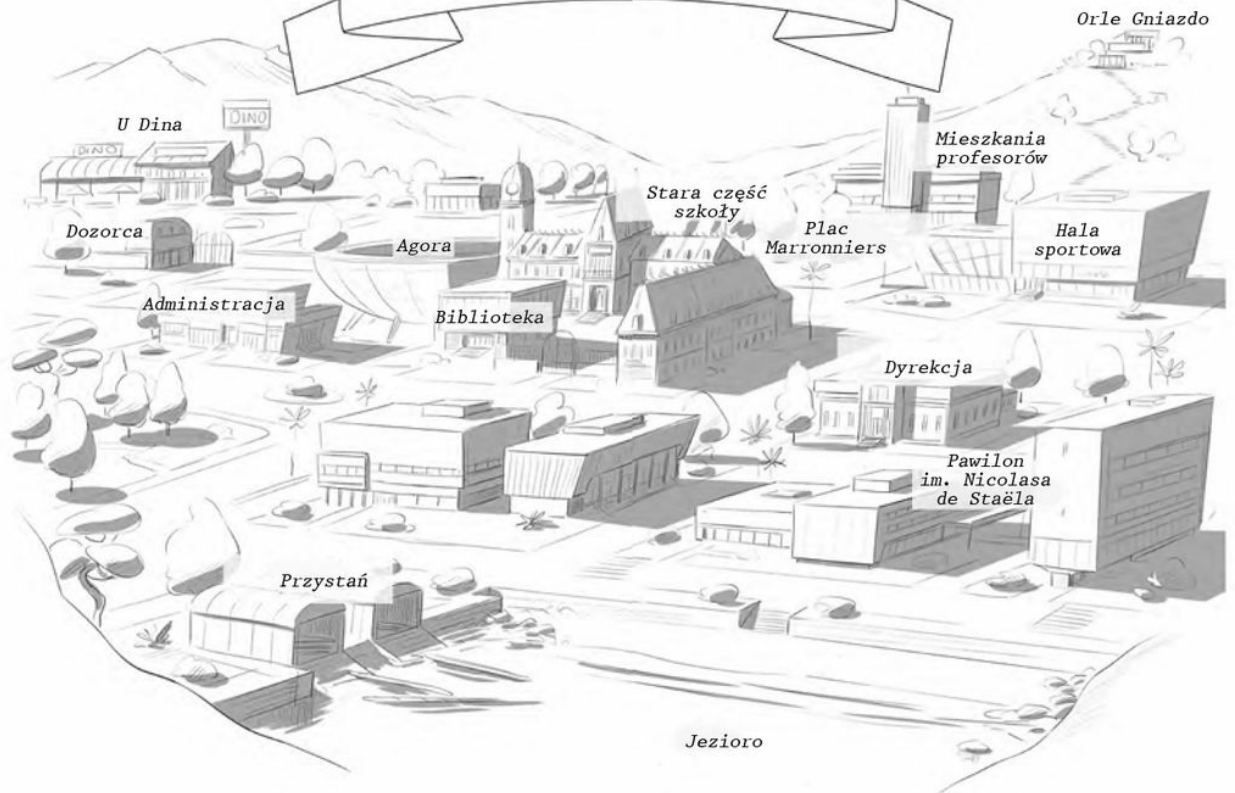
[Co jest fikcją, co – prawdą](#)

[Źródła cytatów](#)

[Przypisy](#)

*Florze,
na pamiątkę tamtej zimy
i rozmów podczas karmienia butelką o czwartej nad ranem...*

PLAN LICEUM SAINT-EXUPÉRY'EGO



*Główny problem z nocą: jak
przez nią przebrnąć?*

Henri Michaux

Śladami przemysłników

DZIEWCZYNA
Obok, ach, obok
Przejdź, szkielecie dziki!
Jestem jeszcze młoda,
Mój kochany, idź!
I nie dotykaj mnie.

ŚMIERĆ
Daj swą dłoń, piękna
I delikatna postaci!
Jestem przyjacielem, Nie
przychodzę karać!
Bądź dobrej myśli,
Nie jestem dziki,
W ramionach mych
Błogo będziesz spać.
Matthias Claudius (1740–1815)
Śmierć i dziewczyna

2017

Południowy kraniec Cap d'Antibes, 13 maja

Strażniczka miejska Manon Agostini dotarła do końca drogi Garoupe i zatrzymała się. Przeklinając w myślach okoliczności, które ją tu sprowadziły, wysiadła ze starego służbowego renault kangoo.

Dochodziła dziewiąta wieczorem, gdy strażnik jednej z tutejszych willi zadzwonił na komisariat w Antibes. Zaniepokoił go dziwny dźwięk, jakby petarda lub strzał z broni palnej, który usłyszał od strony skalistej ścieżki biegnącej wzdłuż parku

posesji. Policjanci podeszli do tego obojętnie; poradzili dozorca, żeby raczej zadzwonił na posterunek straży miejskiej. I padło na nią, mimo że była po dyżurze.

Telefon od szefa odebrała w stroju wieczorowym, gotowa do wyjścia. Szef prosił, żeby pojechała rzucić okiem na nadbrzeżną ścieżkę. Miała ochotę zaproponować mu, żeby się wypchał, ale nie umiała odmówić, tym bardziej że rano pozwolił jej zatrzymać kangoo po pracy. Jej samochód właśnie oddał ducha, a tego wieczoru miała ważne spotkanie i absolutnie potrzebowała środka lokomocji.

Liceum Saint-Exupéry'ego, które ukończyła, obchodziło pięćdziesięciolecie istnienia i dziś wieczorem odbywał się zjazd absolwentów. Manon miała cichą nadzieję natknąć się na pewnego chłopaka, który kiedyś zrobił na niej duże wrażenie. Był inny niż wszyscy, co w tamtym okresie głupio zlekceważyła; wolała od niego starszych, którzy okazali się później kompletnymi durniami. Nadzieja ujrzenia go była irracjonalna. Manon nie wiedziała, czy on w ogóle się pojawi, a poza tym z pewnością o niej zapomniał. Pragnęła jednak, by w końcu w jej życiu wydarzyło się coś interesującego. Manikiur, fryzjer, zakupy – szykowała się całe popołudnie. Wyrzuciła trzysta euro na zakup prostej koronkowej sukienki z granatowego jedwabnego dżerseju, pożyczyła od siostry naszyjnik z pereł, a od najlepszej przyjaciółki parę eleganckich, zamszowych pantofli od Stuarta Weitzmana, które ją cisnęły.

Kuśtykając na wysokich obcasach, poświęciła sobie komórkę i weszła na ponaddwukilometrową ścieżkę biegnącą wzdłuż brzegu aż do willi Eilenroc. Dobrze знаła to miejsce, pełne małych zatoczek. Przyjeżdżali tu z ojcem na ryby, gdy była dzieckiem. Dawniej miejscowi nazywali tę dróżkę szlakiem celników lub przemytników. Później, w czasach przewodników turystycznych, zyskała malowniczą nazwę „ścieżki Tire-Poil”. Dziś była po prostu drogą nadbrzeżną.

Po mniej więcej pięćdziesięciu metrach natknęła się na barierkę z napisem: *Strefa zagrożenia – wejście wzbronione*. Kilka

dni temu była silna burza. Wielkie fale podmyły brzeg i teren się obsunął, w niektórych miejscach blokując przejście.

Manon się zawahała. Po chwili wdrapała się na barierkę i zeskoczyła z drugiej strony.

1992

Południowy kraniec Cap d'Antibes, 1 października

Vinca Rockwell biegła ścieżką wzdłuż plaży Joliette, podskakując z radości. Była dziesiąta wieczorem. Aby dotrzeć tu ze szkoły, musiała przekonać koleżankę z klasy, właścicielkę skutera, żeby podrzuciła ją do drogi Garoupe.

Gdy wkroczyła na ścieżkę przemytników, poczuła mrowienie w żołądku. Zaraz ujrzy swoją miłość!

Wiał silny wiatr, ale noc była piękna z jasnym niebem; widać było wszystko jak na dłoni. Vinca uwielbiała tę dziką okolicę, gdzie nic nie przypominało Lazurowego Wybrzeża z pocztówki. W dzień, w ostrym świetle słońca, biało-żółte skały zachwycająco błyszcząły, a woda w maleńkich zatoczkach mieniła się niezliczonymi odcieniami błękitu. Kiedyś, gdy patrzyła w kierunku Wysp Leryńskich, zauważyła nawet delfiny.

Kiedy wiał silny wiatr, jak dzisiejszego wieczoru, krajobraz radykalnie się zmieniał i strome skaliste zbocza stawały się niebezpieczne. Drzewa oliwne i sosny wydawały się skręcać z bólu, jakby chciały wyrwać się z ziemi. Ale Vinki to nie obchodziło. Zaraz ujrzy swoją miłość!

2017

Kurwa!

No i obcas poszedł. Psiakrew! – zaklęła Manon w myślach. Przed przyjęciem będzie jeszcze musiała wrócić do mieszkania, nie mówiąc o tym, jak jutro zareaguje na ten widok jej

przyjaciółka... Zdjęła szpilki, wsunęła je do torby i poszła dalej bosą.

Wciąż trzymała się wąskiej, ale wybetonowanej ścieżki nad skałami. Powietrze było czyste, orzeźwiające. Mistral rozświetlił noc i usiał niebo gwiazdami.

Widoczne na tle pasma górskiego mury obronne starego Antibes i zatoka nicejska stanowiły wspaniały widok. Przysypiały tu, ukryte za sosnami, najpiękniejsze posiadłości Lazurowego Wybrzeża. Pieniste fale uderzały o brzeg, czuło się żywioł rozszalałych wód.

Miejsce to było wielokrotnie sceną tragicznych wypadków. Morze porywało rybaków, turystów lub zakochane pary, które obejmowały się nad brzegiem. Pod presją opinii publicznej władze zabezpieczyły szlak, wybudowano betonowe schody, oznakowano przejścia i założono bariery ograniczające entuzjazm spacerowiczów podchodzących do urwiska. Ale wystarczyła jedna wichura i ścieżka z powrotem stawała się niebezpieczna.

Manon doszła do punktu, gdzie zwałona sosna alepska rozbiła barierkę ochronną i zagroziła przejściu. Dalej nie dało się iść. Manon rozejrzała się za skrótami. Wokół było kompletnie pusto. Mistral zniechęcił spacerowiczów.

Chyba powinnam zawrócić, pomyślała i znieruchomiała, wsłuchując się w zawodzenie wiatru. Dźwięk przypominał jęk, skargę, bliską i daleką jednocześnie. Głucha groźba...

Mimo że była bosą, przeskoczyła przeszkodę, niebezpiecznie zahaczając o brzeg skalny, i poszła dalej, oświetlając sobie drogę latarką w telefonie.

W dole zauważyła ciemny kształt. Zmrużyła oczy. Nie, była zbyt daleko, żeby zorientować się, co to jest. Zaczęła ostrożnie schodzić zboczem. Usłyszała trzask – oddarł się rąbek jej koronkowej sukienki. Nieważne, pomyślała, bo wreszcie dostrzegła to, co ją zaintrygowało. Na skalnym zboczu leżały zwłoki kobiety. Im bliżej podchodziła, tym większe ogarniało ją przerażenie. Najwyraźniej to nie był wypadek. Twarz zmarłej

wyglądała jak zmiądzony, krwawy kawałek mięsa. Boże! Nogi się pod Manon ugięły i mało nie zemdląca. Włączyła komórkę, żeby wezwać pogotowie. Nie było sieci, na ekran wypłynął komunikat: *Tylko połączenia alarmowe*. Już miała dzwonić, gdy spostrzegła, że nie jest sama. Trochę dalej siedział zapłakany facet z twarzą zakrytą dłońmi.

Manon zadrżała i pożałowała, że nie ma przy sobie broni. Powoli podeszła do siedzącego mężczyzny. Kiedy się wyprostował i podniósł głowę, od razu go poznała.

– To ja, ja ją zabiłem! – powiedział, wskazując palcem na zwłoki.

1992

Vinca Rockwell z wdziękiem przeskakiwała przez skały. Wiał coraz silniejszy wiatr, ale ona była w swoim żywiole. Wielkie fale, niebezpieczeństwo, odurzenie morskim powietrzem, wysokość, od której kręciło się w głowie. No i to uczucie! Do tej pory nie przeżyła jeszcze nic tak cudownego. Głęboki, totalny zachwyty. Całkowite połączenie ciał i umysłów. Nawet jeśli będzie żyła sto lat, nic nie przebije tego wspomnienia. Perspektywa potajemnego spotkania i kochania się w zakątku między skałami wprowadzała ją w stan bliski euforii.

Czuła na sobie letni wiatr. Lekki powiew pieścił jej nogi, unosił spódnicę; było to jakby preludium do czekającego ją namiętnego spotkania. Serce przyspieszyło, uderzyła w nią fala gorąca, krew zaczęła pulsować w żyłach, każdy centymetr ciała drżał z podniecenia.

Zaraz ujrzy swoją miłość!

Alexis to była burza, noc, moment. Vinca wiedziała, że robi głupstwo i że wszystko zapewne skończy się źle. Ale za nic nie oddałaby tej chwili. Oczekiwanie, szaleństwo miłości, bolesny urok zapadnięcia się w noc...

– Vinca!

Na tle księżycy w pełni ukazała się sylwetka. Vinca zrobiła kilka kroków, aby połączyć się z cieniem. Prawie czuła wymykającą się spod kontroli intensywną, palącą rozkosz fizyczną. Złączone ciała, odgłos fal uderzających o brzeg, wycie wiatru... Krzyk mieszający się z krzykami mew. Dreszcze, powalająca eksplozja, oślepiający błysk.

– Alexis!

Wewnętrzny głos znów ostrzegł Vincę, że wszystko skończy się źle. Ale kto by tam martwił się o przyszłość? Najważniejsza jest miłość, miłość albo nic.

Liczy się tylko ta chwila.

Paląca, trująca noc.

Wczoraj i dziś

„Nice-Matin” – poniedziałek, 8 maja 2017

Obchody pięćdziesięciolecia Liceum Międzynarodowego im. Antoine’a de Saint-Exupéry’ego

Flagowa szkoła Sophii Antipolis w przyszły weekend będzie obchodzić pięćdziesięciolecie.

Liceum założone w 1967 roku przez Laicką Misję Francuską dla dzieci pracowników zagranicznych to nietypowa instytucja na Lazurowym Wybrzeżu. Znane z wysokiego poziomu, koncentruje się przede wszystkim na nauczaniu w językach obcych. Są tu klasy dwujęzyczne umożliwiające otrzymanie dyplomów międzynarodowych. Dziś uczy się tu prawie tysiąc dziewcząt i chłopców z Francji i z zagranicy. Obchody pięćdziesięciolecia szkoły zaczną się w ten piątek, 12 maja, dniem otwartym, podczas którego uczniowie i nauczyciele zaprezentują swoje osiągnięcia na niwie artystycznej – będą to wystawy zdjęć, filmy i spektakle przygotowane specjalnie z okazji jubileuszu.

Następnego dnia w południe odbędzie się koktajl dla absolwentów szkoły oraz personelu. W tym uroczystym momencie zostanie położony kamień węgielny pod Szklaną Wieżę, pięciopiętrowy budynek mający powstać na miejscu hali sportowej, która zostanie wkrótce zburzona. Ultranowoczesna Szklana Wieża przeznaczona będzie dla uczniów klas przygotowawczych do egzaminów konkursowych na studia wyższe. Wieczorem tego samego dnia w hali sportowej świętować będą również absolwenci z lat 1990–1995, którzy zostaną uhonorowani jako ostatni użytkownicy tego obiektu.

Florence Guirard, dyrektorka liceum, ma nadzieję, że obchody przyciągną mnóstwo gości. „Gorąco zapraszam wszystkich byłych uczniów i pracowników, aby razem z nami spędzili te uroczyste chwile. Kontakty, spotkania po latach, wspomnienia – to wszystko przypomina nam, skąd pochodzimy, i jest niezbędne, abyśmy wiedzieli, w jakim kierunku zmierzamy!” – podkreśliła pompatycznie Guirard i poinformowała, że z tej okazji utworzono specjalną grupę liceum na Facebooku.

Stéphane Pianelli

FOREVER YOUNG

1

Coca-cola cherry

*Gdy siedzimy w samolocie, który
spada, po co zapinać pasy.*

Haruki Murakami

1

Sophia Antipolis

Sobota, 13 maja 2017

Zaparkowałem wynajęty samochód pod sosnami, niedaleko stacji benzynowej, trzysta metrów od bramy liceum. Przyjechałem tu prosto z lotniska. Przez cały lot Nowy Jork–Nicea nie zmrużyłem oka.

Poprzedniego dnia dostałem maila z artykułem na temat pięćdziesięciolecia mojego francuskiego liceum i w związku z tym Manhattan opuściłem w pośpiechu. Mail został wysłany do mojego wydawcy przez Maxime’a Biancardiniego, którego nie widziałem od dwudziestu pięciu lat, a który kiedyś był moim najlepszym przyjacielem. Maxime zostawił numer swojej komórki. Wahalem się, czy zadzwonić, ale w końcu stwierdziłem, że nie mogę inaczej.

- Przeczytałeś artykuł, Thomas? – zapytał mnie od razu.
- Dlatego do ciebie dzwonię.
- Wiesz, co to oznacza?

Głos miał taki jak kiedyś, ale wzburzony, jakby sprawa była niecierpiąca zwłoki. Czułem, że się boi.

Nie odpowiedziałem od razu. Tak, wiedziałem, co to oznacza – koniec naszej dotychczasowej egzystencji. Nadchodzące lata spędzimy zapewne za kratkami.

– Musisz przyjechać, Thomas! – przerwał moje milczenie Maxime. – Trzeba się naradzić, musimy coś zrobić!

Zamknąłem oczy i pomyślałem o tym, co nas ewentualnie czeka: ogromny skandal, sprawa sądowa, dramat dla naszych rodzin.

W głębi duszy wiedziałem, że kiedyś prawda wyjdzie na jaw. Przez prawie dwadzieścia pięć lat żyłem – albo udawałem, że żyję – z groźbą wiszącą nade mną jak miecz Damoklesa. Często budziłem się spocony w środku nocy, myśląc o tym, co będzie, gdy wszystko się wyda. Brałem wówczas bromazepam i popijałem lampką karuzawy, ale rzadko udawało mi się zasnąć z powrotem.

– Musimy coś zrobić! – powtórzył mój przyjaciel.

Maxime bujał w obłokach. Tamtego pamiętnego wieczoru w grudniu 1992 roku sami podłożyliśmy bombę, która teraz groziła wybuchem.

Obaj wiedzieliśmy, że sytuacja jest bez wyjścia.

2

Zatrzasnąłem drzwi samochodu i ruszyłem w stronę stacji benzynowej, do sklepiku urządzonego na modłę amerykańską, U Dina. Za dystrybutorami paliwa stał kolorowy drewniany domek w stylu kolonialnym, z przyjemnie wyglądającą kawiarnią i dużym zadaszonym tarasem.

Pchnąłem wahadłowe drzwi. Miejsce niespecjalnie się zmieniło, wciąż wyglądało, jakby czas się tu zatrzymał. W głębi wzdłuż baru z bielonych desek stały wysokie stołki, na końcu blatu pod szklanymi kloszami leżały kolorowe ciastka. Pozostała

część sali i taras zajmowały stoliki i ławki. Na ścianach wisiały emaliowane tablice z reklamami firm, które już dawno nie istniały, oraz barwne plakaty przedstawiające Lazurowe Wybrzeże szalonych lat dwudziestych. Aby pomieścić więcej stolików, zlikwidowano bilard i automaty do gry, które tyle razy nadwyrężyły moje kieszonkowe: *Out Run*, *Arkanoid*, *Street Fighter II*... Przetrwały tylko piłkarzyki, stary stół firmy Bonzini, egzemplarz używany w zawodach, z wykładziną zdartą do cna.

Nie mogłem się powstrzymać i przejechałem pieszczotliwie dłonią po bukowym drewnie. Przy tym stole razem z Maxime'em godzinami odgrywaliśmy wielkie mecze Olympique Marsylia. Trzy słynne gole Papina podczas Mistrzostw Francji 1989; ręka Vaty w meczu z Benficą; gol z woleja Chrisa Waddle'a w meczu z AC Milanem pamiętnego wieczoru, gdy na stadionie wysiadło światło. Niestety, nie udało nam się wspólnie uczcić tak wyczekiwanego zwycięstwa Ligi Mistrzów 1993, bo wówczas już wyjechałem na studia do szkoły handlowej w Paryżu.

Powoli poddawałem się nostalgicznej atmosferze kafejki. Nie tylko z Maxime'em przychodziłem tu po lekcjach. Najczęściej przesiadywałem tutaj z dziewczyną, w której byłem wtedy zakochany – z Vincą Rockwell. Durzyli się w niej absolutnie wszyscy chłopcy. To było jakby wczoraj. A jednocześnie – wieki temu.

Podszedłem do baru i fala wspomnień niemal zwała mnie z nóg. Perlisty śmiech Vinki, szparka między jej przednimi zębami, lekkie sukienki, niezwykła uroda, uporczywy dystans w postrzeganiu rzeczywistości. W lecie Vinca zamawiała wiśniową colę, w zimie wypijała filiżanki gorącej czekolady z małymi piankami pływającymi na powierzchni.

– Podać coś panu?

Nie wierzyłem własnym oczom: kafejkę wciąż prowadzili ci sami ludzie, Włoch ożeniony z Polką! Nazywali się Valentini. Od razu przypomniałem sobie ich imiona: Dino (oczywiście!) przerwał czyszczenie ekspresu i podszedł pogadać, Hanna przeglądała miejscową gazetę. On utył i wyłysiał, ona nie była już

blondynką i trochę się pomarszczyła. Ale teraz wydawali się naprawdę dobraną parą. Starość wyrównywała wszystko: jaskrawe piękności bladły, mniej wdzięcznym twarzom patyna lat dodawała uroku.

– Tak, poproszę kawę, podwójne espresso... – Zamilkłem.

Po chwili postanowiłem, tak na próbę, przywołać ducha Vinki.

– I wiśniową colę z lodem i ze słomką – dodałem.

Przez chwilę miałem wrażenie, że któreś z Valentinich mnie rozpozna. W latach 1990–1998 moi rodzice pracowali na stanowiskach dyrektorskich w Saint-Ex. Ojciec zajmował się klasami licealnymi, a matka klasami przygotowawczymi na studia. Korzystali ze służbowego mieszkania na terenie kampusu. Zrozumiałe więc, że byłem u Valentinich częstym gościem. Za kilka darmowych partii *Street Fightera* czasem pomagałem Dinowi uporządkować piwnicę czy przygotować jego słynne *frozen custards*, na które przepis odziedziczył po ojcu. Teraz, kiedy jego żona nie odrywała oczu od gazety, stary Włoch zainkasował ode mnie pieniądze i podał zamówienie, ale żadna iskierka nie rozświetliła jego zmęczonych oczu.

Kafejka była zapełniona może w jednej trzeciej, co nawet w sobotni poranek było dziwne. W Saint-Ex działał internat i za moich czasów wielu uczniów zostawało tu na weekend. Skorzystałem z tej pustki i skierowałem się do naszego ulubionego, mojego i Vinki, stolika – ostatniego na samym końcu tarasu, przysłoniętego pachnącymi gałęziami pobliskiej sosny. Gwiazdy przyciągały się wzajemnie i Vinca zawsze wybierała miejsce twarzą do słońca. Zaniósłem tacę i usiadłem jak zwykle plecami do drzew. Podniosłem do ust filiżankę z kawą, a szklankę wiśniowej coli postawiłem przed pustym krzesłem.

Z głośników leciał stary przebój R.E.M. *Losing My Religion*. Większość ludzi myślała, że chodzi tu o wiarę, podczas gdy piosenka mówiła po prostu o bolesnych problemach nieodwzajemnionego uczucia. Wzgardzony chłopak wołał do ukochanej dziewczyny: „Hej, popatrz, jestem tu! Dlaczego mnie nie widzisz?!”. Historia mego życia.

Lekki wiatr poruszył gałęziami, blask słońca odbił się w drobinach kurzu nad deskami tarasu. Magia zadziałała i poczułem, że wracam do lat dziewięćdziesiątych. W wiosennym świetle przenikającym gałęzie duch Vinki ożył i usłyszałem echo naszych dyskusji. Vinca perorowała na temat *Kochanka* i *Niebezpiecznych związków*. Ja przywoływałem argumenty z *Martina Edena* i *Oblubienicy Pana*. Przy tym stoliku godzinami omawialiśmy filmy obejrzone w środowe popołudnie w kinie Star w Cannes albo Casino w Antibes. Vinca entuzjastycznie opisywała *Fortepian* czy *Thelmę i Louise*, mnie bardziej podobało się *Serce jak lód* albo *Podwójne życie Weroniki*.

Piosenka dobiegła końca. Vinca włożyła na nos swoje raybany, wciągnęła przez słomkę łyk coli i puściła do mnie oko zza kolorowych szkieł. Obraz jej zbladł i znikł. Magiczny moment minął.

Beztroskie lato 1992 roku dawno się skończyło. Samotny, smutny i zmęczony, bez sensu ściagałem cienie straconej młodości. Vinki nie widziałem od dwudziestu pięciu lat. Zresztą od dwudziestu pięciu lat nikt jej nie widział.

3

W niedzielę dwudziestego grudnia 1992 roku dziewiętnastoletnia Vinca Rockwell uciekła do Paryża ze swoim profesorem filozofii, Alexisem Clémentem, który miał wówczas lat dwadzieścia siedem. Romans utrzymywany był w tajemnicy. Ostatni raz widziano ich następnego dnia rano w jakimś hotelu w siódmej dzielnicy, niedaleko bazyliki Świętej Klotyldy. Potem ślad po nich zaginął. Nigdy nie dali znaku życia, nie skontaktowali się z rodzinami ani z przyjaciółmi. Wyparowali.

To wersja oficjalna.

Wyciągnąłem z kieszeni „Nice-Matin” z artykułem, który czytałem już ze sto razy. Niby nic, ale zawierał dość istotną informację, a jej dramatyczne konsekwencje miały tę oficjalną

wersję podważyć. Wszędzie się teraz trąbi o obowiązku podawania prawdy w klarowny sposób, ale prawda jest rzadko taka, jak się wydaje. W tym przypadku nie miała ona przynieść ani spokoju, ani czasu na odbycie żałoby, ani sprawiedliwego zakończenia, tylko nieszczęście, pościg za niewinnym i oszczerstwem.

– Och, przepraszam!

Arogancki licealista, biegnąc między stolikami, wywrócił plecakiem szklanę z colą. W ostatniej chwili chwyciłem ją w powietrzu. Kilkoma papierowymi serwetkami wytarłem stół, ale cola opryskała mi spodnie. Przymaszerowałem przez całą salę do toalety. Zajęło mi dobre pięć minut, żeby plamy znikły, a drugie tyle, żeby wszystko wyschło. Nie byłoby dobrze, gdybym pokazał się na zjeździe i wyglądał, jakbym się za przeproszeniem zsiął.

Wróciłem po marynarkę zostawioną na oparciu krzesła i zrobiło mi się gorąco, gdy rzuciłem okiem na stół. Podczas mojej nieobecności ktoś złożył na pół ksero artykułu i umieścił na nim okulary przeciwsłoneczne, ray-bany Clubmaster z kolorowymi szklami. Kto splątał mi takiego figła? Rozejrzałem się. Dino gadał z jakimś facetem przy dystrybutorze paliwa. Hanna podlewała pelargonie z drugiej strony tarasu. Poza trzema śmieciarzami odpoczywającymi przy bufecie jedynymi klientami byli tu licealiści, pochyleni nad macbookami albo rozmawiający przez komórki.

Cholera!

Musiałem wziąć do ręki te okulary, by upewnić się, że to nie urojenie. Wtedy zauważyłem notatkę na brzegu gazety. Wyraźnym, okrągłym pismem ktoś napisał jedno słowo:

Zemsta.

2

Dranie i prymus klasowy

*Kto rządzi przeszłością, w tego
rękach jest przyszłość.*

George Orwell

1

Paint It Black, No Surprises, One...

Już przy wejściu na kampus słyszało się szkolną orkiestrę, która witała gości refrenami Rolling Stonesów, Radiohead i U2. Dźwięki tej muzyki – okropne, ale wciągające – towarzyszyły przybyszom przez całą drogę do centralnego punktu kampusu, placu Marronniers, miejsca przedpołudniowych rozrywek.

Sophia Antipolis, francuska Dolina Krzemowa zahaczająca o kilka gmin (w tym Antibes i Valbonne), była zielonym rajem na wybetonowanym Lazurowym Wybrzeżu. Setki start-upów i firm wyspecjalizowanych w kluczowych sektorach gospodarki usadowiło się na dwóch tysiącach hektarów tutejszych sosnowych lasów. Menadżerowie z całego świata zjeżdżali nad błękitne wody Morza Śródziemnego. Kusily ich ośrodki narciarskie w parku narodowym Mercantour, mnogość terenów sportowych, słońce świecące przez trzy czwarte roku oraz duża liczba międzynarodowych szkół, z których najlepszą było właśnie liceum Saint-Exupéry'ego, szczyt piramidy edukacyjnej w departamencie Alpy Nadmorskie. Instytucja, gdzie każdy

rodzic miał nadzieję kiedyś zapisać swoje dziecko, gdyż w pełni ufał obietnicy zawartej w dewizie liceum: *Scientia potestas est*.

Minąłem stróżówkę i szedłem wzdłuż części biurowej kompleksu, pod oknami pokoju nauczycielskiego. Szkoła powstała w latach sześćdziesiątych i budynki trochę się zestarzały, niemniej całość wciąż robiła duże wrażenie. Architekt mądrze wykorzystał wyjątkowe warunki naturalne płaskowyżu Valbonne. Był sobotni ciepły ranek, niebo miało kolor turkusowy. Skupiska sosen, pola porośnięte zaroślami, skalne ściany i strome ścieżki – w to wszystko harmonijnie wtapiały się kostki i równoległościanny ze stali, betonu i szkła. W dole, nad wielkim jeziorem, w kolorowych dwupiętrowych pawilonach za zasłoną z drzew mieścił się internat. Każdy pawilon nosił nazwisko artysty, który mieszkał w swoim czasie na Riwierze Francuskiej: Pabla Picassa, Marca Chagalla, Nicolasa de Staëla, Francisa Scotta Fitzgeralda, Sidneya Becheta, Grahama Greene’a...

Mieszkałem tu między piętnastym a dziewiętnastym rokiem życia, w służbowym mieszkaniu rodziców. Pamiętałem wszystko, jakby to było wczoraj, zwłaszcza zachwyty, z jakim budziłem się co rano naprzeciw ściany sosen. Z pokoju miałem dokładnie taki sam widok, jaki podziwiałem teraz: błyszcząca tafla jeziora, drewniane molo, hangar na łódzie. Po dwudziestu latach spędzonych w Nowym Jorku byłem pewien, że wolę elektryczny błękit nieba nad Manhattanem od mistralu i śpiewu cykad, energię Brooklynu i Harlemu od zapachu eukaliptusów i lawendy. Ale czy tak było naprawdę... Obszedłem wokół budynek Agory (szklaną budowlę wzniesioną na początku lat dziewięćdziesiątych obok biblioteki; znajdowało się tam kilka auli oraz kino) i stanąłem przed historyczną częścią zabudowań z czerwonej cegły w stylu gotyckim, przypominających niektóre amerykańskie uniwersytety. Ten staromodny zespół budynków, kontrastujący z architekturą całej reszty, był od zawsze dumą Saint-Ex, ponieważ dodawał szkole patyny Ivy League, a rodzice byli dumni, że wysłali dzieci do miejscowego Harvardu.

– No jak tam, Thomasie Degalais? Szukamy natchnienia do następnej powieści?

2

Zaskoczony, odwróciłem się i ujrzałem wesołą twarz Stéphane’a Pianello. Długie włosy, bródka muszkietera, lenonki i torba przerzucona przez ramię. Dziennikarz „Nice-Matin” wyglądał identycznie jak za czasów licealnych, jedynym znakiem mijającego czasu był widoczny spod kamizelki reporterskiej T-shirt ze słynną literą phi, symbolem Francji Niepokornej, partii Jeana-Luca Mélenchona.

– Cześć, Stéphane!

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Pianelli był w moim wieku i pochodził stąd, tak jak ja. Chodziliśmy do tej samej klasy, razem zdawaliśmy maturę. Pianelli był wyszczekany, umiał przemawiać i lubił sylogizmy, co często wprawiało nauczycieli w zakłopotanie. Jako jeden z niewielu uczniów interesował się polityką. Po maturze, mimo że doskonałe wyniki pozwalały mu zapisać się na kurs przygotowujący do studiów w prestiżowym paryskim Instytucie Nauk Politycznych, wybrał uniwersytet w Nicei i filologię francuską. Mój ojciec uważał ten wydział za fabrykę bezrobotnych, moja matka zaś była jeszcze surowsza – nazywała studentów tego kierunku bandą lewicujących nierobów. Pianelli nigdy nie wypierał się swojej skłonności do krytykowania autorytetów. Na uniwerku przez jakiś czas lawirował między organizacją studencką a grupą młodych socjalistów, a swoje pierwsze „pięć minut” miał któregoś wiosennego wieczoru 1994 roku w telewizji, podczas transmitowanego na żywo programu France 2 *Demain les jeunes*. Program prowadził Michel Field; dyskutował przez ponad dwie godziny z dziesiątkami studentów protestujących przeciwko zasiłkom dla młodych bezrobotnych, które chciał wprowadzić rząd Balladura. Niedawno obejrzałem archiwalne nagranie tego

programu i uderzył mnie tupet Pianello. Aż dwa razy dorwał się do mikrofonu i za każdym razem potrafił zagonić w kozi róg takich wyjadaczy jak Alain Madelin i Bernard Tapie. Był okropnie zawzięty i nie bał się nikogo.

– Co sądzisz o wygranej Macrona? – spytał mnie od razu. Najwyraźniej wciąż pasjonował się polityką. – To świetna wiadomość dla takich jak ty!

– Chodzi ci o pisarzy?

– Nie, chodzi mi o śmierdzących bogaczy! – rzucił i oko mu zabłysło.

Pianelli był zręczliwy, często na złość upierał się przy swoim, ale mimo wszystko go lubiłem. Był jedynym absolwentem Saint-Ex, z którym dość często się widywałem, bo kiedy wychodziła moja nowa powieść, robił ze mną wywiad dla swojej gazety. O ile wiem, nigdy nie zależało mu na karierze w wielkiej prasie, wolał być dziennikarzem terenowym, samodzielnym i wszechstronnym. W „Nice-Matin” mógł pisać o wszystkim, co mu się podobało, o polityce, kulturze, miejskich aktualnościach. Cenił sobie tę wolność ponad wszystko. Był bezwzględny łowcą sensacji, ale starał się zachować obiektywność. Zawsze z zainteresowaniem zaglądałem do jego recenzji, bo umiał czytać między wierszami. Nie to, żeby systematycznie mnie wychwalał, ale mając zastrzeżenia, pamiętał, że za powieścią, tak samo jak za filmem czy sztuką teatralną, kryją się często lata pracy i wątpliwości i że można oczywiście krytykować, lecz okrucieństwem jest zbyć wszystko kilkoma pogardliwymi zdaniem. „Najgorsza powieść jest z pewnością bardziej wartościowa niż krytyka, która jej przypina tę etykietkę” – powiedział mi zresztą któregoś dnia, odnosząc do literatury słynne zdanie Antona Ego, krytyka kulinarnego z filmu *Ratatuj*.

– Żarty na bok, co tu robisz, pisarzu?

Pytanie zabrzmiało niewinnie, ale wiedziałem, że Pianelli zarzuca sieci i nie ustąpi, dopóki nie wyrwie ze mnie tego, co chce. Znał trochę moją przeszłość. Może wyczuł, że jestem

zdenerwowany, kiedy tak międlilem w kieszeni okulary identyczne jak te Vinki, myśląc o groźbie sprzed kwadransa.

– Nie zaszkodzi od czasu do czasu odwrócić się i spojrzeć do tyłu! Z wiekiem zresztą...

– Nie pierdol, przyjacielu! – przerwał mi z uśmiechem. – Wiem, że nienawidzisz takich zjazdów! Popatrz na siebie, koszula od Charveta i zegarek Patek Philippe! Nie wmawiaj mi, że przyleciałeś tu z Nowego Jorku, żeby odśpiewać piosenkę misia Colargola i pozuć gumę Donald z facetami, którymi pogardzasz.

– W tym nie masz racji, ja nikim nie pogardzam.

To była prawda.

Pianelli popatrzył na mnie sceptycznie i oczy mu zabłysły. Poczuł, że ryba bierze.

– Aaa, rozumiem! Przyjechałeś, bo przeczytałeś mój artykuł! – zawołał triumfalnie.

Zatkało mnie. Jakbym dostał cios w brzuch. Skąd mógł wiedzieć?

– O czym ty gadasz, Stéphane?

– Nie udawaj niewiniątka!

Postanowiłem zachować spokój.

– Mieszkam w TriBeCe. Przy porannej kawie czytam „New York Timesa”, a nie twoje lokalne piśmiidło. O jakim artykule mówisz? O tym, w którym było o pięćdziesięcioleciu naszej budy?

Skrzywił się i zmarszczył brwi. Najwyraźniej nie mówiliśmy o tym samym. Moja ulga trwała jednak krótko, bo nagle się odezwał:

– Mówię o artykule na temat Vinki Rockwell.

To mnie jeszcze bardziej zaskoczyło.

– Widzę, że faktycznie nic nie wiesz! – stwierdził.

– A o czym, do cholery, mam wiedzieć?

Pianelli pokręcił głową i wyjął z torby notes.

– Lecę do roboty! – oznajmił, kiedy doszliśmy do placu. – Mam obowiązki, muszę spłodzić artykuł dla swojego lokalnego

piśmidła.

– Zaczekaj, Stéphane...

Spojrzał na mnie z satysfakcją.

– Pogadamy później! – rzucił i odszedł.

Serce waliło mi jak oszalałe. Zaczyna się...

3

Plac Marronniers wibrował w rytm dźwięków orkiestry i szumu rozgadanych grupek uczestników zjazdu. Jeśli kiedyś rosły tu majestatyczne kasztanowce – *marronniers* – to dawno wykończyła je jakaś zaraza. Plac zachował dawną nazwę, ale obecnie obsadzono go daktyłowcami kanaryjskimi, których wdzięczne sylwetki przywodziły na myśl leniwe dni wakacji. Pod wielkimi płóciennymi namiotami urządzono bufet, ustawiono krzesła i powieszono kwietne girlandy. Kelnerzy w słomkowych kapeluszach i koszulkach w paski kręcili się nerwowo w mrowisku ludzi, roznosząc napitki.

Chwyciłem z tacy kieliszek z koktajlem. Ledwo umoczyłem w nim wargi, od razu wylałem wszystko do pobliskiej donicy. Organizatorzy się nie popisali, była to obrzydliwa woda kokosowa zmieszana z imbirową mrożoną herbatą. Podszedłem do bufetu. Tu również wybrano lżejsze wersje napojów. Poczuliem się jak w Kalifornii albo na Brooklynie, tam gdzie panowała moda na tak zwane zdrowe jedzenie. Ach, gdzież te faszerowane warzywa, opiekane w cieście kwiaty cukinii, gdzież słynna *pissaladière de Veziano*?! Na stołach stały półmiski ze smutnymi warzywami pokrojonymi w plastry, słoiczki z musami na bazie odtłuszczonej śmietany, były także tosty z serem, oczywiście bez glutenu.

Wszedłem na wielkie schody z woskowanego betonu, otaczające część placu niby trybuny w teatrze greckim. Usadowiłem się na samej górze i włożyłem okulary

przeciwsłoneczne. Zobaczmy, jak wyglądają moi dawni koledzy szkolni!

Wszyscy gratulowali sobie wzajemnie, klepali się po plecach, obejmowali, pokazywali najpiękniejsze zdjęcia swoich bobasów czy też często już nastolatków, wymieniali adresy mailowe, numery komórek, dodawali nowe nazwiska do listy przyjaciół na portalach społecznościowych. Pianelli miał rację – nie miałem z nimi nic wspólnego. Nie umiałem nawet udawać zaciekawienia. Po pierwsze, dlatego że w ogóle nie tęskniłem do lat spędzonych w liceum, a po drugie – byłem samotnikiem, zawsze z książką w kieszeni, ale bez konta na Facebooku. Nie pasowałem do tłumu adeptów lajkowania. Poza tym nie przejmowałem się mijającym czasem. Nie zrobiło na mnie wrażenia, gdy skończyłem czterdziestkę, nie zmartwiłem się pierwszymi siwymi włosami. Szczerze mówiąc, nie mogłem się doczekać starości, bo miała oznaczać, że wreszcie odpłynie w dal przeszłość, która mało że nie była szczęśliwa, to jeszcze cały czas stanowiła groźbę.

4

Pierwsze spostrzeżenie dotyczące moich dawnych kolegów: większość przybyłych na zjazd pochodziła z tych lepiej sytuowanych warstw społeczeństwa, w których uważano, żeby nie utyć. U mężczyzn głównym problemem była niewątpliwie łysina. Prawda, Nicolasie Dubois? Oj, nie udał ci się ten przeszczepik! Alexandre Musca starał się ukryć łysy czubek głowy, zaczesując długie pasmo wzięte z boku. Romain Roussel po prostu ogolił się na łyso.

Byłem zaskoczony swoją pamięcią: z grupy gości z mojego pokolenia mogłem rozpoznać praktycznie każdego. Było to fascynujące zajęcie. Dla niektórych zjazd wydawał się rewanzem za przeszłość. Na przykład Manon Agostini – w czasach szkolnych mało urodziwa i nieśmiała, teraz była ładną, pewną

siebie kobietą. To samo Christophe Mirkovic – ten nerd, jak się jeszcze wtedy nie mówiło, przeistoczył się z krostowatego lunatyka w pewnego siebie faceta sukcesu, wychwalającego swoją teslę i gadającego po angielsku z o dwadzieścia lat młodszą narzeczoną, na którą gapili się prawie wszyscy.

Éricowi Lafitte’owi życie musiało nieźle dać w kość. Kiedyś piękny jak bóg, anioł o ciemnych włosach, skóra zdjęta z Alaina Delona grającego w filmie *W pełnym słońcu*. Dziś smutny, brzuchaty, z wychudzoną twarzą, bardziej przypominał Homera Simpsona niż przystojnego bohatera dramatu *Rocco i jego bracia*.

Kathy i Hervé Lesage’owie przyszli na uroczystość, trzymając się za ręce. Zostali parą dwa lata przed maturą, oboje wybrali nauki ścisłe. Pobrali się pod koniec studiów. Kathy (zdrobnienie wymyślone przez męża) nazywała się naprawdę Katherine Laneau. Pamiętałem jej wspaniałe nogi, które z pewnością nadal były wspaniałe, nawet jeśli mini zamieniła na spodnie z marynarką, i pamiętałem również, jak doskonałym literackim angielskim wówczas mówiła. Zastanawiałem się wtedy, jak taka dziewczyna mogła zakochać się w Hervé Lesage’u. Miał przydomek Régis – był to okres niezwyklej popularności programu satyrycznego *Les Nuls* i jego powtarzanego jak mantra hasła „Régis to głupek” – a do tego banalną urodę. W sumie był kretynem, dogadywał każdemu, zadawał profesorom bezsensowne pytania, a przede wszystkim nie widział, że jego dziewczyna ma sto razy więcej klasy od niego. Dwadzieścia pięć lat później, w zamszowej kurtce i z zadowoloną miną, Régis wyglądał wciąż na tego samego głupka. Na dodatek przyszedł w czapce z daszkiem paryskiego klubu piłkarskiego PSG. Bez komentarza.

Ale jeśli chodziło o ubiór, to główna nagroda należała się Fabrice’owi Fauconnierowi. Faucon był pilotem w Air France i miał na sobie kapitański mundur. Obserwowałem, jak paradował pośród blond włosów, wysokich obcasów i zoperowanych biustów. Dawny przystojniak nie dał się czasowi i zachował atletyczną sylwetkę. Niestety, srebrna grzywa,

nachalne spojrzenie i próżność sprawiały, że zaczynała pasować do niego etykieta podstarzałego lowelasa. Kilka lat wcześniej natknąłem się na niego w samolocie. Tak jakbym był pięcioletnim smykiem, uparł się, żeby podczas lądowania zaprosić mnie do kabiny pilota...

5

– O kurza twarz! Ależ Faucon się posunął!

Fanny Brahimi puściła oko i serdecznie mnie ucałowała. Ona też się zmieniła. Pochodziła z Kabylji i była drobną blondynką z jasnymi oczami. Ostrzyżona na krótko, miała na nogach ładne szpilki i dopasowane džinsy. Rozpięte dwa górne guziki bluzki pozwalały domyślać się kształtnej piersi, a wcięty trencz ją wyszczuplał. W poprzednim życiu hołdowała stylowi grunge: nosiła schodzone martensy, szerokie koszule w kratę, pocerowane swetry i podarte, bezkształtne spodnie.

Zdecydowanie radziła sobie lepiej ode mnie, bo udało jej się znaleźć lampkę szampana.

– Ale popcornu nie dają – powiedziała z uśmiechem, siadając obok mnie, jakbyśmy byli w kinie i czekali na rozpoczęcie filmu.

Tak jak w czasach liceum, miała zawieszony na szyi aparat fotograficzny – leicę M – i zaraz zaczęła robić zdjęcia.

Znałem Fanny od zawsze. Razem z Maxime'em chodziliśmy we trójkę do szkoły podstawowej w dzielnicy Fontonne. Ta stara szkoła mieściła się w pięknych budynkach z czasów Trzeciej Republiki, różniących się od prefabrykatów, z których zbudowano później szkołę imienia René Cassina w Antibes. Przez cały okres dorastania bardzo się z Fanny przyjaźniłem. Była to pierwsza dziewczyna, którą zaprosiłem na randkę. Pewnego sobotniego popołudnia poszliśmy do kina na *Rain Mana*, a w drodze powrotnej w autobusie do Fontonne, dzieląc się słuchawkami mojego walkmana, wymieniliśmy kilka niezręcznych pocałunków. Cztery czy pięć buziaków między

Puisque tu pars i *Pourvu qu'elles soient douces*. W ostatniej klasie przestaliśmy się spotykać, ale pozostaliśmy przyjaciółmi. Fanny należała do tych dojrzałych feministek, które przed maturą zaczynały sypiać z chłopcami na lewo i prawo, nie przywiązując się do nikogo. Było to rzadkie w Saint-Ex i wielu ją potępiało. Ja ją zawsze szanowałem, bo wydawała mi się uosobieniem pewnego rodzaju wolności. Poza tym była przyjaciółką Vinki, błyskotliwą uczennicą i bardzo miłą dziewczyną – te trzy cechy powodowały, że ją ceniłem. Skończyła medycynę i zjeździła pół świata jako lekarz, pracując w krajach ogarniętych wojną, w ramach różnych misji humanitarnych. Przypadkowo natknąłem się na nią kilka lat temu w jakimś hotelu w Bejrucie, gdzie brałem udział w targach książki francuskojęzycznej. Mówiła mi wówczas, że chce wrócić do Francji.

– Zauważyłeś profesorów? – zapytała teraz.

Brodą wskazałem jej matematyka N'Donga, fizyka Lehmana i profesorkę biologii Fontanę.

– Niezła grupka sadystów! – rzuciła Fanny, robiąc im zdjęcie.

– No cóż, w tym względzie muszę przyznać ci rację... – odrzekłem. – A ty gdzie w końcu pracujesz? W Antibes?

Przytaknęła.

– Jestem kardiologiem w szpitalu w Fontonne. Leczę tam twoją matkę, nie mówiła ci?

Milczałem. Fanny domyśliła się, że nic nie wiem.

– Miała lekki zawał, ale już jest wszystko dobrze – zapewniła.

Boże, nie miałem o tym zielonego pojęcia!

– Moje stosunki z matką nie należą do najprostszych – bąknąłem.

– Tak mówią wszyscy chłopcy, no nie?

Najwyraźniej też nie zamierzała ciągnąć tego tematu. Wskazała palcem jakąś inną profesorkę.

– Ach, ta była za to super! – wykrzyknęła.

Potrzebowałem chwili, zanim rozpoznałem pannę DeVille, Amerykankę, która wykładała literaturę angielską na kursie przygotowawczym do studiów humanistycznych.

– I zobacz, wciąż świetnie wygląda! – Fanny westchnęła. – Jak Catherine Zeta-Jones!

Panna DeVille miała co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu. Na wysokich obcasach, w skórzanych spodniach i żakiecie bez kołnierzyka, z długimi włosami spadającymi sztywno na ramiona i do tego szczupła, wyglądała znacznie młodziej niż inni uczestnicy zjazdu. Ile mogła mieć lat, kiedy zaczęła pracować w Saint-Ex? Dwadzieścia pięć? Góra trzydzieści... Ja byłem na kursie przygotowawczym nauk ścisłych, więc panna DeVille nigdy mnie nie uczyła, ale pamiętałem, że wszyscy uczniowie darzyli ją wielką sympatią, a niektórzy chłopcy wręcz ją wielbili.

Przez kilka minut obserwowaliśmy dawnych kolegów i wspominaliśmy. Słuchając Fanny, przypomniałem sobie, za co ją tak ceniłem: roztaczała pozytywną energię i miała poczucie humoru. W dzieciństwie miała przejęcia. Jej matka była ładną, śniadą blondynką o sarnim spojrzeniu, ale wiedziała, czego chce. Pracowała jako sprzedawczyni w sklepie z ciuchami na Croisette w Cannes. Kiedy byliśmy w pierwszej klasie liceum, zostawiła męża i trójkę dzieci i wyjechała ze swoim szefem do Ameryki Południowej. Zanim Fanny została przyjęta do internatu w Saint-Ex, przez prawie dziesięć lat mieszkała ze sparaliżowanym ojcem, ofiarą wypadku na budowie, oraz z dwoma starszymi braćmi – daleko im było do orłów – w zniszczonych budynkach socjalnych przy bulwarze Val Claret. Tego miejsca z pewnością nie było w przewodniku turystycznym po okolicach Antibes-Juan-les-Pins.

Fanny rzuciła jeszcze kilka uszczypliwych komentarzy, banalnych, ale śmiesznych (Étienne Labitte wciąż ma głowę jak kutas), a potem popatrzyła na mnie z dziwnym uśmiechem.

– Życie pozmieniało ludziom role, ale ty pozostałeś taki sam! – Wymierzyła we mnie obiektyw leiki i pstryknęła. – Zawsze prymus klasowy, dobrze ułożony, czyściutki, w pięknej flanelowej marynarce i błękitnej koszuli – wypaliła.

– Rozumiem, że w twoich ustach to nie jest komplement.

– Mylisz się.

– Dziewczyny zawsze wolą łajdaków, prawda?

– Może kiedy mają szesnaście lat. Nie jak stuknie im czterdziestka.

Wzruszyłem ramionami, zmrużyłem oczy i przysłoniłem je dłonią. Słońce świeciło ostro.

– Szukasz kogoś?

– Maxime’a.

– Naszego przyszłego poła? Wyjaraliśmy razem szluga pod halą sportową, tam gdzie ma się odbyć ten nasz wieczorek. Nie wydawał się zachwycony perspektywą wspólnej zabawy. Kurwa, widziałeś gębę tej Aude Paradis? Wygląda jak z krzyża zdjęta, biedaczka! Jesteś pewien, że nie mają prażonej kukurydzy? Mogłabym tak tu siedzieć godzinami! To prawie tak dobre jak *Gra o tron!*

Jej entuzjazm gwałtownie opadł, gdy zauważyła dwóch facetów instalujących podest sceniczny i mikrofon.

– Sorry, pozwól, że odpuszczę sobie te oficjalne wystąpienia! – powiedziała i wstała.

Z drugiej strony trybuny zobaczyłem Stéphane’a Pianello. Robił notatki, dyskutując o czymś żywo z zastępcą prefekta. Kiedy spotkaliśmy się wzrokiem, kiwnął do mnie ręką, jakby chciał powiedzieć: „Nie odchodź, zaraz do ciebie przyjdę!”.

Fanny strzepnęła dłonią niewidoczny pyłek z dżinsów i jak to ona wystrzeliła ostatni pocisk:

– Wiesz co? Myślę, że jesteś jednym z niewielu obecnych tu facetów, z którymi nie spałam.

Chciałem odpowiedzieć coś dowcipnego, ale nic mi nie przyszło do głowy, bo właściwie mówiła to poważnie. Było to stwierdzenie smutne i bardzo przesadzone.

– Wtedy po prostu uwielbiałeś Vincę! – przypomniała sobie.

– Tak, to prawda, byłem w niej zakochany, zresztą jak wszyscy – odparłem.

– Ale ty ją zawsze idealizowałeś!

Westchnąłem. Po tym, jak Vinca znikła i okazało się, że miała romans z jednym z naszych profesorów, podniosła się fala plotek

i obmówień, która zmieniała Vincę w rodzaj nicejskiej Laury Palmer. Twin Peaks w ojczyźnie Pagnola.

– Fanny, przynajmniej ty nie zaczynaj!

– Jak chcesz. Pewnie łatwiej schować głowę w piasek. *Living is easy with eyes closed*, jak w tej piosence.

Schowała aparat do torby, spojrzała na zegarek i wręczyła mi ledwo zaczęty kieliszek szampana.

– Jestem już spóźniona i nie powinnam była tego pić. Mam dyżur po południu. No, to do następnego, Thomas!

6

Dyrektorka wygłosiła nudne, pełne banałów przemówienie, specjalność niektórych członków kadry kierowniczej w szkolnictwie. Pani Guirard, bo tak się nazywała, pochodziła z okolic Paryża i trafiła tu niedawno. Znała naszą szkołę tylko z książek i z jej ust wypływał potok technokratycznych komunałów. Słuchałem jej i zastanawiałem się, dlaczego nie ma tu moich rodziców. Jako dawni dyrektorzy powinni zostać zaproszeni. Nie widziałem ich. Intrygowało mnie to.

Pani Guirard zakończyła część o „tolerancji, równości szans i dialogu międzykulturowym, które od początku były symbolem naszej szkoły”, i zaczęła wymieniać sławnych absolwentów. Byłem w tej grupie razem z dziesięcioma innymi osobami i kiedy padło moje nazwisko, rozległy się oklaski i kilkoro oczu zwróciło się w moją stronę. Uśmiechnąłem się zażenowany i skinąłem głową w podzięcie.

– No, przepadłeś, pisarzu! – rzucił Stéphane Pianelli, siadając obok. – Za moment ustawi się tu kolejka z książkami po dedykacje. Będą cię pytać, czy pies Michela Druckera szczeka między ujęciami i czy Anne-Sophie Lapix jest tak samo sympatyczna w życiu jak w telewizji.

Uważałem, żeby nie powiedzieć nic, co zachęciłoby go do dalszego gadania, ale on nie potrzebował zachęty.

– Będą cię pytać, dlaczego uśmierciłeś swojego bohatera na końcu *Kilku dni z tobą*. I skąd czerpiesz natchnienie, i...

– Odczep się, Stéphane! Co chciałeś mi powiedzieć? Co to za historia, ten artykuł?

Pianelli odchrząknął.

– Byłeś tu w zeszłym miesiącu?

– Nie, przyjechałem dziś rano.

– Okay. Słyszałeś o zimnych ogrodnikach?

– O co ci chodzi?

– O zjawisko nagłego ochłodzenia, a nawet przymrozki, występujące czasami w środku maja... – powiedział, wyciągając z kieszeni kurtki e-papierosa. – Tej wiosny tu, na wybrzeżu, pogoda była okropna. Najpierw lodowate zimno, a potem przez kilka dni ulewa.

– Streszczaj się, Stéphane – przerwałem mu. – Nie muszę znać prognozy z całego miesiąca!

Pianelli ruchem brody wskazał na błyszczące w słońcu kolorowe budynki internatu.

– Zalało parę piwnic w akademikach.

– To nic nowego! Teren jest przecież pochyły! Już za naszych czasów to się zdarzało.

– Tak, ale w weekend ósmego kwietnia woda zalała wejścia. Trzeba było natychmiast odnawiać i przy okazji opróżnić piwnice.

Pianelli zaciągnął się kilkakrotnie e-papierosem, wydmuchując parę o zapachu werbeny i grejpfruta. Pomyślałem o cygarach Che Guevary. Wizja rewolucjonisty zaciągającego się wonną parą miała w sobie coś absurdalnego.

– Szkoła pozbyła się wówczas kilkudziesięciu zardzewiałych metalowych szafek z szatni, wstawionych tam w latach dziewięćdziesiątych. Wezwano specjalną firmę, żeby wywiozła je na śmietnik, ale zanim przyjechała, paru uczniów zaczęło się dobierać do tych zardzewiałych gratów. Nigdy nie zgadniesz, co znaleźli.

– No, mów!

Pianelli zrobił dramatyczną przerwę.

– Skórzaną sportową torbę, w której było sto tysięcy franków w banknotach stu- i dwustufankowych! Cała ta forsa leżała tam przez ponad dwadzieścia lat.

– I co, przyjechała policja?

Wyobraziłem sobie przybycie żandarmów na teren szkoły i wynikłe z tego zamieszanie.

– Tak, i dopiero się zaczęło! Opisałem wszystko w tym artykule. Zrobiła się afera, stara nierozwiązana sprawa kryminalna, ukryte pieniądze, prestiżowe liceum... To wystarczyło, żeby przetrzepali dokładnie cały teren.

– Znaleźli coś?

– Informacja nie została jeszcze podana do wiadomości publicznej, ale wiem, że znaleźli na torbie dwa odciski palców w doskonałym stanie.

– I co dalej?

– Jeden z odcisków jest w bazie danych.

Wstrzymałem oddech. Pianelli szykował się do zrzucenia kolejnej bomby. Ogniki, które tańczyły mu w oczach, były dla mnie znakiem, że tym razem będzie bardzo bolało.

– To był odcisk Vinki Rockwell!

Zamrugalem, chcąc zrozumieć to, co usłyszałem. Niestety, w głowie miałem pustkę.

– A ty co o tym myślisz, Stéphane? – spytałem, by zyskać na czasie.

– Co ja o tym myślę? Myślę, że od początku miałem rację! – Pianelli się zdenerwował.

Sprawa Vinki Rockwell była, oprócz polityki, kolejną obsesją Stéphane’a Pianellego. Jakies piętnaście lat temu napisał nawet na ten temat książkę pod nawiązującym do pieśni Schuberta tytułem *Śmierć i dziewczyna*. Bardzo dokładnie zbadał historię zniknięcia Vinki i jej kochanka. Niestety, nie trafił na żadne rewelacje.

– Gdyby Vinca naprawdę uciekła z Alexisem Clémentem, zabrałaby ze sobą pieniądze. Albo wróciłaby po nie – stwierdził.

– Nie ma żadnego dowodu na to, że to była jej forsa. Odciski palców na torbie to za mało – odrzekłem sceptycznie.

Pianelli kiwnął głową, ale dodał:

– Przyznasz jednak, że to dziwne... Skąd ta cała kasa? Sto tysięcy franków to była wówczas prawdziwa fortuna!

Wiedziałem, że nie wierzy w ucieczkę Vinki. Mimo braku dowodów uważał, że Vinca od dawna nie żyje i że najprawdopodobniej zabił ją Alexis Clément.

– A jak to wygląda oficjalnie?

– Nie mam pojęcia – rzucił Pianelli bez przekonania.

– Śledztwo na temat zaginięcia Vinki zostało dawno zamknięte. Nawet gdyby pojawił się nowy element, sprawa jest przedawniona.

Zamyślił się, pocierając zarost wierzchem dłoni.

– Niekoniecznie. To skomplikowane pod względem prawnym. Dziś w niektórych przypadkach okres do przedawnienia nie liczy się od momentu zbrodni, ale od znalezienia ciała ofiary.

Spojrzał mi w oczy. Wytrzymałem jego wzrok. Pianelli polował na sensacje, to prawda, ale od początku dziwiła mnie jego obsesja na punkcie tej starej sprawy. O ile pamiętałem, nie znał dobrze Vinki ani nie utrzymywał z nią kontaktów. Byli tak różni, że nigdy by się nie dogadali.

Vinca była córką Pauline Lambert, aktorki urodzonej w Antibes. Pauline Lambert, krótko ostrzyżona ruda piękność, była prawie sobowtórem Marlène Jobert. W latach siedemdziesiątych dostawała małe rólki w filmach Yves'a Boisseta i Henriego Verneuilu. Kulminacyjnym punktem jej kariery była dwudziestosekundowa scena z Jeanem-Paulem Belmondo w filmie *La Scoumoune*, w której odsłaniała piersi. W 1973 roku w dyskoteci w Juan-les-Pins Pauline spotkała Marka Rockwella, amerykańskiego kierowcę wyścigowego, który przez krótki czas był członkiem zespołu Lotusa w Formule 1 i wiele razy brał udział w zawodach Indianapolis 500. Przede wszystkim Rockwell był jednak najmłodszym synem wpływowej rodziny z Massachusetts, właścicieli większości akcji głównej sieci

supermarketów na północnym wschodzie kraju. Pauline, świadoma, że jej kariera stoi w miejscu, wyjechała z ukochanym do Stanów, gdzie się pobrali. Vinca, ich jedyna córka, urodziła się w Bostonie i spędziła tam piętnaście lat. Po tragicznej śmierci rodziców posłano ją do Saint-Ex. Rockwellowie zginęli w katastrofie lotniczej latem 1989 roku. Samolot, startując z lotniska na Hawajach, został uszkodzony wskutek gwałtownej dekompresji. Była to słynna sprawa, ponieważ z powodu przypadkowego otwarcia luku bagażowego sześć rzędów foteli w klasie biznes wyszło na zewnątrz samolotu. W wyniku katastrofy zginęło dwanaście osób i po raz pierwszy byli to ci uprzywilejowani. Z pewnością spodobało się to Pianellemu.

Vinca ze względu na swoje pochodzenie i zachowanie przedstawiała sobą pozornie wszystko to, czego Pianelli nienawidził: jedynaczka z bogatej amerykańskiej rodziny, z elity, intelektualistka, nie do zagięcia z filozofii greckiej, kina Tarkowskiego czy poezji Lautréamonta. Trochę snobka, o bajkowej urodzie, żyła w swoim świecie i nieświadomie traktowała z góry chłopaków takich jak on.

– Najwyraźniej nie robi to na tobie żadnego wrażenia! – przyczepił się do mnie nagle Pianelli.

Westchnąłem i wzruszyłem ramionami.

– Och, Stéphane, to wydarzyło się tak dawno...

Postanowiłem udawać, że mnie to nic nie obchodzi.

– Dawno? Przecież Vinca była twoją przyjaciółką. Uwielbiałeś ją, patrzyłeś w nią jak...

– Miałem osiemnaście lat, byłem smarkaczem. Już wieki temu o wszystkim zapomniałem.

– Co ty gadasz, pisarzu! O czym zapomniałeś? Czytałem te twoje książki, one są wszystkie o Vince! Większość twoich bohaterów to ona.

Po raz pierwszy Pianelli z lekka mnie wkurwił.

– Psycholog się znalazł, cholera! Powinieneś prowadzić dział horoskopów w tej swojej gazecie!

Teraz, gdy nam obu puściły nerwy, Stéphane Pianelli zachowywał się jak naelektryzowany. Patrzył na mnie dzikim wzrokiem. Vinca doprowadzała go do szału, tak jak z pewnością innych facetów, nawet jeśli nie z tych samych powodów.

– Mów, co chcesz, Thomas. Wracam do tej sprawy, tym razem na poważnie.

– Już się na niej przejechałeś piętnaście lat temu – zauważyłem.

– Ale odkrycie tej forsy wszystko zmienia! Tyle gotówki... Co się za tym kryje według ciebie? Ja widzę trzy możliwości: handel narkotykami, korupcja albo jakiś ogromny szantaż.

Westchnąłem i przetarłem oczy.

– Pianelli, zacząłeś chyba pisać scenariusz.

– Bo twoim zdaniem nie ma sprawy Vinki Rockwell, tak?

– Powiedzmy, że dla mnie jest to banalna historia dziewczyny, która dała dyla z ukochanym.

Pianelli skrzywił się.

– Sam w to nie wierzysz, pisarzu! Zapamiętaj, co mówię: zniknięcie Vinki to kłębek splątanej wełny. Ktoś w końcu to rozplącze.

– I co się wówczas okaże?

– Coś bardziej skomplikowanego, niż się nam wydaje.

Wstałem z zamiarem zakończenia dyskusji.

– To ty powinienesz pisać powieści! – oznajmiłem. – Jeśli się zdecydujesz, pomogę ci znaleźć wydawcę.

Popatrzyłem na zegarek. Muszę jak najszybciej odnaleźć Maxime'a. Pianelli nagle się uspokoił, też wstał i klepnął mnie w ramię.

– Do zobaczenia, pisarzu. Jestem pewien, że niedługo znów się spotkamy.

Jakbym słyszał głos wypuszczającego mnie z aresztu policjanta. Zapiąłem marynarkę i zszedłem o stopień niżej. Po chwili wahania odwróciłem się i jeszcze raz spojrzałem na Pianellego. Do tej pory nie popełniłem żadnego błędu. Nie wolno

mi zdradzić niczego, co dałoby mu do myślenia. Cisnęło mi się jednak na usta pytanie. Zadałem je jak najobojętniejszym tonem.

– Mówiłeś, że tę forszę znaleziono w starej szatni, tak?

– Taaa...

– A dokładnie w której?

– W tej pomalowanej na żółto. Kolor pawilonu Henriego Matisse’a.

– Vinca tam nie mieszkała! – wykrzyknąłem z triumfem. – Jej pokój był w pawilonie błękitnym, Nicolasa de Staëla.

Pianelli przytaknął.

– Masz rację, już to sprawdziłem. Słuchaj, pisarzu, masz doskonałą pamięć jak na kogoś, kto o tym wszystkim dawno zapomniał.

Znów popatrzył na mnie tymi naelektryzowanymi oczami, pewien, że złapał mnie w pułapkę, ale wytrzymałem jego spojrzenie, a nawet zdecydowałem się na kolejne pytanie.

– A na szafce było jakieś nazwisko?

Pokręcił głową.

– Co ty, tyle czasu minęło, wszystko się wytarło.

– Nie ma żadnych starych spisów, która szafka należała do kogo?

– Wtedy nikt nie tracił na to czasu. Na początku roku uczniowie sami wybierali sobie szafki, na zasadzie „kto pierwszy, ten lepszy”.

– Która to była szafka?

– Dlaczego pytasz?

– Z ciekawości. Wiesz, ta cecha, którą mają również dziennikarze...

– W moim artykule zamieszczono fotografię tej szafki. O ile pamiętam, to była szafka A jeden. Pierwsza na górze po lewej. Coś ci to mówi?

– Nic. Na razie, Stéphane.

Odwróciłem się i odszedłem, chcąc uciec z placu przed końcem przemówienia.

Dyrektorka na zakończenie powiadomiła o planach wyburzenia starej hali gimnastycznej i o zbliżającej się uroczystości położenia kamienia węgielnego pod „najbardziej ambitną budowę na terenie naszego liceum”. Wspomniała, że projekt czekał na realizację ponad trzydzieści lat, ale już wkrótce, dzięki hojnym darczyńcom, światło dzienne ujrzy „budynek, w którym będą odbywały się kursy przygotowawcze na wyższe studia, otoczony parkiem, z nowym ośrodkiem sportowym i basenem olimpijskim”.

Jeśli wcześniej mogłem mieć jeszcze wątpliwości co do tego, co mnie czeka, to teraz się rozwiały. Nie powiedziałem prawdy Pianellemu. Bardzo dobrze wiedziałem, w czyjej szafce znaleziono pieniądze.

W mojej.

3

Oto co zrobiliśmy

*Ludzie najbardziej potrzebują
adwokata właśnie wtedy, kiedy
zaczynają mówić prawdę.*

P.D. James

1

Hala sportowa mieściła się w betonowym równoległościanie na wzgórzu pod lasem. Wchodziło się tam stromą drogą pomiędzy perłowymi skałami, błyszczącymi oślepiająco w świetle słonecznym. Kiedy dotarłem na parking, moim oczom ukazał się gotowy plac budowy: obok konstrukcji z kontenerów stały wywrotka i buldożer. Mój niepokój wzrósł. Chwilę potem zobaczyłem młoty pneumatyczne, łamacze do betonu, nożyce do metalu, chwytaki i koparki. Dyrektorka nie przesadzała: życie starej hali sportowej dobiegało końca. Początek robót był tuż-tuż, a wraz z nim – nasza zguba.

Obszedłem dokoła równoległościan, szukając Maxime’a. Nie kontaktowałem się z nim od wieków, ale obserwowałem z daleka jego działania, zafascynowany i dumny. Sprawa Vinki Rockwell wywarła na niego kompletnie inny wpływ niż na mnie. Wydarzenia, które ścięły mnie z nóg, pozbawiając ochoty do działania, jego wyzwoliły, uwolniły od niewidocznego balastu. Zaczął tworzyć własną historię.

Po tym, co zrobiliśmy, nigdy już nie byłem tym samym człowiekiem. Żyłem w strachu i stresie, przez które zawałem cały rok kursu przygotowawczego. W lecie 1993 roku pojechałem do Paryża i ku rozpaczy rodziców zapisałem się do jakiejś pośledniej szkoły handlowej. Tak przeběbniłem cztery lata, opuszczając co drugie zajęcia, a resztę czasu spędzając w kafejkach przy bulwarze Saint-Michel, w księgarniach i w kinie.

Na czwartym roku był obowiązek spędzenia sześciu miesięcy za granicą. Większość moich kolegów poznajdowała staże w wielkich firmach, ja zadowolilem się czymś skromniejszym: zatrudniłem się jako asystent Evelyn Warren, nowojorskiej feministki. Warren, mimo że osiemdziesięcioletnia, wciąż jeździła z wykładami po uniwersytetach całej Ameryki. Bardzo inteligenta, ale kapryśna i okrutna wobec ludzi, była skłócona prawie ze wszystkimi. Bóg jeden wie, czemu mnie polubiła. Może dlatego, że nie reagowałem na jej humory i że nie udawało jej się mi zaimponować. Nie starała się zapewnić mi babcinej opieki, ale zaproponowała, żebym pracował dla niej po skończeniu studiów, i pomogła w staraniach o kartę pobytową. Pracowałem tam aż do jej śmierci, mieszkając w oddzielnym skrzydle wielkiego apartamentu na Upper East Side.

W wolnym czasie, a miałem go dużo, robiłem to, co mnie uspokajało – pisałem. Nie umiałem uporządkować własnego życia, więc wymyślałem historie, w których świat był piękny, bez rozterek i strachu. Bo różdżki czarodziejskie istnieją! Dla mnie taką różdżką był długopis. Za franka pięćdziesiąt dostawałem przyrząd zdolny zmienić rzeczywistość, naprawić ją lub nawet zniszczyć.

W 2000 roku wyszła moja pierwsza powieść, która znalazła się na liście bestsellerów wyłącznie dzięki szeptanej reklamie. Odtąd napisałem jakieś dziesięć książek. Pisanie i promocja zajmowały cały mój czas. Odniosłem sukces, ale w oczach rodziców pisarstwo nie było zajęciem godnym szacunku. „Jak pomyślę, że mogeś zostać inżynierem!” – powiedział kiedyś mój

zawsze taktowny ojciec i westchnął. Z czasem zacząłem coraz rzadziej odwiedzać Francję, a ostatnio spędzałem tu tylko tydzień poświęcony na spotkania autorskie i rozdawanie autografów. Starszej siostry i brata właściwie nie widywałem. Marie skończyła politechnikę i zajmowała wysokie stanowisko w departamencie handlu zagranicznego. Nie wiedziałem dokładnie, o co chodziło w jej pracy, ale domyślałem się, że nie było to nic ekscytującego. Jérôme natomiast był bohaterem rodzinnym: chirurg pediatra, w 2010 roku podczas trzęsienia ziemi pojechał na Haiti i został tam, by koordynować działalność organizacji Lekarze bez Granic.

2

No i jeszcze Maxime.

Najlepszy przyjaciel, którego w moim sercu nikt nigdy nie zastąpił. Mój brat. Znałem go od zawsze. Obie rodziny, jego ojca i mojej matki, pochodziły z Piemontu, z tej samej wioski Montaldicio. Zanim jeszcze moi rodzice dostali służbowe mieszkanie w Saint-Ex, byliśmy sąsiadami w Antibes, przy ulicy Suquette. Nasze domy stały obok siebie i mieliśmy panoramiczny widok na niewielki fragment Morza Śródziemnego. Trawniki przedzielone kamiennym murkiem służyły nam do gry w piłkę, a rodzicom do urządzania przyjęć z grillem.

W liceum Maxime nie był zbyt dobrym uczniem, w przeciwieństwie do mnie. Nie uczył się źle, ale zachowywał się jak dzieciak – bardziej wciągały go sport i kino niż subtelności *Szkoły uczuć* czy *Manon Lescaut*. Latem pracował jako ratownik na Cap d'Antibes, w Batterie du Graillon. Pamiętałem, jak wspaniale się prezentował z atletycznym torsem, długimi włosami surfera, w spodenkach Rip Curl i vansach, które nosił bez sznurowadeł. Otaczała go aura marzyciela i ze swoimi blond włosami był prototypem młodych bohaterów filmów Gusa Van Santa. Był też jedynym dzieckiem Francisa Biancardiniego,

znanego przedsiębiorcy budowlanego, który stworzył lokalne imperium w czasach, gdy przydzielanie zamówień publicznych nie było tak sprawdzane jak dziś. Znałem ojca Maxime'a dobrze, wiedziałem więc, że naturę miał skomplikowaną i zagadkową. Ludzie widzieli w nim prostaka: gruby, z wielkimi dłońmi murarza, zachowywał się pospolicie, w knajpie gadał faszyzujące głupstwa. Łatwo było go sprowokować. Obarczał winą za kryzys „Arabów, socjalistów i pedałów”. Był pewnym siebie rasistą w najbardziej frajerskiej wersji; nie rozumiał, że jego świat się skończył.

Maxime, zdominowany przez ojca, którego się wstydził, choć także go podziwiał, miał trudności ze znalezieniem swojego miejsca w życiu. Dopiero po tej tragedii udało mu się usamodzielnąć. Metamorfoza zajęła mu dwadzieścia lat i odbywała się etapami. Najpierw zabrał się do pracy i zdobył dyplom inżyniera budownictwa. Potem przejął firmę ojca i zrobił z niej najlepsze ekologiczne przedsiębiorstwo budowlane w całym regionie. Następnie współtworzył Platform77, największy inkubator start-upów na południu Francji. Nie krył się ze swoim homoseksualizmem. W lecie 2013 roku, kilka tygodni po tym, jak przeszło prawo zezwalające na małżeństwa gejów, wziął ślub w Antibes ze swoim partnerem, Olivierem Monsem – jeszcze jednym absolwentem Saint-Ex – który prowadził miejscową bibliotekę multimedialną. Mieli dwoje dzieci, dziewczynki, urodzone przez zastępczą matkę w Ameryce.

Znalazłem te wszystkie informacje na portalach internetowych gazet „Nice-Matin” i „Challenges”; pomógł mi też artykuł w „Le Monde” poświęcony „pokoleniu Macrona”. Maxime, do tej pory zwykły radny, od razu dołączył do ruchu En Marche! i jako jeden z pierwszych zwolenników przyszłego prezydenta prowadził jego komitet wyborczy. Dziś oficjalnie reprezentował LREM, ubiegając się o mandat posła z departamentu Alpy Nadmorskie. Mieszkańcy tego okręgu tradycyjnie opowiadali się za prawicą, od dwudziestu lat wybierano tu w pierwszej turze umiarkowanego, rozsądnego

republikanina, który świetnie spełniał swoje obowiązki. Jeszcze trzy miesiące temu nikomu nie przyszło na myśl, że okręg zmieni orientację polityczną, ale wiosną 2017 roku nowa energia zasilila kraj. Wielka fala sympatyków Macrona zagroziła wszystkim. Kandydaci z pewnością będą szli łeb w łeb, ale Maxime wydawał się faworytem.

3

Maxime stał przy wejściu do hali sportowej, pochłonięty dyskusją z siostrami Dupré. Przyjrzałem się mu z daleka. Miał na sobie płócienne spodnie, białą koszulę i lnianą marynarkę. Był opalony, jego lekko zmęczoną twarz rozświetlały wypłowiałe od słońca włosy i jasne spojrzenie. Léopoldine (Miss Tiara) i Jessica (Miss Bimbo) spijały słowa z jego ust, jakby deklamował im co najmniej monolog Rodryga, podczas gdy on starał się je przekonać, że zapowiadana podwyżka obowiązkowej składki na ubezpieczenie zwiększy siłę nabywczą konsumentów.

– Spójrzcie, kto tu idzie! – wykrzyknęła Jessica na mój widok.

Ucałowaliśmy się z bliźniaczkami – to one zajmowały się organizacją imprezy wieczornej – i objąłem Maxime’a. Może mi się wydawało, ale odniosłem wrażenie, że wciąż pachniało od niego kokosem, charakterystycznym zapachem olejku, którym kiedyś przyskał sobie włosy.

Przez pięć minut musieliśmy znosić pytlowanie bliźniaczek. Léopoldine kilkakrotnie powtórzyła, że wprost uwielbia moje powieści, a zwłaszcza *Otchłań zła*.

– Mnie też podoba się ta historia – odrzekłem. – Mimo że to nie ja ją napisałem. Ale przekażę twoje komplementy mojemu przyjacielowi Chattamowi.

Powiedziałem to tonem żartobliwym, lecz Léopoldine skamieniała. Po chwili oznajmiła, że nie zdążą pozawieszać girland świetlnych, i pociągnęła siostrę do pakamery, gdzie złożone były dekoracje.

Zostaliśmy sami. Maxime gwałtownie pobladł.

– Jestem załamany – wyszeptał, zanim zdążyłem się odezwać.

Jeszcze bardziej się zdenerwował, kiedy pokazałem mu okulary i wiadomość znalezioną U Dina, gdy wróciłem z toalety.

– Dostałem to samo przedwczoraj w biurze! – rzekł, łapiąc się za głowę. – Powinienem powiedzieć ci to przez telefon, wiem, ale bałem się, że wtedy nie przyjedziesz.

– Kto to mógł napisać?

– Nie mam pojęcia, a nawet gdybyśmy wiedzieli, niewiele by to zmieniło. – Wskazał głową buldożer i kontener z narzędziami.

– W poniedziałek zaczynają się roboty. Jesteśmy zgubieni.

Wyjął komórkę i pokazał mi zdjęcie córeczek, czteroletniej Louise i dwuletniej Emmy. Pogratulowałem mu mimo przygnębiającej sytuacji. Udało mu się tam, gdzie ja poniosłem klęskę: założył rodzinę, jego życie miało sens, był pełnowartościowym członkiem społeczeństwa.

– Stracę wszystko! – jęknął przerażony.

– Zaczekaj, nie mów hop... – rzuciłem pocieszająco, ale nie zareagował. Po chwili spytałem: – Byłeś już tam?

– Nie, czekałem na ciebie! – odparł.

4

Weszliśmy do hali sportowej.

Pomieszczenie było ogromne, tak jak pamiętałem. Ponad dwa tysiące metrów kwadratowych podzielonych na dwie części: salę gimnastyczną ze ścianą do wspinaczki i boisko do koszykówki z trybunami. Ze względu na wieczorną imprezę – okropny „bal absolwentów”, o którym pisano w prasie – maty do ćwiczeń, bramki i siatki zsunięto pod ścianę, a na środku przygotowano parkiet do tańca i podest dla orkiestry. Stoły do ping-ponga przykryto białymi serwetami. Wszędzie zwisały domowej roboty girlandy i inne podobne dekoracje. Krocząc po syntetycznej wykładzinie, pomyślałem, że tego wieczoru, kiedy orkiestra

będzie wygrywała hity INXS czy Red Hot Chili Peppers, dziesiątki par zatańczą w pobliżu zamurowanych zwłok.

Doszliśmy do ściany oddzielającej salę gimnastyczną od boiska z trybunami. Na czole Maxime'a pojawiły się krople potu, a ciemne plamy pod pachami przebijały nawet przez lnianą marynarkę. W pewnej chwili zachwiał się i stanął, jakby nie mógł iść dalej. Miałem wrażenie, że betonowa ściana odpycha go od siebie, tak jak odpychają się takie same bieguny magnesu. Oparłem się o nią dłońmi, niby obojętnie. Metrowej szerokości mur biegł przez całą halę, co najmniej dwadzieścia metrów. Znowu sparaliżowała mnie myśl o tym, że od dwudziestu pięciu lat młodzież przychodziła tu trenować, wyciskać z siebie siódme poty, nieświadoma, że w ścianie zamurowany jest trup.

– Jako radny mogłem pogadać z przedsiębiorcą, który będzie wyburzał halę – odezwał się Maxime.

– Tak? A jak to ma wyglądać?

– W poniedziałek ruszą koparki. To są fachowcy. Mają ludzi i supermaszyny. Wszystko zniknie w niecały tydzień.

– Więc teoretycznie mogą znaleźć ciało już pojutrze.

– Tak – wyszeptał i pokazał mi dłońią, żebym mówił ciszej.

– Czy jest możliwość, żeby tego nie znaleźli?

– Chyba żartujesz? Absolutnie żadnej. – Przetarł oczy. – Ciało było zawinięte w podwójnie złożoną plandekę. Nawet po dwudziestu pięciu latach odnajdą tam kości. Roboty zostaną natychmiast wstrzymane i zacznie się śledztwo.

– Ile czasu potrzeba, żeby zidentyfikować ciało?

Maxime wzruszył ramionami.

– Nie jestem gliną, ale z odszukaniem DNA, zidentyfikowaniem zębów i tak dalej, powiedziałbym... dobry tydzień. Problem w tym, że w tym czasie na pewno znajdą mój scyzoryk i twój żelazny pręt! I pewnie jakieś inne rzeczy. Wszystko robiliśmy w pośpiechu, kurwa! Dzięki nowoczesnym metodom śledczym znajdą ślady naszego DNA, może nawet odciski palców. Nie ma nas w bazie danych, ale co z tego? Na scyzoryku jest wygrawerowane moje nazwisko!

– Ach, to ten prezent od twojego ojca! – przypomniałem sobie.

– Tak, to ten scyzoryk.

Maxime nerwowo uszczypnął się w szyję.

– Muszę natychmiast coś zrobić! – jęknął. – Dziś po południu zawiadomię wszystkich, że nie startuję w wyborach. Trzeba znaleźć innego kandydata. Nie chcę być bohaterem pierwszego skandalu prezydentury Macrona.

Próbowałem go jakoś uspokoić.

– Zaczekaj, zaczekaj! Nie mówię, że uporamy się z tym w jeden weekend, ale należy spokojnie przeanalizować sytuację.

– Spokojnie przeanalizować sytuację? Kurwa, zabiliśmy człowieka! Zabiliśmy człowieka i zamurowaliśmy go w tej choleralnej hali.

4

Wrota nieszczęścia

*Więc strzeliłem jeszcze cztery
razy do bezwładnego ciała [...].
I były to jakby cztery krótkie
uderzenia, którymi zastukałem
do wrót nieszczęścia.*

Albert Camus

1

Dwadzieścia pięć lat wcześniej

Sobota, 19 grudnia 1992

Od samego rana padał śnieg. Nietypowe warunki atmosferyczne zdeorganizowały ferie Bożego Narodzenia. „Masakra!” – mówiono wszędzie. Na Lazurowym Wybrzeżu już lekki puch paraliżował życie, wystarczyło kilka białych płatków. Tymczasem rozpętała się prawdziwa zamieć śnieżna. Takie katastrofy zdarzyły się tu tylko dwa razy: w styczniu 1985 roku i w lutym 1986. Oczekiwano piętnastu centymetrów śniegu w Ajaccio, dziesięciu w Antibes i ośmiu w Nicei. Samoloty startowały z rzadka, większość pociągów nie kursowała, drogi były nieprzejezdne. Nie mówiąc już o przykrych przerwach w dostawie elektryczności.

Siedziałem w swoim pokoju i przez okno obserwowałem śnieżny zimny kampus. Był to krajobraz surrealistyczny. Biała płachta śniegu okryła krzewy i zarośla. Drzewa oliwne i cytrusy uginały się pod grubą warstwą białego pudru, a pinie wyglądały jak z baśni Andersena.

Na szczęście większość uczniów rozjechała się poprzedniego wieczoru do domów. Ferie Bożego Narodzenia były jedynym okresem w roku, gdy Saint-Ex się wyludniało. Na terenie kampusu zostało za specjalnym zezwoleniem tylko kilka osób: uczniowie przygotowujący się do najtrudniejszych egzaminów konkursowych oraz paru profesorów rezydentów, którzy z powodu zamieci śnieżnej nie dali rady wyjechać porannym pociągiem czy samolotem.

Od pół godziny siedziałem ze zgaszonym spojrzeniem przy biurku, bezradnie wpatrując się w następujące zadanie:

Współczynniki a i b są liczbami rzeczywistymi i spełniają warunek: $0 < a < b$. Zakładamy, że $u_0 = a$ i $v_0 = b$ dla całego ciągu liczb naturalnych n :

$$u_{n+1} = \frac{u_n + v_n}{2} \text{ oraz } v_{n+1} = \sqrt{u_n v_n}$$

Udowodnij, że ciągi u_n i v_n są zbieżne i że ich wspólna granica jest równa

$$\frac{b \sin \left(\arccos \left(\frac{a}{b} \right) \right)}{\arccos \left(\frac{a}{b} \right)}$$

Skończyłem osiemnaście lat. Byłem na kursie przygotowawczym do egzaminów konkursowych na wyższe studia o profilu ścisłym. Od początku roku szkolnego przeżywałem prawdziwe piekło; wydawało mi się, że tonę, spałem po cztery godziny na dobę. W mojej klasie na czterdzieści osób piętnaście już zrezygnowało. Nienawidziłem matematyki i fizyki, a z powodu kierunku, jaki wybrałem, musiałem poświęcać tym dwóm okropnym przedmiotom prawie całe dni. Najbardziej interesowałem się literaturą i sztuką, ale w pojęciu

moich rodziców drogą do kariery – tą, którą poszli mój brat i siostra – były wyłącznie studia na politechnice lub medycynie.

Zajęcia nie były jedynym źródłem mojego cierpienia. Tym, co naprawdę mnie męczyło i wypalało serce na popiół, była obojętność ze strony pewnej dziewczyny.

2

Moje myśli od rana do wieczora obracały się wokół Vinki Rockwell. Zналиśmy się od ponad dwóch lat, od kiedy jej dziadek, Alastair Rockwell, wysłał ją do szkoły we Francji. Starszy pan uważał, że będzie lepiej, gdy po tragicznej śmierci rodziców wnuczka znajdzie się z dala od Bostonu. Inna niż wszystkie, mądra, olśniewająca dziewczyna o rudych włosach, różnobarwnych tęczęwkach i delikatnych rysach... Nie najpiękniejsza dziewczyna w Saint-Ex, ale urocza i tajemnicza, przyciągała do siebie jak magnes i szybko traciło się dla niej głowę. Coś nieokreślonego utwierdzało cię w przekonaniu, że jeśli ją zdobędziesz, zdobędziesz cały świat.

Bardzo długo byliśmy zżyci, nierozłączni. Oprowadziłem ją po wszystkich moich ulubionych miejscach w okolicy: zwiedzaliśmy ogrody w Mentonie, willę Kerylos, park fundacji Maeghtów, przechadzaliśmy się romantycznymi uliczkami średniowiecznego miasteczka Tourrettes-sur-Loup... Usta nam się nie zamykały, cały czas rozmawialiśmy. Pokonaliśmy górski szlak *via ferrata* w La Colmiane, na targu w Antibes zajadaliśmy się plackiem z ciecierzycy, zwanym *la socca*, a pod wieżą genueńską na plaży Ondes prowadziliśmy długie debaty o wszystkim i o niczym.

Byliśmy niczym dwa palce jednej ręki, rozumieliśmy się bez słów. To na Vincę czekałem od chwili, gdy osiągnąłem wiek, żeby na kogoś czekać.

Jak daleko sięgam pamięcią, zawsze czułem się samotny, wyobcowany, drażniły mnie zgiełk świata i jego pleniąca się jak

zaraza miernota. W pewnym momencie uwierzyłem, że książki mogą mnie wyciągnąć z tej apatycznej pustki, ale nie można zbyt dużo żądać od książek. Powieści wciągną w życie innych ludzi, nie wezmą jednak w kojące ramiona, kiedy opadnie cię strach.

Była i druga strona medalu. To prawda, że dzięki Vince moje życie stało się cudowne, lecz jednocześnie wkradł się w nie lęk: co będzie, gdy ją utracę?

I właśnie to nastąpiło.

Po rozpoczęciu roku szkolnego – Vinca była w klasie przygotowawczej humanistycznej, ja w matematycznej – po pierwsze, nie mieliśmy już tylu okazji do spotkań, a po drugie, Vinca zaczęła mnie unikać. Nie odpowiadała na telefony ani na esemesy, a moje propozycje wyjść zbywała milczeniem. Koledzy z jej klasy donieśli mi, że oszałała na punkcie Alexisa Clémenta, młodego profesora filozofii. Krążyły nawet plotki, że ich niewinny flirt zmienił się w regularny romans. Z początku nie chciałem w to wierzyć, ale wkrótce oślepiła mnie zazdrość. Musiałem wybadać, na czym stoję.

3

Dziesięć dni wcześniej, pewnego środowego popołudnia, gdy humaniści zdawali próbny egzamin, miałem akurat godzinę wolnego i poszedłem odwiedzić dozorcę liceum, Pavla Fabianskiego, który bardzo mnie lubił. Co tydzień podrzucałem mu przeczytany „France Football”. Kiedy wyszedł, żeby przynieść mi w podzięcie puszkę coli z lodówki, podwędziłem klucze do internatu, po czym popędziłem do błękitnego pawilonu Nicolasa de Staëla, gdzie mieszkała Vinca, i dokładnie przeszukałem jej pokój.

Wiem, to, że byłem zakochany, nie upoważniało mnie do wszystkiego. Dobra, jestem chamem i co tam jeszcze chcecie. Ale jak większość ludzi przeżywających pierwszy zawrót głowy

myślałem, że nigdy już nie doznam czegoś podobnie głębokiego. Pod tym względem zresztą przyszłość przyznała mi rację.

Istniała jeszcze jedna okoliczność łagodząca, a mianowicie sądziłem, że wiem, co to jest miłość, bo dużo o niej czytałem. Niestety, trzeba porządnie dostać w kość, żeby zrozumieć, czym prawdziwe życie różni się od fikcji. W tamtym momencie, w grudniu 1992 roku, zwykłe zakochanie przekształciło się już w dręczącą pasję. A pasja z miłością nie ma nic wspólnego. Pasja to ziemia niczyja, bombardowana strefa wojenna, cierpienie, szaleństwo, śmierć.

Szukając dowodów zdrady Vinki, przejrzałem dokładnie każdą jej książkę. W końcu spomiędzy stron powieści Henry'ego Jamesa wypadły dwie złożone na pół stroniczki. Drżącymi dłońmi podniosłem je i od razu uderzył mnie ich zapach – natarczywa, pikantna mieszanka orzeźwiających woni leśnych. Rozłożyłem karteczki. Był to list od Clémenta. Szukałem dowodów, no to znalazłem.

5 grudnia

Moja najukochańsza Vinco!

Cóż za boską niespodziankę zrobiłaś mi wczoraj, wykradając się z akademika, by spędzić ze mną noc! Po otworzeniu drzwi na widok Twojej pięknej twarzy ogarnęło mnie najwyższe szczęście!

Miłości moja, nie istnieje nigdzie podobna namiętność. Serce moje oszalało, oszalał on w Twoich ustach i krew zawrzała mi w żyłach.

Czuję jeszcze Twoje świeże pocałunki. Pościel pachnie Tobą, wszędzie unosi się piękna waniliowa woń, lecz Ty znikłaś. To straszne. Chcę budzić się w Twych ramionach, wczepić się w Ciebie, zmieszać z Twoim mój oddech, odgadywać z tonu głosu żar Twych pragnień. Znow poczuć na ciele łagodny dotyk Twego języka.

Nie chcę, by to minęło. Pragnę być wiecznie w Tobie, w Twych pocałunkach, w Twoim dotyku.

Kocham Cię.
Alexis

8 grudnia

Vinco najdroższa!

W każdej sekundzie dnia myśli moje biegną do Ciebie. Żyję jak we śnie. Udaję, że prowadzę lekcje, udaję, że rozmawiam, udaję, że interesuje mnie sztuka grana przez moich uczniów... Udaję to wszystko, gdyż cały czas spala mnie żar wspomnień naszej ostatniej nocy.

W południe nie mogę już dłużej wytrzymać – podczas zmiany klas wychodzę na papierosa na taras pokoju nauczycielskiego i kogo widzę? Ciebie! Siedzisz na ławce i rozmawiasz z przyjaciółmi. Widząc mnie, dyskretnie skłaniasz głowę, co dodaje otuchy memu biednemu sercu. Za każdym razem, gdy Cię widzę, drzę, a świat wokół Ciebie się rozmywa. Przez chwilę pragnę podejść do Ciebie i chwycić Cię w ramiona. Niech wszyscy zobaczą, jak Cię kocham! Ale musimy zachować tajemnicę. Na szczęście już niedługo. Wkrótce nadejdzie wolność. Najdroższa Vinco, dzięki Tobie pułapka ciemności mego życia zmieniła się w perspektywę wspaniałej przyszłości. Miłości moja, każdy Twój pocałunek jest wiecznością. Dotyk Twych warg znaczy moje ciało rozpalonym żelazem miłości i zakreśla nowe granice raju, w którym wkrótce założymy rodzinę. Dziecko połączy nas na wieczność. Będzie miało Twój anielski uśmiech i Twe srebrne źrenice.

Kocham Cię.
Alexis

4

Odkrycie tych listów zdruzgotało mnie. Przestałem jeść i spać. Byłem załamany, cierpiałem jak potępieniec. Moje oceny

dramatycznie spadły, co zaczęło niepokoić nauczycieli i moją rodzinę. Matka przyparła mnie do muru i musiałem jej wyznać, że bez pamięci zakochałem się w Vince i że znalazłem listy od jej kochanka. „Żadna dziewczyna nie jest warta, żeby poświęcać dla niej naukę!” – oświadczyła zimno, nakazując mi jak najszybciej zebrać się w sobie.

Nękało mnie przeczucie, że nigdy nie wydostanę się z tej otchłani. Rzeczywistość okazała się zdecydowanie gorsza niż jakiegokolwiek moje przewidywania.

Szczerze mówiąc, nie dziwiło mnie, że Vinca zadurzyła się w Clémencie. W poprzednim roku uczył mnie w klasie maturalnej. Zawsze uważałem go za faceta płytkiego, ale umiał udawać. Byłem w wieku, w którym nie miałem co się z nim porównywać. Alexis Clément skończył dwadzieścia siedem lat, był piękny jak bóg, w tenisa grał niemal jak zawodowiec, miał sportowy wóz Alpine A310 i znał na pamięć prawie całego Schopenhauera. Natomiast ja... no cóż: Thomas Degalais, lat osiemnaście, wkuwający do egzaminów konkursowych na politechnikę; budżet tygodniowy – siedemdziesiąt franków od matki; środek komunikacji – motorower Peugeot 103, nawet niepodkręcony; rozrywki – gra w piłkę nożną na komputerze Atari ST.

Oczywiście nigdy nie uważałem Vinki za swoją własność. Ale wiedziałem, że jest stworzona dla mnie, tak jak ja byłem stworzony dla niej. Byłem tego pewien. Po prostu jeszcze nie nadszedł właściwy moment. Przeczynałem, że prędzej czy później odegram się na facetach w rodzaju Alexisa Clémenta. Niestety, w wyobraźni wciąż widziałem Vincę w łóżku z tym durniem. Tego nie mogłem znieść.

Gdy po południu zadzwonił telefon, byłem w domu sam. Poprzedniego dnia zaczęły się ferie i ojciec z moim bratem i siostrą polecili do Papeete do dziadków. Dziadkowie przeprowadzili się na Tahiti dziesięć lat wcześniej i co dwa lata spędzaliśmy z nimi Gwiazdkę. Ponieważ miałem fatalne wyniki, postanowiłem zostać i pracować. Mama następnego dnia

wyjeżdżała do departamentu Landy, do swojej siostry Giovany, będącej po ciężkiej operacji. Na razie jednak, jako jedyna dyrektorka szkoły na miejscu, starała się utrzymać na powierzchni ten wielki statek zaskoczony przez burzę śnieżną.

Od rana sypał śnieg. Telefon się urywał. W tamtych czasach Sophia Antipolis nie dysponowała odśnieżarkami ani maszynami do solenia ulic. Pół godziny wcześniej wezwano mamę do wypadku: samochód dostawczy ześlizgnął się z oblodzonej drogi przed stróżówką i zatarasował przejazd. Bezradna mama wezwała na pomoc Francisa Biancardiniego, ojca Maxime'a, i czekała na niego.

Podnosząc słuchawkę, oczekiwałem więc zawiadomienia o kolejnej katastrofie związanej ze śnieżycą lub może to Maxime postanowił odwołać nasze sobotnie spotkanie? Zwykle w ten dzień grywaliśmy w piłkarzyki U Dina, oglądaliśmy seriale na wideo, wymienialiśmy się płytami CD lub wystawialiśmy z motorowerami na parkingach McDonalda czy Carrefoura, a potem wracaliśmy patrzeć na gole mistrzostw Francji w programie sportowym TV.

– Thomas, błagam, przyjdź jak najszybciej!

Serce przestało mi bić. To nie był głos Maxime'a, to był zduszony głos Vinki. Myślałem, że pojechała do rodziny, do Bostonu. Nie, została w Saint-Ex, nie czuje się dobrze i bardzo mnie prosi, żebym przyszedł.

Wiedziałem, że jestem żaloszny, ale biegłem do niej na każde wezwanie. Teraz też pognałem – przeklinając się za brak ambicji, słabość i żalując, że nie stać mnie na wyniosłość.

5

Pod wieczór miało się ocieplić, ale jakoś nic tego nie zapowiadało. Zimno szczypało w nos, gwałtowne powiewy wiatru uderzały w twarz lepкими płatkami śniegu. W pośpiechu zapomniałem wciągnąć porządne buty i wyleciałem z domu

w adidasach. Okutałem się puchową kurtką i brnąłem pod wiatr jak jakiś Jeremiaś Johnson polujący na wyimaginowanego grizzly. Budynki internatu znajdowały się niecałe sto metrów od służbowego mieszkania rodziców, ale potrzebowałem prawie dziesięciu minut, żeby dotrzeć do pawilonu Nicolasa de Staëla. Zamieć zamazała niebieski kolor i za ścianą perłowej mgły widziałem jedynie szarą, niewyraźną masę.

Hol był pusty i lodowaty. Zasunięto nawet drzwi do świetlicy. Strzepnąłem śnieg z butów i wbiegłem na górę, pokonując po cztery stopnie. Zacząłem walić do drzwi pokoju Vinki, a ponieważ nie odpowiadała, pchnąłem je i wszedłem do jasnego pomieszczenia, w którym unosił się zapach wanilii i żywicy, charakterystyczny dla papieru ormiańskiego.

Vinca leżała zwinięta na łóżku. Oczy miała zamknięte. Spod pierzyny lśniącej jak śnieżne niebo za oknem ledwo było widać długie, rude włosy. Dotknąłem jej policzków i czoła. Były gorące. Nie otworzyła nawet oczu, tylko coś wymamrotała przez sen. Postanowiłem nie budzić jej i zajrzałem do łazienki, szukając leku na zabicie gorączki. Apteczka pełna była różnych silnych środków nasennych, uspokajających i przeciwbólowych, ale paracetamolu nie znalazłem.

Wszedłem i zapukałem do pokoju w końcu korytarza. W uchylonych drzwiach ukazała się twarz Fanny Brahim. Jej mogłem zaufać. Mimo że ostatnio nie widywaliśmy się zbyt często – oboje mieliśmy dużo pracy – Fanny była wierną przyjaciółką.

– Cześć, Thomas! – powiedziała, zdejmując okulary.

Miała na sobie podarte dzinsy, schodzone trampki i o wiele za duży moherowy sweter. Czarna jak węgiel kredka do oczu prawie zgasła wdzięk i światło jej spojrzenia. Makijaż ten szedł w parze z muzyką zespołu The Cure, którego płyta kręciła się na adapterze.

– Cześć, Fanny! Możesz mi pomóc?

Wyjaśniłem jej sytuację i spytałem, czy ma paracetamol. Kiedy poszła poszukać lekarstwa, włączyłem kuchenkę gazową

i nastawiłem wodę.

– Proszę – odezwała się, wręczając mi lek.

– Dzięki! Czy mogłabyś zrobić jej herbatę?

– Tak, tak, i porządnie posłodzę, to przeciw odwodnieniu. Już robię.

Wróciłem do pokoju Vinki. Tym razem otworzyła oczy i uniosła się na poduszce.

– Masz, połknij to! – Podałem jej dwie pastylki. – Jesteś rozpalona, musisz mieć gorączkę.

Vinca bynajmniej nie majaczyła, ale wyglądała niewyraźnie. Gdy spytałem, dlaczego po mnie zadzwoniła, wybuchła płaczem. Mimo spuchniętej twarzy i wysokiej temperatury nadal była nieprawdopodobnie ponętna. Otaczała ją nierealna, bajkowa aura. Prawie słyszałem czysty, krystaliczny dźwięk celesty, tak popularnej w muzyce folk z lat siedemdziesiątych.

– Thomas... – wymamrotała.

– Co się dzieje, powiedz?!

– Jestem okropna!

– Głupstwa pleciesz. Co się stało?

Vinca sięgnęła do stolika nocnego i chwyciła coś, co wydało mi się długopisem, zanim uświadomiłem sobie, że to test ciążowy.

– Jestem w ciąży – powiedziała.

Widząc małą, pionową kreskę oznaczającą, że wynik jest pozytywny, przypomniałem sobie fragmenty listów tego skurwiela Alexisa, które napełniły mnie obrzydzeniem: *Wkrótce założymy rodzinę. Dziecko połączy nas na wieczność. Będzie miało Twój anielski uśmiech i Twe srebrne źrenice.*

– Musisz mi pomóc! – jęknęła Vinca.

Byłem zbyt zdenerwowany, żeby zorientować się, o jaką pomoc jej chodzi.

– Nie chciałam tego, nie chciałam... – wyszeptała niewyraźnie. Usiadłem przy niej.

– To nie moja wina! – Zaszlochała. – To wszystko Alexis!

Siedziałem bez ruchu, ogłuszony. Poprosiłem, żeby powtórzyła to, co przed chwilą powiedziała.

– To wszystko Alexis! Nie chciałam z nim iść do łóżka!

Tak dokładnie powiedziała: „Nie chciałam z nim iść do łóżka”. Ten skurwiel Alexis Clément zmusił ją do robienia rzeczy, na które nie miała ochoty!

Wstałem, zdecydowany działać.

– Nie martw się, ja wszystko załatwię! – oznajmiłem, ruszając ku drzwiom. – Czekał na mnie. Niedługo wrócę.

Wyszedłem, potrącając Fanny, która niosła tacę z herbatą.

Nie wiedziałem tego wówczas, ale okłamałem Vincę podwójnie: po pierwsze, nic nie załatwiłem, wprost przeciwnie, wszystko się jeszcze bardziej skomplikowało. A po drugie – nie wróciłem do Vinki. To znaczy wróciłem, ale ona znikła. Znikła na zawsze.

6

Śnieg przestał padać, a ciemne, niskie niebo zapowiadało rychły zmrok.

Miotaly mną przeciwstawne uczucia. Wyszedłem z pokoju Vinki wściekły i oburzony, ale nagle wszystko odzyskało sens! To mnie Vinca wezwała na pomoc! Wciąż się dla niej liczyłem. A Alexis był zwykłym oszustem i do tego gwałcicielem.

Budynek, gdzie mieszkali nauczyciele, stał niedaleko. Alexis Clément miał matkę Niemkę i ojca Francuza. Z dyplomem Uniwersytetu Hamburskiego został zatrudniony na prawach urzędnika państwowego i przysługiwało mu służbowe mieszkanie w niewielkim pawilonie nieopodal jeziora.

Poszedłem na skróty, przez plac budowy, którym był obecnie teren przyszłej hali sportowej. Sterty murowanych płyt, fundamenty, betoniarki i ściany z cegieł – wszystko znikło pod grubą warstwą nieskalanie białego śniegu.

Nie spieszyłem się, wybierając broń. W końcu zdecydowałem się na żelazny pręt, zostawiony przez murarzy w taczce obok góry piachu. No cóż, nie wywinę się z zarzutu premedytacji! Coś się ze mną dziwnego stało, zachowywałem się jak nawiedzony, odziedziczona po dzikich przodkach agresja, pierwotny, prymitywny odruch napędzały mnie nieznaną siłą. Tak czułem się tylko raz w życiu, właśnie wtedy.

Do dziś pamiętam, jak oszołomiło mnie powietrze, lodowate i palące, czyste i słone. Nie byłem już tym ledwo zipiącym uczniem, z którego byle równanie wyciskało siódme poty. Stałem się mężnym rycerzem, wojownikiem, w każdej chwili gotowym stanąć do walki.

Gdy dotarłem do kwatery nauczycieli, było prawie zupełnie ciemno. W oddali na ponurej tafli jeziora drgało srebrne odbicie nieba.

Normalnie przez cały dzień, również w weekendy, wchodziło się do budynku bez dzwonka czy klucza. Tak jak internat, pomieszczenie było zimne, ciche i bez życia. Zdecydowanym krokiem wbiegłem na schody. Wiedziałem, że Clément jeszcze nie wyjechał, bo rano telefonicznie zawiadomił moją matkę, że lot do Monachium odwołano z powodu zamieci śnieżnych.

Uderzyłem pięścią w drzwi, zza których dobiegał dźwięk włączonego radia. Clément otworzył mi, nie spodziewając się niczego.

– Ach, dobry wieczór, Thomas!

Wyglądał jak ten tenisista Cédric Pioline: wysoki brunet z kręconymi włosami spadającymi na kark. Był ode mnie wyższy o dobre dziesięć centymetrów i znacznie silniejszy, ale w tym momencie miałem to gdzieś.

– Ale śnieży! – wykrzyknął. – I pomyśleć, że zaplanowałem narty w Berchtesgaden, gdy tymczasem tutaj...

W pokoju było strasznie gorąco. Pod drzwiami stała wielka torba podróżna. Z miniwieży dochodził aksamitny głos Jeana-Michela Damiana: „Kończymy na dziś *Les Imaginaires*, ale proszę nie wyłączać radia. France Musique przedstawi teraz komentarze jazzowe Alaina Gerbera...”.

W chwili, kiedy Clément zaprosił mnie do środka, spostrzegłem żelazny pręt w mojej dłoni.

– Co to za... – zaczął, wytrzeszczając oczy.

Nie było czasu na zastanawianie się ani rozmowę.

Pierwszy cios spadł jakby bez mojego udziału, to nie byłem ja. Clément dostał prosto w piersi, zachwiał się i zapało mu dech. Drugi cios rozwalił mu kolano. Clément zawył z bólu.

– Zgwałciłeś ją, chuju jeden!

Starał się oprzeć o barek, który oddzielał salon od małej części kuchennej, ale nie dał rady i zwałił się na podłogę, pociągając za sobą drewnianą konstrukcję. Stos talerzy i butelka wody San Pellegrino spadły i potłukły się w drobny mak, co mnie wcale nie powstrzymało.

Byłem jak w transie. Clément leżał, ale ja dalej waliłem w niego żelaznym prętem. Uderzałem regularnie, pchany siłą, której nie rozumiałem. Potem zacząłem go kopać. Nie mogłem przestać myśleć o tym złamasie szarpiącym się z Vincą na łóżku i to coraz bardziej mnie rozwścieczało. Nie był już dla mnie człowiekiem, nie istniał, a ja nie panowałem nad sobą. Czułem, że czynię coś nieodwracalnego, lecz nie mogłem się powstrzymać. Byłem jak kukła w rękach boga zła.

Nie jestem zbrodniarzem, nie jestem zbrodniarzem... – usłyszałem nagle jak przez sen głos sumienia, cichy, ale to była furtka. Ostatni moment, zanim znajdę się w sytuacji bez wyjścia. Pręt wyleciał mi z rąk. Zamarłem.

Clément wykorzystał moje wahanie. Zebrał się w sobie, złapał mnie za łydkę, a ponieważ miałem śliskie buty, udało mu się mnie przewrócić. Teraz ja leżałem na podłodze, a on, mimo że nieźle pokiereszowany, usiadł na mnie, zmieniając się z ofiary w atakującego. Był potwornie ciężki, nogami ścisnął mnie jak obcęgi, nie mogłem się ruszyć.

Otworzyłem usta, żeby krzyknąć, ale Clément chwycił zbitą butelkę. Bezsilnie patrzyłem, jak podnosi rękę, żeby uderzyć mnie stłuczonym szkłem. Czas rozplynął się i poczułem, że życie

ze mnie uchodzi. Trwało to wieczność. Sekundy, które potrafią wszystko zmienić.

Potem sprawy potoczyły się bardzo prędko. Brunatny strumień letniej krwi zalał mi twarz. Ciało Clémenta opadło, a ja wyciągnąłem spod niego dłoń, by otrzeć oczy. Kiedy je otworzyłem, wszystko było jak zamazane, nad ciemną masą Clémenta czułem jednak obecność Maxime'a. Wydawało mi się, że widzę jego jasne włosy, markowy dres, kurtkę z szarej wełny i czerwonej skóry.

7

Maxime'owi wystarczył jeden cios nożem. Szybki ruch błyszczącym ostrzem, niewiele dłuższym od noża do cięcia papieru. Zdawało się, że ledwo dotknął gardła Clémenta.

– Trzeba zadzwonić na pogotowie! – zawołałem, wstając.

Ale wiedziałem, że już za późno. Clément nie żył, a ja byłem zlany krwią. Miałem krew na twarzy, we włosach, na swetrze i adidasach. Czułem jej smak na wargach i języku.

Na chwilę Maxime znieruchomiał, podobnie jak ja. Zgnębiony, załamany, nie mógł wymówić słowa.

Nie było sensu dzwonić na pogotowie. Należało zawiadomić policję.

– Zaczekaj! – wykrzyknął nagle Maxime, budząc się z letargu.

– Może jeszcze złapię ojca!

– Gdzie on jest?

– Koło stróżówki!

Wypadł z pokoju i usłyszałem, jak zbiega po schodach, zostawiając mnie przy zwłokach człowieka, którego zabiliśmy.

Ile czasu tak siedziałem? Pięć minut? Kwadrans? Wokół panowała cisza, wróciło wrażenie, że czas się zatrzymał. Pamiętam, że aby nie patrzeć na martwego Clémenta, przylepiłem nos do szyby w oknie. Drżąca tafla jeziora znikła w ciemnościach, jakby ktoś nacisnął wyłącznik i zgasił odbijające

się w niej wcześniej światło. Staralem się zatrzymać wzrok na czymś konkretnym, ale wszystko ginęło pod skrzącą się pierzyną śniegu.

Przepastna biel jakby zapowiadała to, co teraz nas czekało. Wiedziałem, że dotychczasowe życie się skończyło. Nie to, że nadchodził inny czas czy że kończyła się jakaś epoka... Po prostu pod naszymi stopami, pod śniegiem, czekało na nas piekło.

Nagle usłyszałem hałas na klatce schodowej. Trzasnęły drzwi. Do pokoju wszedł Francis Biancardini w towarzystwie syna i szefa budowy. Wyglądał jak zwykle: potargane szpakowate włosy, skórzana kurtka poplamiona farbą, wypięty tors, nadwaga.

– Jak tam, chłopcze? – rzucił, szukając oczami mojego spojrzenia.

Nie byłem w stanie nic z siebie wydusić.

Zdawał się wypełniać całe mieszkanie, ale krok miał energiczny, zdecydowany, kontrastujący z ciężką sylwetką.

Stał na środku pokoju i w milczeniu oceniał sytuację. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Tak jakby się tego spodziewał, jakby spotkał się z czymś takim nie pierwszy raz.

– Od tej chwili ja tu dowodzę! – oznajmił, patrząc na Maxime'a i na mnie.

Słyszając ten spokojny, opanowany głos, zrozumiałem, że maska nieokrzesanego rasisty, jaką nosił przy ludziach, zaprzeczała jego prawdziwej naturze. W mrocznej chwili życia człowiek, na którego spoglądałem, jawił mi się jako nieustępliwy szef gangu, ojciec chrestny, ale jeśli dawał nam nadzieję na opanowanie katastrofy, byłem gotów ślubować mu wierność.

– Trzeba to posprzątać! – zwrócił się do szefa budowy Ahmeda. – Przynieś plandekę z furgonetki.

Blady ze strachu Tunezyjczyk nie mógł się powstrzymać i spytał:

– Jaki jest plan, szefie?

– Wpierdolimy go w ścianę! – odpowiedział ojciec Maxime'a, wskazując brodą na zwłoki.

- W jaką ścianę? – zapytał Ahmed.
- W ścianę hali sportowej.

Ostatnie dni Vinki Rockwell

*[...] nic za to nie wskrzesza
przeszłości w takiej pełni, jak
związany z nią niegdyś zapach.*

Władimir Nabokow

1

Dziś

13 maja 2017

– Nigdy więcej nie rozmawiałem o tym z ojcem! – oznajmił Maxime, zapalając papierosa.

Promień słońca błysnął w lakierowanej obudowie zapalniczki Zippo, ozdobionej reprodukcją japońskiej ryciny *Wielka fala w Kanagawie*. Opuściliśmy duszną halę sportową i wspięliśmy się na Orle Gniazdo, wąską, ukwieconą dróżką, biegnącą skalnym urwiskiem z widokiem na jezioro.

– Nie wiem nawet, w którym miejscu zamurował zwłoki – ciągnął mój przyjaciel.

– Może nadszedł czas, by go o to zapytać?

– Ojciec zmarł w zimie, Thomas.

– Cholera! Przykro mi.

Cień Francisa Biancardiniego dołączył do naszej rozmowy. Ojciec Maxime'a wydawał mi się niezniszczalny. Był skałą,

o którą rozbijali się wszyscy nieświadomi niebezpieczeństwa, jakie reprezentował. No, ale śmierć to wyjątkowy przeciwnik, zawsze wygrywa.

– Na co umarł?

Maxime zaciągnął się głęboko i przymknął oczy.

– To przykra historia... – powiedział. – W ostatnich latach większą część czasu spędzał u siebie w Aurelia Park. Wiesz, gdzie to jest?

Kiwnąłem głową. Dobrze znałem tę strzeżoną luksusową rezydencję na wzgórzach pod Niceą.

– Jesienią zaczęły się tam włamania, często brutalne. Złodzieje napadali na domy nawet podczas obecności właścicieli. Więzili mieszkańców, torturowali...

– I to przydarzyło się twojemu ojcu?

– Tak. W Boże Narodzenie. Miał zawsze przy sobie broń, ale nie zdążył po nią sięgnąć. Związali go i pobili. W końcu dostał zawału.

Włamania... jedna z plag Lazurowego Wybrzeża, pomyślałem. Zabetonowanie brzegów morza wielopiętrowymi budynkami, korki na drogach, masowa turystyka...

– Złapano ich?

– Tak... Banda Macedończyków. Wielka organizacja. Kilku złapała policja i dotąd siedzą.

Oparłem się o barierkę kamiennego tarasu. Moim oczom ukazał się zapierający dech w piersiach widok na jezioro.

– Poza twoim ojcem kto jeszcze wiedział o tej sprawie?

– Tylko my! – zapewnił mnie Maxime. – Znałeś mojego ojca, nie był zbyt rozmowny.

– A twój partner?

Maxime pokręcił głową.

– Kurwa, to jest ostatnia rzecz, którą chciałbym się podzielić z Olivierem. Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałem.

– Był jeszcze szef budowy, Ahmed Ghazouani.

– Ach, ten milczek, mruk... Jaki miałby interes gadać o zbrodni, której był współnikiem?

– On jeszcze żyje?

– Nie, zmarł na raka. Zresztą przedtem wrócił do siebie, do Tunezji, chciał umrzeć w Bizercie.

Włożyłem ciemne okulary. Zbliżało się południe. Słońce stało wysoko i promienie uderzały w skalny gzyms prawie pod kątem prostym. Orle Gniazdo ze swoją drewnianą barierką ochraniającą kamienny taras było atrakcyjnym, lecz niebezpiecznym punktem widokowym. Uczniom wycieczki w to miejsce były surowo wzbronione, ale jako syn dyrektora cieszyłem się specjalnymi przywilejami. Do dziś pamiętam bajkowe wieczory, jakie spędzałem tu z Vincą, paląc, sącząc mandarinello i patrząc na księżyc odbijający się w tafli jeziora.

– Te liściki pisze ktoś, kto o nas wie! – zdenerwował się nagle Maxime, mocno zaciągając się papierosem. W palcach został mu ledwo koniuszek z filtrem. – Clément miał jakąś rodzinę? – spytał.

Na pamięć znałem drzewo genealogiczne Alexisa Clémenta.

– Przede wszystkim był jedynakiem. Jego rodzice już wówczas byli starzy. Pewnie nie żyją. Z tej strony nie mamy się czego obawiać.

– No to z której?! Stéphane Pianelli? Ten facet cały czas za mną łązi, nie mogę się go pozbyć. Od kiedy biorę udział w kampanii Macrona, przeświewa mnie pod wszystkimi możliwymi kątami. Zagląda do starych spraw mojego ojca. A poza tym napisał tę książkę o Vince...

Może byłem naiwny, ale nie wyobrażałem sobie, żeby Pianelli chciał nas skompromitować.

– Tak, on wszędzie szuka sensacji – przytaknąłem. – Ale nie widzę w nim anonimowego donosiciela. Gdyby coś podejrzewał, zaatakowałby nas frontalnie. Zaniepokoiło mnie tylko to, co powiedział o forsie znalezionej w starej szatni.

– Co takiego?

Maxime najwyraźniej nie miał o niczym pojęcia. Szybko streściłem mu historię o zalanych piwnicach, torbie zawierającej

sto tysięcy franków oraz o dwóch odciskach palców, w tym jednym Vinki.

– Cały problem w tym, że ta torba była schowana w mojej szafce.

Maxime uniósł brwi.

– Zanim rodzice zostali zatrudnieni w Saint-Ex, przez pierwszy rok liceum mieszkałem w internacie – wyjaśniłem.

– Tak, pamiętam.

– Potem dostali służbowe mieszkanie i kazali mi zdać ten pokój.

– I zdałeś?

– Tak, oczywiście, ale mój następcą nie używał szafki i nie wziął ode mnie klucza. Klucz był cały czas u mnie, aż w końcu dałem go Vince, bo mnie o to poprosiła.

– Nie powiedziała ci, że chce tam schować forszę?

– Skąd! Zresztą ta sprawa kompletnie wyleciała mi z pamięci. Nawet kiedy kilka tygodni później Vinca znikła, w ogóle o tym nie pomyślałem.

– To jednak zadziwiające! Ona naprawdę przepadła bez śladu!

2

Stałem w słońcu. Oparty o kamienny murek Maxime pozazdrościł mi ciepła i przesunął się w moim kierunku.

– Właściwie to nie znaleźliśmy Vinki – powiedział.

No tak, znów ta sama śpiewka.

– Wprost przeciwnie, znaleźliśmy ją bardzo dobrze, przyjaźniliśmy się z nią! – zaprotestowałem.

– Znaleźliśmy ją, ale nic o niej nie wiedzieliśmy.

– Jak to?

– Wszystko świadczy o tym, że była zakochana w Clémencie: listy, które znalazłeś, fotografie, na których są razem... Pamiętasz to zdjęcie z balu na koniec roku? Dosłownie pożerała go wzrokiem!

- No i co z tego?
- Co z tego? Jak w takim razie kilka dni później mogła upierać się przy tym, że facet ją zgwałcił?
- Uważasz, że cię okłamałem?
- Nie, ale...
- O co ci chodzi, do cholery?!
- Może Vinca wcale nie umarła? Może żyje i podrzuca nam te listy?
- Myślałem już o tym – przyznałem. – Ale jaki miałyby motyw?
- Zemsty. Zabiliśmy jej ukochanego.
- Kurwa, ona się go panicznie bała, Maxime! Przysięgam ci, tak mi powiedziała! – zdenerwowałem się. – To były nawet ostatnie jej słowa. „To wszystko Alexis! Nie chciałam z nim iść do łóżka!”
- Może gadała od rzeczy. Pamiętasz przecież, często była naćpana. Brała LSD i każde gówno, jakie wpadło jej w ręce.
- Nie, nie! Ten skurwiol ją zgwałcił! – uciałem dyskusję zdecydowanym tonem.
- Maxime umilkł. Przez chwilę jego twarz nie wyrażała nic. Zapatrzył się w taflę jeziora. Minęło parę długich minut, zanim znowu na mnie spojrział.
- Powiedziałeś mi, że była w ciąży?
- Tak, wyznała mi to i widziałem test ciążowy.
- Jeśli to prawda i jeśli doszło do porodu, to jej dziecko miałoby teraz dwadzieścia pięć lat. Może żyje gdzieś syn lub córka i chce pomścić śmierć ojca?
- Przyznam, że o tym również myślałem. Była taka możliwość, ale pasowała bardziej do powieści niż do prawdziwego życia. Takie trochę niemodne rozwiązanie w nowelce kryminalnej. Odpowiedziałem tak Maxime’owi, lecz go nie przekonałem. Potem poruszyłem kwestię, która w tamtej chwili wydawała mi się najpilniejsza.
- Jest jeszcze jedna rzecz, Max, którą muszę ci powiedzieć. Na początku dwa tysiące szesnastego, kiedy przyjechałem tu na

promocję nowej książki, miałem starcie z funkcjonariuszem straży granicznej na lotnisku. Kawał drania, poniżał jakiegoś transseksualistę, zwracając się do niego uparcie „proszę pana”. Zrobiła się z tego cała afera, zatrzymali mnie i...

– Wzięli twoje odciski palców! – domyślił się Maxime.

– Tak, moje odciski są w bazie danych. To znaczy, że nie mamy w ogóle czasu! Jak tylko znajdą ciało i ten żelazny pręt, jeśli zachował się choć jeden odcisk, zaraz mnie zlokalizują.

– Co to zmienia?

Przedstawiłem mu to, co postanowiłem ostatniej nocy na pokładzie samolotu.

– Nie zamierzam cię w to wciągać. Ani ciebie, ani twojego ojca. Wszystko wezmę na siebie. Powiem, że to ja zabiłem Clémenta i że poprosiłem Ahmeda o pomoc w ukryciu ciała.

– Nikt ci nie uwierzy. A poza tym, dlaczego chcesz się poświęcać?

– Nie mam dzieci, żony, nie mam rodziny. Nie mam nic do stracenia.

– To bez sensu! – wykrzyknął, mrugając.

Moja propozycja, zamiast uspokoić Maxime’a, jeszcze bardziej go zdenerwowała. Po chwili zrozumiałem dlaczego.

– Gliny już coś wiedzą, Thomas! Jestem tego pewien. Nie da się mnie pominąć. Wczoraj wieczorem zadzwonili do mnie z komisariatu w Antibes. Dzwonił osobiście komisarz Vincent Debruyne i...

– Debruyne? Tak jak ten dawny prokurator?

– Tak... To jego syn.

Nie była to najlepsza wiadomość. W latach dziewięćdziesiątych rząd Jospina mianował Yvana Debruyne’a prokuratorem Republiki w sądzie okręgowym w Nicei, licząc na to, że ten zlikwiduje mafijne interesy na Lazurowym Wybrzeżu. Yvan Groźny – nowy prokurator lubił, jak go tak nazywano – zjechał na wybrzeże z wielką pompą, niczym jakiś wyzwoliciel. Ponad piętnaście lat zwalczał masonerię i korupcję wśród wyższych urzędników. Niedawno

dopiero przeszedł na emeryturę i wszyscy odetchnęli. Tak naprawdę mnóstwo ludzi nie cierpiało tego pozwania na Dalla Chiese¹. Jednak nawet jego przeciwnicy uważali za zaletę to, że nigdy nie odpuszczał. Jeśli syn wrodził się w ojca, to mieliśmy się zmierzyć z policjantem podstępny, tępiącym przedstawicieli nomenklatury i oczywiście zwolenników Macrona.

– Czego chciał?

– Prosił, żebym zjawił się jak najszybciej, chce mnie o coś zapytać. Powiedziałem, że wpadnę dziś po południu.

– Idź, musimy wiedzieć, na czym stoimy.

– Boję się! – wyszeptał Maxime.

W uspokajającym geście położyłem mu dłoń na ramieniu.

– Przecież to nie jest oficjalne wezwanie. Pewnie nasłuchiwał się jakichś plotek. I węszy na wszystkie strony. Gdyby miał na ciebie coś konkretnego, zachowałby się inaczej.

Maxime był blady i drżał. Rozpiął kilka guzików koszuli i wytarł spocone czoło.

– Nie mogę dłużej żyć z tym mieczem Damoklesa nad głową! Może gdybyśmy się do wszystkiego przyznali...

– Nie, Max! Proszę cię, wytrzymaj choć przez ten weekend. Wiem, że to trudne, ale ktoś celowo chce nas wystraszyć. My się jednak nie damy!

Maxime westchnął.

– Pozwól mi się zorientować – powiedziałem. – Widzisz, jak się wszystko poplątało. Przede wszystkim trzeba zbadać, co się stało z Vincą.

– Dobra, idę na komisariat! – rzucił. – Zawiadomię cię, jak poszło.

Patrzyłem, jak schodzi po skalnych schodach w kierunku drogi wijącej się pomiędzy polami lawendy. Jego sylwetka, coraz mniejsza i coraz mniej wyraźna, zapadła się w końcu w liliową toń.

Wychodząc z kampusu, zatrzymałem się przed Agorą, szklaną konstrukcją w kształcie spodka, którą doczepiono do budynku starej biblioteki (nikt w Saint-Ex nie śmiałyby użyć na określenie tego symbolicznego miejsca nazwy oficjalnej: Centrum Dokumentacji).

Właśnie zabrzmiał dzwonek na południową przerwę. Od niedawna trzeba było mieć kartę magnetyczną, żeby wejść na teren biblioteki, więc po prostu przeskoczyłem przez bramkę – sposób na dostanie się do paryskiego metra opatentowany przez chuliganów, studentów bez pieniędzy i prezydentów Francji.

Zbliżając się do recepcji, zauważyłem Eline Bookmans, którą wszyscy nazywali Zélie. Pretensjonalna intelektualistka, Holenderka z urodzenia, miała zawsze swoje zdanie i forsowała je za pomocą irytujących argumentów. Z dawnych czasów pamiętałem zmęczoną czterdziestolatkę pozującą na sportsmenkę, a ujrzałem hipisowską wersję babci z reklamy jogurtów: lenonki, kwadratowa twarz, podwójny podbródek, siwy koczek, luźny sweter ozdobiony okrągłym kołnierzykiem.

– Dzień dobry, Zélie!

Poza tym, że była absolutną władczynią biblioteki, przez całe lata układała program szkolnego kina i radia oraz pracowała dla kółka teatralnego o pompatycznej nazwie Sophia Shakespeare Company. Kółko to zresztą było oczkiem w głowie mojej matki w czasach, gdy zajmowała się klasami przygotowawczymi.

– Cześć, grafomanie! – rzuciła Zélie w moim kierunku, jakbyśmy się niedawno rozstali.

Nigdy jej nie rozgryzłem. Podejrzewałem nawet, że przez krótki okres była kochanką mojego ojca, ale, o ile pamiętam, mama zawsze ją szanowała i lubiła. Za moich czasów wszyscy uczniowie ją uwielbiali – „Zélie powiedziała to, Zélie powiedziała tamto...” i tak dalej. Pełniła funkcję powiernicy, pani z opieki społecznej, osoby rozbudzającej świadomość i co tam jeszcze i wykorzystywała to do maksimum. Nigdy nie podobało mi się zdrobnienie Zélie, uważałem je za cudaczne. Kierowała się zasadą: „Silna ze słabymi, słaba z silnymi”. Miała swoich

ulubieńców, często byli to uczniowie i tak już uprzywilejowani, zuchwali – pozostałych lekceważyła. Pamiętam, że uwielbiała mojego brata i siostrę, natomiast ja nigdy nie okazałem się godny jej zainteresowania. I dobrze – też jej nie lubiłem.

– Co cię do nas sprowadza, Thomas?

Między ostatnim naszym kontaktem a dzisiejszym dniem napisałem około dziesięciu powieści, przetłumaczonych na dwadzieścia języków, sprzedawanych w milionowych nakładach na całym świecie. Dla bibliotekarki, która była świadkiem mojego dorastania, musiało to coś znaczyć. Nie oczekiwałem komplementów, ale może lekkiego zainteresowania, a tu nic.

– Chciałbym wypożyczyć książkę – powiedziałem.

– Najpierw muszę rzucić okiem na twoje konto – oświadczyła Zélie.

Żarty żartami, ale naprawdę zaczęła szukać w komputerze konta sprzed dwudziestu pięciu lat.

– Mam! Tak jak myślałam, nie zwróciłeś dwóch książek: *Dystynkcji* Pierre’a Bourdieu i jeszcze czegoś Maxa Webera, o, mam: *Etyka protestancka a duch kapitalizmu*.

– Serio?

– Nie, żartuję... Powiedz mi, czego szukasz.

– Szukam książki, którą napisał Stéphane Pianelli.

– Pianelli przygotował pracę zbiorową pod tytułem *Podręcznik dziennikarstwa*, wydaną przez...

– To nie to. Chodzi mi o historię Vinki Rockwell, *Śmierć i dziewczyna*.

Zélie wystukała tytuł na klawiaturze.

– Tej już nie ma.

– Jak to?

– Książka wyszła w dwa tysiące drugim, w małym wydawnictwie. Nakład jest wyczerpany i nie było żadnych dodruków.

Popatrzyłem na nią zimno.

– Mówisz poważnie, Zélie?

Nastroszyła się i odwróciła ekran komputera w moją stronę. Zobaczyłem, że tej pozycji w ogóle nie było w katalogu.

– Nie wierzę! Pianelli skończył naszą szkołę. Na pewno kupiliście dużo egzemplarzy!

Bibliotekarka wzruszyła ramionami.

– Myślisz, że kupujemy dużo egzemplarzy twoich książek?

– Odpowiedz na moje pytanie, do cholery!

Zélie poczerwieniała, zaczęła się wiercić na krześle i zdjęła okulary.

– Dyrekcja podjęła decyzję, żeby wycofać książkę Stéphane'a z biblioteki.

– Dlaczego?

– Ponieważ mimo że minęło dwadzieścia pięć lat od zaginięcia tej dziewczyny, w dziwny sposób stała się ona obiektem kultu wśród niektórych uczniów.

– Tej dziewczyny? Mówisz o Vince?

Zélie skinęła głową.

– Zauważyliśmy, że od czterech czy pięciu lat praca Stéphane'a jest wciąż wypożyczana. Choć mieliśmy dużo egzemplarzy, lista oczekujących nieustannie się wydłużała. Postać Vinki coraz częściej stanowiła temat dyskusji między uczniami. W zeszłym roku Heterodoktki nawet przygotowały o niej sztukę.

– Heterodoktki?

– Elitarna grupa superinteligentnych dziewczyn, feministek. Rodzaj korporacji uczennic, hołdujących tezom amerykańskich feministek z początków dwudziestego wieku. Kilka z nich mieszka w pawilonie Nicolasa de Staëla. Wytatuowały sobie ten znak, który Vinca miała na kostce.

Pamiętałem ten dyskretny tatuaż. Litery GRL PWR. *Girl power*. Siła kobiet. Zélie usta się nie zamykały. Otworzyła dokument na komputerze. Był to plakat z musicalu pod tytułem *Ostatnie dni Vinki Rockwell*, który przypomniał mi okładkę płyty szkockiego zespołu Belle and Sebastian: czarno-białe zdjęcie widziane przez blad różowy filtr, wyszukana, modna grafika.

– Odbywały się też wieczory kontemplacyjne w pokoju Vinki, do tego chory kult relikwii, no i obchodzenie rocznic jej zaginięcia.

– Jak to wytłumaczysz, że Vinca wywarła takie wrażenie na milenialsach?

Zélie wzniosła oczy do nieba.

– Wydaje mi się, że niektóre dziewczyny identyfikują się z nią, zafascynowane jej romanssem z Clémentem. Vinca stała się symbolem wolności, zresztą niesłusznie. To, że znikła w wieku zaledwie dziewiętnastu lat, uczyniło ją ideałem.

Wciąż gadając, Zélie podeszła do metalowych regałów z tyłu i po chwili wróciła z egzemplarzem książki Pianellogo.

– Zatrzymałam jedną. Przejrzyj, jeśli chcesz... – westchnęła.

Przesunęłam dłonią po obwolucie.

– Nie mogę uwierzyć, że wycofaliście tę książkę w dwa tysiące siedemnastym roku!

– To dla dobra uczniów.

– Akurat! Cenzura w Saint-Exupérym! Coś takiego nie mogłoby się zdarzyć za czasów moich rodziców.

Zélie popatrzyła na mnie w milczeniu.

– Czasy twoich rodziców, jeśli dobrze pamiętam, nie skończyły się zbyt dobrze... – odparła.

Zagotowałam się, ale udało mi się opanować.

– O czym mówisz?

– O niczym – padła ostrożna odpowiedź.

Oczywiście wiedziałem, o co jej chodziło. Władza moich rodziców nad szkołą skończyła się nagle w 1998 roku, bardzo niesprawiedliwie, kiedy oskarżono ich o współudział w dość niejasnej sprawie dotyczącej nieprawidłowości w przyznawaniu zamówień publicznych na roboty budowlane.

Moi rodzice to doskonała ilustracja pojęcia „przypadkowe ofiary”. Yvan Debruyne, ówczesny prokurator (i ojciec inspektora zamierzającego przesłuchać Maxime’a), wbił sobie do głowy, żeby pogrążyć radnych, których podejrzewał o branie łapówek, przede wszystkim od Francisa Biancardiniego; na niego

zresztą również od dość dawna ostrzył sobie zęby. Większość plotek dotyczących Francisa była niedorzeczna – mówiono na przykład, że prał pieniądze mafii kalabryjskiej – część jednak mogła być uzasadniona. Niewątpliwie zdarzało mu się opłacać polityków, żeby dostać zamówienia publiczne. Próbując zniszczyć Francisa i przeglądając setki akt, prokurator spostrzegł nazwisko moich rodziców. Francisowi powierzano dużo remontów na terenie liceum, przy czym nie zawsze respektowano procedury przetargu. W ramach śledztwa moja matka spędziła w areszcie dwadzieścia cztery godziny, siedząc na twardym stołku w ponurych koszarach w Auvare, bo tam mieścił się komisariat północno-zachodniego okręgu Nicei. Następnego dnia zdjęcie rodziców pojawiło się na pierwszej stronie miejscowej gazety. Była to czarno-biała fotografia, na której wyglądali jak seryjni mordercy – coś między krwawymi kochankami z Utah a parą zbrodniarzy z Kentucky.

Zniszczeni psychicznie przez te niespodziewane przejścia, złożyli rezygnację z pracy w Ministerstwie Edukacji.

Chociaż nie mieszkałem już na Lazurowym Wybrzeżu, bardzo mnie to zabolalo. Oczywiście, że moi rodzice mieli wady, tak jak wszyscy, ale byli uczciwi. Zawsze działali w interesie uczniów i absolutnie nie zasługiwali na takie potraktowanie, które poza wszystkim rzucało cień na całość ich dokonań. Po półtora roku dochodzenie umorzono, bo nie znaleziono żadnych dowodów przestępstwa. Ale zło się stało i do dziś różni wredni hipokryci w rodzaju Eline „Zélie” Bookmans potrafią z kamienną twarzą pozornie niewinnym zdaniem szkalować moich rodziców.

Patrzyłem jej prosto w oczy tak długo, aż spuściła wzrok i przeniosła go na ekran komputera. Mimo że wyglądała jak babcia, chętnie roztrzaskałbym jej głowę o klawiaturę (w końcu to ja byłem przestępcą!). Zachowałem kamienny spokój i pohamowałem złość dla dobra śledztwa, które prowadziłem.

– Mogę to wypożyczyć? – spytałem, pokazując książkę Pianellogo.

– Nie.

– Oddam w poniedziałek.

– Nie – powtórzyła Zélie. – Książka jest własnością biblioteki.

Jak gdybym nie usłyszał, wsunąłem egzemplarz pod ramię i skierowałem się ku wyjściu.

– Chyba się mylisz! – zawołałem. – Sprawdź w bazie danych. Nie ma jej w katalogu.

Wyszedłem na dwór, okrążyłem budynek Agory i opuściłem kampus skrótem przez pola. Lawenda tego roku zakwitła znacznie wcześniej, ale jej zapach nie pasował do tego z moich wspomnień. Coś się rozregulowało. Duszna, metaliczna woń, którą owiał mnie wiatr, przypominała zapach krwi.

6

Śnieżny pejzaż

*Szybkość, morze, noc; napięcie,
przepastna ciemność – wszystko,
w czym można się zatracić,
pozwała się odnaleźć.*

Françoise Sagan

1

Niedziela, 20 grudnia 1992

Nazajutrz po morderstwie obudziłem się późno. Wieczorem wziąłem dwie tabletki nasenne, które znalazłem w szafce rodziców w łazience. Mieszkanie było puste i wyziębione. Matka wyjechała do Landów wcześniej rano, a kaloryfery przestały grzać, bo wysiadły korki. Półprzytomny, spędziłem kwadrans na obmacywaniu licznika, zanim udało mi się włączyć prąd.

W kuchni na lodówce znalazłem miły liścik od mamy, która przygotowała mi pyszne grzanki z bułki w jajku. Za oknem skrzył się w słońcu śnieg i przez chwilę miałem wrażenie, że jestem w ośrodku narciarskim Isola 2000, gdzie ojciec Maxime'a miał dom i zapraszał nas prawie każdej zimy.

Machinalnie włączyłem France Info. To prawda, od wczoraj byłem mordercą, ale świat nadal się kręcił: horror w Sarajewie, ginące z głodu somalijskie dzieci, skandal zakażonej krwi, mecz

piłki nożnej Paris Saint Germain–Olympique Marseille, czyli prawdziwa jatka... Zrobiłem sobie kawę i rzuciłem się na grzanki mamy. Byłem mordercą, ale głodnym. Potem pół godziny stałem pod prysznicem i zwymiotowałem to, co zjadłem. Mimo że wyszorowałem się dokładnie, wciąż miałem wrażenie, że nigdy nie zmyję z siebie lepkiej krwi Clémenta.

Opary gorącej wody odurzyły mnie i o mało nie zemdlałem. Kark mi zeszywniał ze strachu, ledwo mogłem ustać i bolał mnie brzuch. Przestałem myśleć. Nie wiedziałem, co robić. To musi się skończyć. Nie dam rady udawać, że nic się nie stało. Wszedłem spod prysznicza z decyzją pójścia na komisariat i przyznania się do wszystkiego. Ale po chwili zrobiłem w tył zwrot – przecież nie mogę wydać Maxime’a ani jego ojca! Pomogli mi, ryzykując wszystko.

Włożyłem dres i poszedłem biegać.

2

Trzy razy okrążyłem jezioro, sprint na ostatniej prostej mnie wykończył. Wokół skrzył się śnieg, tworząc biały bajkowy krajobraz. Biegając, miałem wrażenie, że zlewam się w jedno z przyrodą. Drzewa, śnieg i wiatr wciągały mnie w kryształowe serce dziewiczego, nierealnego świata. Jasność, bezkres, zimno. Życie wydało mi się niezapisaną stroną, czekającą dopiero na moje słowa.

Wracając do domu, odrętwiały po wysiłku, zahaczyłem o pusty pawilon de Staëla. Wyglądał jak statek widmo. Dobijałem się dłuższą chwilę, ale dziewczyn nie było w środku. Pokój Fanny był zamknięty, a Vinki otwarty, tak jakby wyszła tylko na chwilę. Wszedłem. Było ciepło i przytulnie. Wszędzie czułem jej obecność, z każdego zakątka emanowała jej melancholia, przenosząc mnie w inny wymiar. Pościel na niezasłanym łóżku pachniała wciąż jej wodą kolońską i świeżo ściętą trawą.

Te piętnaście metrów kwadratowych było jej całym światem. Na ścianie przypięła pinezkami plakaty dwóch filmów: *Hiroszima, moja miłość* i *Kotka na gorącym blaszanym dachu*. Czarno-białe zdjęcia pisarzy: Colette, Virginia Woolf, Rimbaud, Tennessee Williams. Strona z kolorowego pisma z erotyczną fotografią Lee Miller, zrobioną przez Mana Raya. Cytat z powieści Françoise Sagan, na kartce pocztowej, coś o szybkości, morzu i przepastnej ciemności. Na parapecie storczyk Wanda i prezent urodzinowy ode mnie, kopia rzeźby Brâncușiego *Panna Pogany*. Nad biurkiem półka z ułożonymi byle jak płytami, muzyka klasyczna: Satie, Chopin, Schubert, stary dobry pop: Roxy Music, Kate Bush, Procol Harum i kilka nagrań muzyki trudnej, dla mnie niestrawnej: Pierre Schaeffer, Pierre Henry, Olivier Messiaen...

Na stoliku nocnym leżała książka, którą zauważyłem już wczoraj: wiersze rosyjskiej poetki Mariny Cwietajewej. Na pierwszej stronie ujrzałem – niestety niezłą – dedykację autorstwa Alexisa Clémenta. Przygnębiło mnie to.

*Dla Vinki.
Pragnę być duszą bez ciała,
by móc zawsze przy Tobie tkwić.
Kochać Cię, wielbić Cię – to żyć.
Alexis*

Czekałem na Vincę jeszcze parę minut, coraz bardziej niespokojny. W brzuchu zaczęło mnie kłuć i żeby ukoić nerwy, puściłem jedną z płyt. Piosenka *Sunday Morning*, pierwsza z legendarnego albumu grupy Velvet Underground, niezwykle pasowała do sytuacji. Była to muzyka głucha, monotonna, oszalamiająca. Czekałem i czekałem, aż wreszcie jak przez mgłę doszło do mnie, że Vinca nie wróci, nie wróci już nigdy. Czuję się jak naćpany. Jeszcze przez chwilę, zanim wyszedłem, wdychałem jej zapach wiszący w powietrzu.

Od dawna zastanawiałem się, na czym polegał wpływ Vinki na mnie, dlaczego w jej obecności odczuwałem fascynujący, ale

bolesny zawrót głowy. Wciąż powracam do narkotyków. Nawet kiedy przebywaliśmy razem, gdy miałem ją tylko dla siebie, towarzyszyło mi uczucie niedosytu podobne do głodu narkotycznego. Łączyły nas chwile magiczne, melodyjne, harmonijne, doskonale jak niektóre piosenki pop. Ale ta lekkość nigdy nie trwała długo. Już w trakcie wiedziałem, że to bańka mydlana.

Vinca wyslizgiwała mi się z rąk.

3

Wróciłem do domu, żeby nie przegapić telefonu od ojca, który po długiej podróży na Tahiti obiecał dzwonić przed pierwszą po południu. Połączenia telefoniczne kosztowały majątek, a ojciec nie był specjalnie gadatliwy, więc rozmowa trwała krótko i była chłodna, tak jak nasze stosunki.

Potem udało mi się zjeść kurczaka w curry zostawionego przez mamę i tym razem nie zwymiotowałem. Przez całe popołudnie odsuwałem dręczące myśli, skupiając się na obowiązkach, czyli na wkuwaniu matematyki i fizyki. Zdołałem rozwiązać kilka trudnych równań różniczkowych, ale wkrótce odpuściłem – nie mogłem się skoncentrować. Byłem bliski ataku paniki. Cały czas widziałem siebie tłukącego Clémenta żelaznym prętem. Gdy pod wieczór zadzwoniła mama, ledwo żyłem. Chciałem wszystko jej wyznać, ale nie mogłem dojść do słowa – bez przerwy namawiała mnie, żebym do niej przyjechał. Doszła do wniosku, że pozostawienie mnie samego na dwa tygodnie to bardzo zły pomysł. Stwierdziła, że nauka pójdzie mi lepiej w otoczeniu rodziny.

Zgodziłem się z tym. W poniedziałek wczesnym rankiem, kiedy było jeszcze ciemno, a wokół sypał śnieg, wsiadłem w pociąg z Antibes do Marsylii, gdzie miałem przesiadkę, i w tłoku, z dwugodzinnym opóźnieniem, dotarłem do Bordeaux.

Ostatni pociąg do Dax odjechał i zarząd kolei zorganizował autobusy. W Gaskonii znalazłem się po północy.

Moja ciotka Giovana mieszkała na zapadłej wsi, w starym domu, w którym kiedyś na ostatnim piętrze znajdowały się wielkie, ozdobne gołębniki. Zarośnięta bluszczem willa miała dziurawy dach, który przeciekał. W Landach pod koniec 1992 roku bez przerwy lało. O piątej po południu zapadała noc, a w dzień było cały czas szaro.

Właściwie niezbyt dokładnie pamiętam te dwa tygodnie, które spędziłem z mamą i ciotką. W domu panował dziwny nastrój; dni mijały jeden za drugim, krótkie, zimne i smutne. Wydawało się, że wszyscy przebywamy tu, żeby odzyskać siły po chorobie. Matka z ciotką opiekowały się mną, a ja nimi. Czasem, podczas leniwych popołudni, mama robiła naleśniki i jedliśmy je, rozwaleni na kanapie przed telewizorem, oglądając po raz nie wiem który francuski film z 1941 roku pod tytułem *L'Assassinat du père Noël* albo stare odcinki *Columbo* i *Partnerów*.

Przez cały pobyt ani razu nie otworzyłem zeszytów do matmy i fizyki. Aby przestać myśleć o tym, co się stało, i uciec przed rzeczywistością, czytałem. Nie pamiętam za bardzo, co robiliśmy, ale pamiętam każdą książkę, po którą sięgnąłem. Cierpiałem razem z bliźniakami, bohaterami *Dużego zeszytu*, próbującymi przetrwać wojnę. Spacerowałem po fascynującej dzielnicy kreolskiej *Texaco* w Fort-de-France, wędrowałem przez las amazoński ze *Starym człowiekiem, co czytał romanse*. Przeżyłem Praską Wiosnę pośród czołgów, medytując nad *Nieznośną lekkością bytu*. Powieści mnie nie leczyły, ale na chwilę zdejmowały ze mnie ciężar bycia sobą. Były moją komorą dekompresyjną, tamą, która wstrzymywała zatapiającą mnie falę przerażenia.

Słońce do nas nie docierało. Co rano myślałem, że to mój ostatni dzień na wolności. Gdy tylko na drodze pojawiał się samochód, byłem przekonany, że to żandarmi przyjeżdżają mnie zatrzymać. Kiedy raz ktoś zadzwonił do drzwi, wdrapałem się do

gołębnika. Jakby co, rzucę się w przepaść! Nie miałem zamiaru iść do więzienia.

4

Lecz nikt nigdy nie przyjechał mnie aresztować, ani w Landach, ani na Lazurowym Wybrzeżu.

Minęły ferie i życie w Saint-Exupérym wróciło na zwykłe tory. Z jednym wyjątkiem – wszyscy mówili o Alexisie Clémencie, ale nie o jego śmierci, tylko o sekretnym romansie z Vincą i ich ucieczce. Cała szkoła była zafascynowana tą skandaliczną historią. Każdy wtrącał swoje zdanie, zdradzał sekrety, przytaczał anegdoty, odczuwał niezdrową przyjemność z obmawiania innych. Plotka szła z ust do ust, przybierając na sile. Nawet profesorowie, których przedtem podziwiałem, bezwstydnie obgadywali zaginioną parę, pozwalając sobie na żarciki, od których robiło mi się niedobrze.

Kilka osób potrafiło zachować godność. Byli to między innymi Jean-Christophe Graff, mój profesor od francuskiego, i panna DeVille, wykładająca literaturę angielską w klasach przygotowawczych na studia humanistyczne. Nie chodziłem na jej zajęcia, ale słyszałem, jak mówiła do mojej matki: „Trzymajmy się z daleka od miernoty, jest zaraźliwa”. To sformułowanie bardzo mi później pomogło przy podejmowaniu pewnych decyzji.

Pierwszą osobą, która naprawdę zaniepokoiła się zniknięciem Vinki, był jej dziadek i opiekun, stary Alastair Rockwell. Vinca często opisywała mi go jako autorytatywnego, ponurego patriarchę, archetyp self-made mana. Alastair Rockwell dopuszczał ewentualność, że jego wnuczkę porwano, co oznaczałoby atak na całą rodzinę. Rodzice Clémenta również zaczęli się niepokoić. Syn uprzedzał ich, że wyjeżdża z kolegami na tydzień na narty do Berchtesgaden, ale nigdy tam

nie dotarł, a także nie przyjechał do nich na sylwestra, jak miał w zwyczaju.

Policja ociągała się z wkroczeniem do akcji. Po pierwsze, Vinca była pełnoletnia, a po drugie, śledztwo było skomplikowane pod względem prawnym. Vinca miała podwójne obywatelstwo, francuskie i amerykańskie, a Clément był Niemcem. Nie wiadomo było dokładnie, gdzie zaginęli. Może jedno z nich było napastnikiem? A może oboje byli ofiarami?

Tak więc minął ponad tydzień, zanim żandarmi odwiedzili Saint-Ex. Dochodzenie ograniczyło się do zadania kilku pytań osobom z bliskiego kręgu znajomych zaginionej pary. Przeszukano byle jak ich pokoje, zabezpieczono je, ale nie wezwano ekipy kryminalistycznej.

Dopiero znacznie później, pod koniec lutego, kiedy do Francji przyjechał Alastair Rockwell, sprawa ruszyła z miejsca. Dziadek Vinki poruszył sprężyny swoich znajomości i oznajmił w mediach, że zatrudnił prywatnego detektywa. Na teren szkoły znów przyjechała policja, tym razem już nie miejscowa żandarmeria, ale grupa śledczych z wydziału kryminalnego z Nicei. Zaczęli systematycznie przesłuchiwać wszystkich, przesłuchali również mnie, Fanny i Maxime'a oraz pobrali DNA w pokoju Vinki.

Stopniowo zeznania świadków i zebrane dowody pozwoliły dokładniej ustalić przebieg niedzieli i poniedziałku, dwudziestego i dwudziestego pierwszego grudnia, kiedy Vinca i Alexis po prostu się ulotnili.

Dozorca szkolny Pavel Fabianski zeznał, że tej niedzieli koło ósmej rano podniósł barierkę przy wyjeździe z kampusu, wypuszczając samochód Alpine A310 z Clémentem za kierownicą. Obok Clémenta, co do tego Fabianski nie miał najmniejszych wątpliwości, siedziała Vinca, która spuściła szybę i podziękowała mu gestem ręki. Kilka minut później dwaj mężczyźni odśnieżający rondo Haut-Sartoux zapamiętali ten samochód, bo przy skręcie na Antibes wpadł w lekki poślizg. To zresztą w alei Libération, niedaleko dworca w Antibes,

znaleziono auto Clémenta, zaparkowane przed pralnią samoobsługową. Wielu pasażerów w pociągu do Paryża zapamiętało rudą dziewczynę w towarzystwie faceta, który miał na głowie czapkę z daszkiem klubu Mönchengladbach – ulubionego klubu Clémenta. Nocny portier z hotelu Sainte-Clotilde przy ulicy Saint-Simon w siódmej dzielnicy Paryża również zeznał z pełnym przekonaniem, że panna Vinca Rockwell i pan Alexis Clément spędzili tam jedną noc – zrobili ksero ich paszportów. Pokój zarezerwowali poprzedniego dnia telefonicznie i zapłacili po przyjeździe. Z minibarku w pokoju wzięli piwo, sok ananasowy i dwie paczki pringlesów. Portier pamiętał nawet, że młoda dama zadzwoniła do recepcji z pytaniem, czy mają może colę wiśniową, ale, niestety, nie mieli.

I był to ostatni punkt tego programu, gdyż potem ślad po nich zaginął. Vinca i Alexis nie zamówili śniadania do pokoju ani nie zeszli do jadalni. Sprzątaczką zauważono, że wyszli wczesnym rankiem, lecz nikt nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, kiedy opuścili hotel. W łazience znaleziono kosmetyczkę Vinki z przyborami toaletowymi i do makijażu, ze szczotką do włosów marki Mason Pearson i z flakonem perfum – wszystko wylądowało w składziku sprzątaczką wśród innych zapomnianych przez gości przedmiotów.

W tym punkcie śledztwo utknęło. Żaden poważny świadek nie doniósł o obecności Vinki i Clémenta w jakimś innym miejscu. Wszyscy myśleli, że wypali się ogień namiętności i zaginieli sami wróć. Jednak adwokaci Alastaira Rockwella nie odpuszczali. W 1994 roku uzyskali nakaz sądowy i dokonano analizy DNA szczoteczki do zębów i szczotki do włosów znalezionych w pokoju hotelowym. Mimo że było to DNA Vinki, sprawa nie posunęła się do przodu. Być może gdzieś jakiś uparty inspektor pracował jeszcze nad dowodami, nie chcąc, żeby śledztwo uległo przedawnieniu, ale o ile wiem, to był ostatni akt dochodzenia.

Alastair Rockwell ciężko zachorował i zmarł w 2002 roku. Spotkałem się z nim kilka tygodni przed jedenastym września na czterdziestym dziewiątym piętrze World Trade Center, w jego

nowojorskim biurze. Oznajmił wówczas, że Vinca dużo o mnie opowiadała, że nazywała mnie miłym, eleganckim i dyskretnym. Te trzy przymiotniki w ustach starszego pana nie zabrzmiały, niestety, jak komplement. Miałem ochotę odpowiedzieć, że to dyskrecja zdopingowała mnie do skatowania żelaznym prętem faceta o głowę ode mnie wyższego, ale oczywiście tego nie zrobiłem. Poprosiłem starego Rockwella o spotkanie, żeby dowiedzieć się, czy jego detektyw odkrył coś nowego. Odparł, że nie, ale nie byłem pewien, czy to prawda.

Czas mijał i z biegiem lat przestano się interesować losem Vinki. Pozostałem jednym z niewielu, którzy wciąż o niej myśleli. Wersja oficjalna była, rzecz jasna, nieprawdą, ale czy ucieczka Vinki miała coś wspólnego z zabiciem przez nas Clémenta? Czy byłem odpowiedzialny za zniknięcie dziewczyny, którą tak kochałem? Przez ponad dwadzieścia lat starałem się rozwiązać tę zagadkę i nadal nic nie wiedziałem.

CHŁOPAK INNY NIŻ WSZYSCY

Na ulicach Antibes

*Ta książka to może kryminał, ale
ja nie jestem kryminalistą.*

Jesse Kellerman

1

W Antibes zaparkowałem samochód tam gdzie kiedyś, na parkingu w porcie Vauban, przy najpiękniejszych jachtach świata. Tu w lipcu 1990 roku – miałem wówczas prawie szesnaście lat – znalazłem pierwszą wakacyjną pracę. Było to głupie zajęcie: podnosiłem szlaban, biorąc od turystów trzydzieści franków za pozwolenie postawienia samochodu w pełnym słońcu. Tamtego lata przeczytałem *W stronę Swanna*, wydanie z reprodukcją *Katedry w Rouen* Claude’a Moneta na okładce. Poza tym zadurzyłem się w młodej paryżance. Miała falujące jasne włosy obcięte równo nad karkiem i śliczne imię Bérénice. W drodze na plażę zatrzymywała się przed budką strażnika i zamieniała ze mną parę słów. Dość szybko zrozumiałem, że bardziej od wzruszeń Charles’a Swanna i Odety de Crécy interesowali ją Glenn Medeiros i New Kids on the Block.

Dziś szlaban podnosił się automatycznie. Wziąłem kwitek, znalazłem miejsce niedaleko kapitanatu i ruszyłem wzdłuż doków. Przez dwadzieścia lat wiele się zmieniło. Drogę do portu poszerzono, większość ulic przekształcono w deptaki. Ale widok był wciąż ten sam, dla mnie jeden z piękniejszych na Lazurowym

Wybrzeżu: niebieskie morze, za lasem masztów masywna, spokojna sylwetka fortu Carré, błękitne niebo i w oddali dyskretny zarys gór.

Wiał mistral. Uwielbiałem takie dni. Okoliczności skłaniały mnie do zaakceptowania przeszłości i ponownego zadomowienia się w miejscu, które kochałem i które opuściłem ze złych powodów. Nie było to już miasto mojej młodości, ale z Antibes miałem tak jak z Nowym Jorkiem – wymarzyłem je sobie i w moich oczach nie miało tandetnego błysku tutejszych miast. Takie Antibes pokazywałem Vince. Dzięki mnie zobaczyła miasto jazzu, Amerykanów i straconego pokolenia; to ono niegdyś przyjęło z otwartymi ramionami większość moich ulubionych artystów. Maupassant trzymał tu swój jacht *Le Bel Ami*, Scott Fitzgerald i Zelda mieszkali po wojnie w Belles Rives, Picasso miał pracownię w zamku Grimaldi, o dwa kroki od mieszkania, w którym Nicolas de Staël namalował swoje najpiękniejsze obrazy. Keith Jarrett w końcu, autor podkładu muzycznego do moich wszystkich audiobooków, był stałym gościem na scenie Pinède.

Przeszedłem pod zabytkową bramą, Porte Marine, punktem granicznym między portem a warowną starówką. Był wiosenny weekend, panowało ożywienie, ale nie widziałem jeszcze panoszących się turystów. Można było iść ulicą Aubernon, nie narażając się na ciągłe potrącanie. W hali targowej Cours Masséna sprzedawcy warzyw, kwiatów i serów oraz miejscowi rzemieślnicy powoli zwijali kramy, lecz w krytej części wciąż jeszcze roiło się od ludzi rozmawiających w miejscowej gwarze, pośród zapachów czarnych oliwek, kandyzowanych cytrusów, mięty, suszonych pomidorów... Przed ratuszem świętowano ostatni ślub tego ranka. Rozpromieniona para schodziła po schodach wśród oklasków i w deszczu z płatków róż. Obserwowałem ich z dystansem – ożenek dawno stracił dla mnie sens, ale udzielił mi się radosny nastrój weselnych gości.

Szedłem wąską uliczką Sade – kiedyś, za swoich młodych lat, mieszkał tu mój ojciec – w kierunku placu Nationale.

Spacerowałem bez celu, aż dotarłem do słynnej restauracji Michelangelo, którą wszyscy od imienia szefa nazywali Mamo. Na tarasie było jeszcze kilka wolnych miejsc. Usiadłem i zamówiłem tutejszą specjalność: lemoniadę z anyżówką i bazylią.

2

Nigdy nie miałem pokoju do pracy. Od wczesnej młodości pisałem wszędzie: w kuchni rodziców, w bibliotekach, w kafejkach Dzielnicy Łacińskiej. W Nowym Jorku włóczyłem się z notesem po Starbucksach, po barach hotelowych, parkach i restauracjach. Lepiej mi się myślało poza domem, gdy wokół mnie były ruch i gadający tłum.

Położyłem książkę Stéphane'a Pianellego na stoliku i czekając na drinka, sprawdziłem wiadomości w telefonie. Odczytałem esemesa od mojej zawiedzionej matki, która nie bawiła się w zwyczajowe uprzejmości: *Wiem od Zélie, że przyjechałeś na pięćdziesięciolecie szkoły. Zgłupiałeś czy co? A poza tym nawet nie zawiadomiłeś mnie, że jesteś we Francji. Proszę, przyjdź dziś na kolację, zaprosiliśmy Pellegrinów, sprawi im przyjemność, kiedy cię zobaczą.*

Zadzwoń później, mamo! – odpisałem lakonicznie. Tymczasem ściągnąłem aplikację „Nice-Matin” i kupiłem internetowe wydania z okresu od dziewiątego do piętnastego kwietnia.

Przeglądając je, szybko wpadłem na artykuł Stéphane'a Pianellego opisujący, jak uczniowie znaleźli w starej metalowej szafce torbę pełną banknotów. Właśnie tego szukałem, lecz, niestety, nie dowiedziałem się niczego nowego. Była tam fotka kampusu z lotu ptaka i fotografia zardzewiałej szafki, ale nie było zdjęcia torby z forszą. Przy zdjęciu szafki napisano, że niektórzy uczniowie wrzucili na portale

społecznościowe fotki torby z pieniędzmi, ale dla dobra śledztwa policja poleciła je wycofać.

Zacząłem się zastanawiać. Z pewnością to zdjęcie gdzieś jeszcze krąży, stracę jednak dużo czasu, żeby je znaleźć. Redakcja „Nice-Matin” mieściła się dwa kroki stąd, przy placu Nationale, obok dworca autobusowego. Po chwili wahania zadzwoniłem do Pianellego.

– Cześć, Stéphane! Mówi Thomas.

– Nie możesz się beze mnie obejść, pisarzu!

– Siedzę u Mamo. Jeśli jesteś w pobliżu, zapraszam cię na pieczeń jagnięcą.

– Zamawiaj! Kończę artykuł i jestem.

– O czym piszesz?

– O konferencji w pałacu kongresowym, która właśnie się skończyła. *Czas wolny na emeryturze*. Zgodzisz się, że nie zdobędę tym Nagrody Alberta-Londresa!

Czekając na Pianellego, zajrzałem do jego książki. Za każdym razem nie mogłem oderwać oczu od zdjęcia na okładce: Vinki tańczącej z Clémentem. Zdjęcie zrobiono podczas balu na koniec roku, w połowie grudnia, tydzień przed tym, jak go zabiliśmy i Vinca zaginęła. Zawsze, gdy je widziałem, cierpiałem. Vinca w swoim najlepszym okresie, świeża i piękna, wpatrzona jak w obraz w partnera... W oczach miała miłość, podziw i chęć podobania się. Fotograf uwiecznił ich w wyjątkowo wdzięcznej pozie. *Grease* w obiektywie Roberta Doisneau.

Zresztą, kto zrobił to zdjęcie? Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Jakiś uczeń? Nauczyciel? Przyjrzałem się dokładniej, ale znalazłem tylko napis NICE-MATIN, *wszystkie prawa zastrzeżone*. Sfotografowałem okładkę i wysłałem ją esemesem do Rafaela Bartoletiego. Rafael był wziętym fotografem mody, mieszkał w TriBeCe i w dodatku przy tej samej ulicy co ja. Był prawdziwym artystą. Miał wycucie kolorów, kadru i oko, które dostrzegało każdy szczegół, oraz zdolność trafnej analizy. Od lat robił wszystkie moje zdjęcia do promocji książek i te na tylną okładkę. Uważałem, że jest świetny,

ponieważ zawsze odnajdował iskrę, która z pewnością kiedyś we mnie była, ale dawno znikła. Na jego fotografiach wyglądałem znacznie lepiej niż w rzeczywistości, jaśniej, spokojniej, jak człowiek, którym mógłbym być, gdyby życie obeszło się ze mną łagodniej.

Rafael od razu oddzwonił. Mówił po francusku z lekkim włoskim akcentem, rozbijającym mnóstwo osób.

– *Ciao*, Thomas! Jestem w Mediolanie. Sesja zdjęciowa do kampanii reklamowej Fendiego. Co to za piękność mi przysłałeś?

– To dziewczyna, w której się kochałem bardzo dawno temu. Vinca Rockwell.

– Ach, pamiętam...

– Co sądzisz o tym zdjęciu?

– Ty je robiłeś?

– Nie.

– Jest trochę niewyraźne, ale fotograf umiał uchwycić chwilę. Liczy się decydujący moment. Wiesz, co mówił Cartier-Bresson? „Fotografia musi złapać moment równowagi emocjonalnej”. Temu twojemu fotografowi udało się i zamienił ulotną chwilę w wieczność.

– Przecież wciąż powtarzasz, że nic bardziej nie wprowadza w błąd niż zdjęcie.

– To prawda! – przyznał Rafael. – Ale jedno nie wyklucza drugiego.

W tle rozmowy usłyszałem muzykę i niecierpliwy, kobiecy głos.

– Muszę kończyć! – powiedział Rafael. – Zadzwoń później.

Zacząłem przeglądać książkę Pianello. Zawierała mnóstwo wiadomości. Pianelli miał wgląd w akta policyjne. Porównywał osobiście zeznania świadków. Czytałem tę publikację, gdy się ukazała, a poza tym sam, mieszkając swego czasu w Paryżu, zbierałem informacje od wszystkich, którzy mogli mieć z tą sprawą coś wspólnego. Przez dwadzieścia minut kartkowałem dzieło Pianello i zestawiałem fakty. Okazało się, że wszyscy świadkowie powtarzali to samo, co z czasem złożyło się na

oficjalną wersję: para zakochanych wyjeżdżająca z Saint-Ex samochodem Clémenta, pociąg do Paryża, ognistoruda dziewczyna, nauczyciel, który jej towarzyszy, w czapce z daszkiem niemieckiego klubu piłki nożnej o nazwie niemożliwej do wymówienia, ich przyjazd do hotelu przy ulicy Saint-Simon, rudowłosa prosi o wiśniową colę, para na korytarzu, zniknięcie następnego ranka. Kiedy recepcjonista zmieniał nocnego portiera, klucz do ich pokoju leżał na ladzie w recepcji.

Ciekawski dziennikarz podkreślił niejasności, ale nic w jego relacji nie pozwalało wysnuć innej sensownej teorii. W jednym miałem nad nim przewagę: Pianelli podejrzewał, że ta historia jest nieprawdziwa, a ja byłem tego pewien. Clément nie żył, to nie on towarzyszył Vince przez te dwa dni. Uciekła z jakimś innym facetem. Z duchem, którego bezskutecznie szukałem od dwudziestu pięciu lat.

3

– Widzę, że zagłębiłeś się w świętych tekstach! – rzucił Pianelli, siadając naprzeciw.

Podniosłem oczy znad książki, oszołomiony tym nagłym wypadem w przeszłość.

– Wiesz o tym, że twoje dzieło jest na czarnej liście biblioteki w Saint-Ex?

Pianelli capnął czarną oliwkę z talerzyka.

– Tak, przez tę starą pindę Zélie! To nic, każdy może za darmo odczytać plik PDF w internecie!

– Czym tłumaczysz zafascynowanie dzisiejszych uczennic Vincą?

– Spójrz na nią! – Pianelli otworzył książkę na stronach ze zdjęciami.

Nawet nie popatrzyłem – nie musiałem wpatrywać się w fotografię, żeby przypomnieć sobie, jak wyglądała Vinca.

Zielone oczy w kształcie migdałów, włosy w artystycznym nieładzie, nadąsana mina, raz miła, raz prowokująca.

– Vinca była wyjątkowa, uosabiała francuski szyk, coś między Brigitte Bardot a Laetitią Castą. A przede wszystkim symbolizuje niezależność... – podsumował Pianelli, nalewając sobie wody. – Dzisiaj byłaby słynną instagramerką z sześcioma milionami followersów.

Do naszego stolika podszedł szef restauracji i osobiście podzielił przyniesioną pieczeń. Jedliśmy w milczeniu.

– Z tego wszystkiego ona oczywiście nie zdawała sobie sprawy – wrócił do poprzedniego wątku Pianelli. – Nie chcę przez to powiedzieć, że znałem ją lepiej niż ty, ale bądźmy uczciwi: za tym wizerunkiem kryła się dziewczyna raczej banalna, prawda?

Ponieważ milczałem, zaczął mnie prowokować.

– Idealizujesz ją, bo znikła, gdy miała dziewiętnaście lat. Ale wyobraź sobie, że się pobraliście. Dziś mielibyście trójkę dzieci, ona miałaby dwadzieścia kilogramów więcej, obwisłe piersi i...

– Zamknij się, Stéphane! – odezwałem się podniesionym tonem.

Pianelli przeprosił i przez pięć następnych minut w milczeniu pochłaniałmy pieczeń jagnięcą z zieloną sałatą. Ciszę przerwałem ja.

– Pamiętasz może, kto zrobił to zdjęcie? – spytałem, wskazując obwolutę.

Dziennikarz zmarszczył brwi i twarz mu zastygła. Wyglądał jak przyłapany na gorącym uczynku.

– No, wiesz... – mruknął, przypatrując się okładce. – Myślę, że to jakieś zdjęcie z archiwów gazety.

– Mógłbyś sprawdzić?

Wyjął komórkę z kieszeni kamizelki i napisał esemesa.

– Skontaktuję się z Claude'em Angevinem. Zajmował się tą sprawą w dziewięćdziesiątym drugim.

– Jeszcze pracuje?

– Żartujesz! Już ma z siedemdziesiątkę! Pędzi słodkie życie w Portugalii. Ale czemu interesuje cię tego zdjęcia?

Postanowiłem zmienić temat.

– Skoro mówimy o zdjęciach... Pisałeś, że dzieciaki, które znalazły torbę z gotówką, wrzuciły zdjęcia na portale społecznościowe.

– Tak, ale policja zrobiła z tym porządek.

– Odzyskałeś je?

– No, znasz mnie.

– Mógłbyś mi je przesłać?

Pianelli zaczął przeszukiwać zdjęcia na komórce.

– Myślałem, że ta sprawa cię nie interesuje... – odezwał się kpiąco.

– Oczywiście, że mnie interesuje, Stéphane!

– Daj mi swój adres mailowy.

Kiedy dyktowałem mu adres, dotarło do mnie, że nikogo tu nie znam, nie mam żadnych kontaktów, gdy tymczasem Pianelli stąd pochodził i mieszkał tu od zawsze. Jeśli chciałem odkryć, co stało się z Vincą i kto nam groził, musiałem pójść na współpracę z nim.

– Nie chciałbyś ze mną współpracować, Stéphane?

– Co masz na myśli, pisarzu?

– Każdy z nas próbuje ustalić, co stało się z Vincą, i dzielimy się informacjami.

Pianelli pokręcił głową.

– Nie jesteś godzien mego zaufania! – rzekł.

Przewidziałem tę odpowiedź, dlatego postanowiłem zaryzykować.

– Żebyś uwierzył, że jestem z tobą szczery, powiem ci coś, czego nikt nie wie.

Nieomal czułem, jak się spina. Balansowałem na cienkiej linie, ale w końcu całe życie zachowywałem się jak linoskoczek nad przepaścią.

– Kiedy Vinca znikła, była w ciąży z Clémentem.

Zaniepokojony Pianelli spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Kurwa, skąd wiesz?

– Sama mi powiedziała. Pokazała mi swój test ciążowy.

– Dlaczego trzymałeś to w tajemnicy?

– Po pierwsze, to było jej życie prywatne, a po drugie, co by to zmieniło w śledztwie?

– Wszystko! – zirytował się Pianelli. – Inaczej by je poprowadzono! Ratowaliby trzy osoby, a nie dwie! Z powodu ciąży sprawa byłaby o wiele głośniejsza.

Może i miał rację... Szczerze mówiąc, nie skojarzyłem wówczas tej pionowej kreski na kawałku plastiku z pojęciem dziecka. Miałem osiemnaście lat...

Pianelli nerwowo kręcił się na krześle. Otworzył notes i zaczął coś bazgrolić. Powrót do rzeczywistości zajął mu dłuższą chwilę.

– Dlaczego tak interesuje cię Vinca? Przed chwilą mówiłeś, że była banalna – zauważyłem.

Nie dał się zbić z tropu.

– To nie Vinca mnie interesuje, tylko ten lub ci, którzy ją zabili – oznajmił.

– Naprawdę myślisz, że ona nie żyje?

– Przecież nie można tak po prostu zniknąć. Dziewiętnastolatka, sama... no... powiedzmy, prawie sama... bez pieniędzy...

– Co według ciebie się stało?

– Od chwili, gdy znaleziono pieniądze, uważam, że Vinca kogoś szantażowała. Ten ktoś zdenerwował się i zaczął jej grozić. Może ojciec jej dziecka... Clément albo ktoś inny... – powiedział, zamykając zeszyt, z którego wysunęły się jakieś bilety. – Mam miejsca na koncert Depeche Mode dziś wieczorem! – Zerknął na mnie i uśmiechnął się.

– Gdzie?

– W Nicei. Na stadionie Charles'a Ehrmanna. Idziesz ze mną?

– Hm... Nie przepadam za muzyką syntetyczną.

– Nie przepadasz za muzyką syntetyczną? Co ty gadasz! Widać, że nie słuchałeś ich ostatnich płyt.

– Nie załapałem się na nich.

Pianelli przymrużył oczy.

– Pod koniec lat osiemdziesiątych, podczas swojej dziesiątej trasy koncertowej *Music for the Masses Tour*, dali sto jeden koncertów. Byli wtedy najlepszą grupą rockową świata. W osiemdziesiątym ósmym widziałem ich w Zénicie w Montpellier. To było coś wspaniałego!

Błyszczą mu oczy, kiedy to mówił, i zacząłem się z niego lekko podśmiewać.

– Pod koniec lat osiemdziesiątych najlepszą grupą rockową było Queen!

– No, wiesz co! I mówisz to poważnie! Gdybyś wymienił U2, to jeszcze, ale Queen...

Przez kilka minut rozmawialiśmy jak dawniej, gdy mieliśmy po siedemnaście lat. Atmosfera się rozluźniła. Stéphane starał się mi wmówić, że Dave Gahan był największym piosenkarzem swojego pokolenia, a ja broniłem tezy, że nie ma nic lepszego od *Bohemian Rhapsody*.

Potem czar, tak szybko jak zabłysł, przysł.

Pianelli spojrział na zegarek i zerwał się z krzesła.

– Cholera, jestem spóźniony! Muszę jechać do Monako.

– Z gazety?

– Tak, rozgrzewka przed grand prix formuły E. Międzynarodowe mistrzostwa samochodów elektrycznych. – Wziął z krzesła ciężką torbę i pomachał ręką. – Zdzwaniamy się!

Zostałem sam. Zamówiłem kawę. Czuję się nieswojo, tak jakbym źle rozegrał to spotkanie. Tyle mu powiedziałem, a od niego nie dowiedziałem się niczego.

Cholera!

Skinąłem na kelnera. Czekaając na rachunek, rzuciłem okiem na ekran komórki, żeby sprawdzić, czy Pianelli przysłał mi zdjęcia, choć niespecjalnie w to wierzyłem.

Myliłem się.

Po kilku sekundach moja ręka zaczęła tak drżeć, że musiałem odłożyć telefon na stół.

Na zdjęciu zobaczyłem torbę z miękkiej skóry, często widziałem ją u nas w domu.

Koszmar trwał.

8

Lato Wielkiego błękitu

*Wszystko jest wspomnieniem,
z wyjątkiem chwili obecnej.*

Tennessee Williams

1

Plac Pré-des-Pêcheurs pod murami starego miasta był czarny od tłumu. W karnawałowej atmosferze wielkie, kolorowe wozy ruszały do tradycyjnej Bitwy Kwiatów. Rozbawieni widzowie: dzieci z rodzicami, poprzebierane nastolatki oraz sporo starszych panów, którzy chwilowo zrezygnowali z gry w bule – wszyscy cisnęli się za stalowymi barierkami.

Gdy byłem dzieckiem, wozy z kwiatami przejeżdżały przez całe miasto. Teraz z powodów bezpieczeństwa co dziesięć metrów stał policjant, a wozy jeździły tam i z powrotem po alei Verdun. W powietrzu wyczuwało się nie tylko radość, ale też napięcie. Ludzie przyszli się bawić, trudno było jednak zapomnieć o zeszłorocznym zamachu w Nicei. Ze smutkiem i złością patrzyłem na stłoczone za barierkami dzieci machające bukietami goździków. Groźba katastrofy zabiła bez troskę i spontaniczność. Nie pokazywano tego po sobie, ale nad wszystkimi zawisła ciemna chmura strachu.

Przebiełem się przez tłum w kierunku parkingu. Moje mini stało tam, gdzie je zostawiłem. Za wycieraczką znalazłem grubą kopertę z brązowego papieru, bez żadnego napisu. Wsiadłem do

auta. Kiedy otwierałem kopertę, wróciły skurcze żołądka. Dobre wiadomości rzadko są anonimowe. Okay, pomyślałem, przecież to nie trzęsienie ziemi.

W kopercie było dziesięć pośliskłych i wyblakłych zdjęć. Spojrzałem na pierwsze i otworzyła się przede mną przepaść. Zobaczyłem ojca całującego się z Vincą. W uszach zaczęło mi szumieć i poczułem mdłości. Uchyliłem drzwi wozu, by splunąć żółcią.

Kurwa...

Oszołomiony, starałem się dokładniej przyjrzeć fotografiom. Wszystkie były mniej więcej w tym samym stylu. Ani przez chwilę nie brałem pod uwagę fotomontażu. Byłem pewien, że to prawda. Może nawet podświadomie spodziewałem się czegoś takiego.

Ojciec był na wszystkich zdjęciach. Richard Degalais, inaczej Richard Lwie Serce lub dla najbliższych Rick. Na początku lat dziewięćdziesiątych miał tyle lat co ja teraz. Tylko że nie byłem do niego podobny. Ojciec był przystojny, elegancki, rasowy. Miał zgrabną sylwetkę, półdługie włosy, koszulę zawsze nosił do połowy rozpiętą. Sami Frey w filmie *Cezar i Rozalia*. Wygadany przystojniak, pozer, sybaryta – nie różnił się specjalnie od Clémenta, ale był o piętnaście lat starszy. Lubił ładne kobiety, sportowe samochody, zapalniczki z laki i marynarki od Smalto. Niestety, musiałem to przyznać, na zdjęciach bardzo do siebie z Vincą pasowali. Należeli oboje do rasy panów, ludzi, których życie obsadzało w głównych rolach, nigdy nie byli statystami.

Zdjęcia zrobiono ukradkiem, w co najmniej dwóch miejscach. Łatwo rozpoznałem pierwsze: Saint-Paul-de-Vence poza sezonem. Café de la Place, dawna tłocznia oliwy, wyżej mury starego miasta, zabytkowy cmentarz, gdzie leży Marc Chagall. Vinca i mój ojciec spacerowali, trzymając się za ręce, i nie było żadnych wątpliwości co do łączących ich stosunków.

Trudniej było mi zidentyfikować miejsce z drugiej serii fotografii. Najpierw zauważyłem kabriolet ojca, audi 80, zaparkowany między białymi skałami. Potem zobaczyłem

kamienne schody. W oddali strome granitowe wybrzeża jakiejs wsi. I zrozumiałem. Calanques Marseillaises! Śródziemnomorskie fiordy! Piaszczysty brzeg ukryty za groblą to zatoka Singes. Plaża na końcu świata... Ojciec zawiózł nas tam raz czy dwa. Najwyraźniej postanowił pokazać urocze miejsce tajemniczej ukochanej.

Zaschło mi w gardle. Mimo obrzydzenia przyglądałem się zdjęciom wnikliwie. Miały w sobie coś artystycznego, czuć było rękę fachowca. Kto mi je podrzucił? Kto je zrobił? W tamtych czasach zoomy były o wiele słabsze niż dzisiaj. Aby złapać tyle szczegółów, fotograf musiał znajdować się blisko obiektu. Przez chwilę zastanawiałem się nawet, czy zdjęcia faktycznie zostały zrobione ukradkiem. Mój ojciec z pewnością nie wiedział, że jest fotografowany, ale Vinca?

Zamknąłem oczy. Tymi zdjęciami najprawdopodobniej szantażowano mojego ojca! Dlatego na zrzutach ekranu od Pianellogo zauważyłem torbę z imitacji krokodylej skóry, która kiedyś – dałbym sobie za to rękę uciąć – należała do niego. Jeśli ojciec dał Vince torbę zawierającą sto tysięcy franków, bez wątpienia dziewczyna musiała mu grozić ujawnieniem romansu.

A może nawet tym, że jest w ciąży...

Musiałem zaczerpnąć świeżego powietrza. Włączyłem silnik, spuściłem dach i ruszyłem w kierunku morza. Nie mogłem dłużej odkładać spotkania z ojcem... Jechałem, ale trudno mi było skupić się na prowadzeniu. Przed oczami miałem twarz Vinki z tych zdjęć. Po raz pierwszy dostrzegłem w jej spojrzeniu smutek, może nawet strach. Była ofiarą czy diaboliczną manipulatką? A może jedną i drugą...

Na wysokości La Siesty – najsłynniejszej dyskoteki w Antibes – skręciłem w stronę Nicei i stanąłem na czerwonym świetle. Jak zawsze nie zmieniało się strasznie długo. Kiedy miałem piętnaście lat, jechałem tędy motorowerem, zignorowałem je i pech! Spisała mnie policja. Dostałem mandat na siedemset pięćdziesiąt franków, który stał się niewyczerpanym tematem dyskusji w domu. Wieczne przekleństwo posłusznych.

Odgoniłem to poniżające wspomnienie i natychmiast w głowie pojawiła mi się następna scena. Pstryk, pstryk. Dziewczyna z leicą. Pstryk, pstryk. Dziewczyna, która fotografowała cię mentalnie, nawet jeśli nie miała na szyi aparatu...

Usłyszałem klakson. Światło zmieniło się na zielone. Wiedziałem, kto zrobił te zdjęcia. Wrzuciłem dwójkę i ruszyłem do szpitala w Fontonne.

2

Dzielnica Fontonne, zbudowana na terenie dawnych sadów, kiedyś dumy Antibes, leżała po wschodniej stronie miasta. Spoglądając na mapę, miało się wrażenie, że miejsce znajduje się nad brzegiem morza, ale rzeczywistość była mniej romantyczna. Faktycznie, była tam plaża, lecz kamienista i ciągnąca się wzdłuż szosy, oddzielona od budynków mieszkalnych drogą szybkiego ruchu i torami kolejowymi. W latach osiemdziesiątych chodziłem tutaj do gimnazjum imienia Jacques'a Préverta. Nie mam z tej szkoły najlepszych wspomnień: poziom nauczania był bardzo słaby, atmosfera niezdrowa, panowała przemoc i lepsi uczniowie czuli się tam nieszczęśliwi. Kilku nauczycieli heroicznie starało się zapanować nad tą instytucją i myślę, że bez nich oraz bez przyjaźni Maxime'a i Fanny mógłbym się wykoleić. Kiedy wszyscy troje zostaliśmy przyjęci do Saint-Ex, nasze życie diametralnie się zmieniło. Przestaliśmy się bać chodzić do szkoły.

Dziś gimnazjum miało o wiele lepszą opinię. Dzielnica również przeszła spektakularną metamorfozę. Po stronie Bréguières, jednego z wejść do szpitala, wszystkie dawne szklarnie znikły, a na ich miejscu powstały osiedla i luksusowe domy. Była to obecnie okolica rezydencjalna, położona z dala od tras turystycznych, wyposażona we wszystkie potrzebne sklepy i zamieszkała przez ludzi dobrze sytuowanych.

Zaparkowałem samochód na parkingu przed szpitalem. Znów wróciły wspomnienia: jedno złe, drugie dobre.

Zima 1982. Mam osiem lat. Goniąc siostrę – przywłaszczyła sobie mojego Dużego Jima i zmieniała go w niewolnika swojej Barbie – wpadam na metalową ławkę w ogrodzie. Ławka przewraca się i rani mnie w duży palec u nogi. W szpitalu po założeniu szwów nieuważny stażysta przykleja mi plaster bezpośrednio na ranę, dostaję zakażenia i przez kilka miesięcy nie mogę uprawiać sportu.

Do dziś mam w tym miejscu bliznę.

Drugie wspomnienie jest miłsze, mimo że wszystko zaczyna się źle. Lato 1988. Gramy w piłkę nożną. Udaje mi się strzał z rzutu wolnego godny Klausa Allofsa i jakiś drań z przedmieść Vallauris rzuca się na mnie na boisku. Łamie mi lewą rękę, tracę przytomność i dwa dni spędzam w szpitalu. Pamiętam, jak odwiedzili mnie Maxime i Fanny. Im pierwszym pozwolono podpisać się na moim gipsie. Maxime napisał: *Dawaj, Olympique!* i *Olympique, gola!* – to było wtedy dla nas najważniejsze w życiu. Fanny poświęciła na wpis dłuższą chwilę. Bardzo dokładnie zapamiętałam tę scenę. Jest koniec roku szkolnego, może nawet początek wakacji. Lipiec 1988 – lato *Wielkiego błękitu*. Fanny nachyla się nad łóżkiem, widzę pod światło, jak słońce igra w jej blond włosach. Fanny zapisuje na gipsie fragment dialogu z filmu, który widzieliśmy oboje dwa tygodnie wcześniej. To odpowiedź Johanny na krótkie „Muszę to sprawdzić!” Jacques’a Mayola – wszyscy rozumieją, że nurek nie zamierza wrócić.

„Co sprawdzić, Jacques? Tam nie ma nic do sprawdzania, tam jest ciemno, zimno i pusto. A tutaj jestem ja, ja żyję!”

Mimo że mam czterdziestkę, słowa te za każdym razem rozdierają mi serce, dziś jeszcze bardziej niż wtedy.

3

Kompleks szpitalny był labiryntem różnorodnych budowli. Staralem się nie zgubić pomiędzy mnóstwem tablic

informacyjnych. Obok głównego budynku, wzniesionego w latach trzydziestych, skupiały się pawilony dobudowywane przez lata. Każda grupa reprezentowała próbkę architektury modnej w danej chwili, były rzeczy piękne, ale były i fatalne. Równoległocien z burej cegły, betonowy blok na palach, sześcian w metalowej armaturze, jakiś park...

Oddział kardiologiczny mieścił się w najnowszym budynku o jajowatym kształcie, którego fasada zręcznie łączyła w sobie szkło i bambus.

Przeszedłem przez świetlisty hol do recepcji.

– W czym mogę panu pomóc?

Utlenione włosy, wystrzępiona spódniczka dżinsowa, za duży T-shirt i rajstopy w tygrysie cętki – za kontuarem siedział klon Debbie Harry.

– Chciałbym się widzieć z doktor Fanny Brahim, szefową oddziału kardiologicznego.

Blondie podniosła słuchawkę.

– Mogę prosić o nazwisko?

– Thomas Degalais. To bardzo pilne.

Blondie zaproponowała, żebym zaczekał na małym patiu. Wypiłem trzy szklanki lodowatej wody z dystrybutora i opadłem na jedną z miękkich kanap ustawionych na drewnianej podłodze. Zamknąłem oczy. Od razu zobaczyłem Vincę z ojcem. To był koszmar; w moich wspomnieniach Vinca stawała się coraz gorsza. Od samego rana wszyscy mi wmawiali, że jej nie znałem, co nie miało sensu, ponieważ nigdy nie mówię, że kogoś naprawdę znam. Jestem zwolennikiem twierdzenia Garcíi Márqueza, który napisał, że każdy człowiek ma trzy życia: publiczne, prywatne i to trzymane w sekrecie. Zaczynało jednak wyglądać tak, jakby Vinca miała głównie to trzecie, dla mnie do tej pory nieprawdopodobne.

Nie byłem naiwny. Dobrze wiedziałem, że ją wyidealizowałem – chciałem w niej widzieć dziewczynę, którą wymarzyłem sobie, gdy dorastałem, czystą i szlachetną, podobną do bohaterki *Mojego przyjaciela Meaulnes'a* czy *Wichrowych*

Wzgórz. Przedstawiłem ją sobie taką, jakiej pragnąłem, a naprawdę była inna. Pewnie ta jej wersja istniała tylko w mojej wyobraźni. Ale nie mogłem się poddać i przyznać do totalnej pomyłki.

– Cholera, zapomniałam papierosów. Możesz przynieść mi torbę z szafki? – głos Fanny wyrwał mnie z zamyślenia. Rzuciła klucze Debbie, a ta chwyciła je w locie. – A więc przez całe lata ani słowa i nagle nie możesz się beze mnie obejść? – dodała sentencjonalnie, idąc do automatu z napojami.

Po raz pierwszy widziałem ją w roli lekarki. Miała na sobie jasnoniebieskie bawełniane spodnie, bluzę z długimi rękawami w tym samym kolorze i papierowy czepek przytrzymujący włosy. Wyglądała zupełnie inaczej niż rano. W skupionej twarzy groźnie błyszcząły jasne oczy. Bojowniczką niosąca światło w walce z chorobą.

– Fanny... Chcę ci coś pokazać.

– Mam mało czasu.

Wrzuciła monety do automatu. Butelka wody Perrier, którą wybrała, nie spadła z półki od razu, co ją zirytowało. Poszliśmy na parking dla personelu. Fanny zdjęła czepek i bluzę, po czym usiadła na masce swojego samochodu, ciemnowisniowego dodge'a chargera jak z okładki starej płyty Claptona czy Springsteena.

– Ktoś mi to wsunął za wycieraczkę. Czy to ty? – spytałem, wręczając jej brązową kopertę.

Fanny pokręciła głową, wzięła paczuszkę i zważyła ją w dłoni. Nie spieszyła się z otwieraniem, miałem wrażenie, że wie, co znajdzie w środku. Minutę wcześniej patrzyła na mnie zielonymi oczami, teraz oczy te były szare i smutne.

– Fanny, to twoja sprawa.

Niechętnie wyjęła zdjęcia z koperty. Spuściła wzrok, rzuciła okiem na dwa pierwsze i oddała mi wszystko.

– Wiesz, Thomas... Powinieneś wsiąść do samolotu i wrócić do Nowego Jorku.

– Nie licz na to. To ty robiłaś te zdjęcia, prawda?

– Tak, to ja. Dwadzieścia pięć lat temu.

– Dlaczego?

– Vinca mnie poprosiła. – Podciągnęła spadające ramięczko bluzki i przesunęła przedramieniem po oczach. – Wiem, to było bardzo dawno... – Westchnęła. – Ale w twoich wspomnieniach ten okres jest zupełnie inny niż w moich.

– Co to ma znaczyć?

– Posłuchaj, Thomas! Chyba się zgodzisz, że pod koniec dziewięćdziesiątego drugiego Vinca zwariowała, nie można tego nazwać inaczej. Nikt nie miał na nią wpływu. Pamiętasz, zaczęły się te podejrzane balangi, wszędzie krążyły narkotyki. Zresztą nie tylko ona ćpała.

Rzeczywiście, pamiętałem apteczkę Vinki, pełną środków uspokajających, MDMA, amfetaminy.

– Któregoś wieczoru w październiku... czy może w listopadzie, wpadła do mojego pokoju. Powiedziała, że śpi z twoim ojcem, i poprosiła, żebym za nimi pojechała i porobiła zdjęcia.

Kroki recepcjonistki przerwały spowiedź Fanny.

– Oto torba, pani doktor! – rzuciła Debbie.

Fanny podziękowała, wyjęła papierosy i zapalniczkę i odłożyła torbę na maskę auta. Torba była pleciana, z białobeżowej skóry, na zamek zakończony głową węża z oczami z onyksu. Wąż patrzył groźnie.

– Po co były Vince te zdjęcia?

Zapaliła papierosa. Wzruszyła ramionami.

– Pewnie chciała szantażować twojego ojca. Rozmawiałeś z nim o tym?

– Jeszcze nie... – Czułem, jak wzbiera we mnie smutek i gniew.

– Dlaczego się na to zgodziłaś, Fanny? Jak mogłaś mi to zrobić?! – wykrzyknąłem.

Pokręciła głową i zaciągnęła się głęboko. Oczy jej zaszyły mgłą.

– Kurwa, dlaczego? Dlaczego? Bo byłem w tobie zakochana! – krzyknęła jeszcze głośniejszym głosem, zeskakując z maski samochodu.

Pleciona torba spadła na ziemię. Fanny popatrzyła na mnie czerwonymi od łez oczami i uderzyła mnie w piersi.

– Zawsze cię kochałam, Thomas! Zawsze! Ty też mnie kochałeś, zanim nie pojawiła się ta cholerna Vinca! – Teraz już cios padał za ciosem, z każdym wypowiedzianym słowem uderzała mnie w tors. – Dla niej się zmieniłeś, wyrzekłeś się wszystkiego, co czyniło cię innym!

Pierwszy raz widziałem Fanny w takim stanie. Przyjmowałem ciosy jak należną karę. Czyżbym wiedział, że mówi prawdę?

Po chwili jednak delikatnie chwyciłem ją za nadgarstki.

– Uspokój się! – poprosiłem.

Fanny wyrwała się i zakryła twarz dłońmi. Ledwo stała.

– Zgodziłam się zrobić te zdjęcia, bo chciałam ci je pokazać, żebyś zobaczył, jaka Vinca jest naprawdę.

– Dlaczego więc mi ich nie pokazałaś?

– Złamałoby cię to. Bałam się, że zrobisz jakieś głupstwo. Skrzywdzisz siebie, ją, ojca. Nie chciałam ryzykować.

Oparła się o drzwi samochodu. Nachyliłem się po jej torbę, próbując uniknąć ukąszenia węża. Torba, spadając, otworzyła się i kalendarz, klucze, szminka – wszystko wysunęło się na ziemię. Wkładając rozsypane przedmioty z powrotem, zauważyłem złożoną kartkę. Było to ksero artykułu z „Nice-Matin”, który przesłał mi Maxime. Na ukos biegł znów ten sam napis: *Zemsta*.

– Fanny, co to jest? – spytałem.

Wyjęła mi karteczkę z rąk.

– Anonim. Znalazłam w skrzynce.

Powietrze wokół nas jakby zgęstniało. Zdałem sobie sprawę, że niebezpieczeństwo grożące mnie i Maxime’owi było poważniejsze, niż myślałem.

– Wiesz dlaczego?

Fanny była u kresu sił, słaba, złamana. Nie rozumiałem, czemu jej ktoś grozi. Nie miała nic wspólnego ze śmiercią Alexisa Clémenta. Dlaczego osoba, która polowała na mnie i na Maxime’a, przyczepiła się do niej?

Delikatnie dotknąłem jej ramienia.

– Fanny, proszę cię, powiedz, czy wiesz, dlaczego to dostałaś?
– powtórzyłem.

Podniosła głowę i zobaczyłem jej bladą, zmartwioną twarz. Żrenice jej płonęły.

– No kurwa! Oczywiście, że wiem! – rzuciła.

Poczułem się niepewnie.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Przez te zwłoki zamurowane w hali sportowej.

4

Zatkało mnie.

– Co?! Od kiedy o tym wiesz?! – wyjąkałem.

Byłem jak sparaliżowany.

Fanny wstała; wyglądała jak topielec, który zrezygnował z walki o życie. Ledwo usłyszałem, gdy wyszeptała:

– Od samego początku.

Zsunęła się powoli po drzwiach samochodu i opadła na asfalt, szlochając. Rzuciłem się, żeby pomóc jej wstać.

– Przecież ty nie masz nic wspólnego ze śmiercią Clémenta! To ja, ja i Maxime...

Popatrzyła na mnie wystraszona. Znów zaczęła płakać, zakrywając twarz dłońmi. Kucnąłem obok. Czekałem, aż przestanie, i obserwowałem nasze długie cienie na asfalcie. Po chwili wytarła oczy wierzchem ręki.

– Jak do tego doszło? – spytała. – Jak on umarł?

Zdecydowałem się wyjawić jej naszą tajemnicę i na nowo przeżyć dramat, który uczynił ze mnie mordercę. Gdy skończyłem, Fanny się uspokoiła. Oboje odetchnęliśmy z ulgą.

– A ty jak się o tym dowiedziałaś? – zapytałem.

Wstała i westchnęła, sięgając po kolejnego papierosa. Zaciągnęła się kilka razy w milczeniu, jakby tytoń miał właściwości budzenia dalekich wspomnień.

– W sobotę dziewiętnastego grudnia była zamieć śnieżna. Pracowałam do późna w nocy. Przygotowując się do egzaminów na medycynę, spałam najwyżej cztery godziny na dobę. Myślę, że przez to byłam w dziwnym stanie. Czasami nie miałam forsy na jedzenie... Tamtej nocy nie mogłam zasnąć z głodu. Trzy tygodnie wcześniej pani Fabianski, żona dozorczy, zlitowała się nade mną i dała mi klucze do stołówki.

W kieszeni Fanny zadźwięczał alarm, ale ona jakby go nie słyszała.

– Wyszłam gdzieś o trzeciej nad ranem, była ciemna noc. Dotarłam do kantyny. O tej porze wszystko było zamknięte, ale znałam kod do drzwi przeciwpożarowych, które prowadziły bezpośrednio do stołówki. W środku było tak zimno, że szybko pochłonęłam pudełko herbatników, wzięłam na zapas pół paczki pieczywa tostowego i tabliczkę czekolady... – Mówiła monotonnym głosem, jak w hipnozie. – W drodze powrotnej uderzyło mnie piękno natury wokół. Śnieg ustał, chmury rozwiął wiatr, niebo było czyste, gwiazdy, księżyc w pełni. Bajka! Przez całą drogę nie spuszczałam z oczu tafli jeziora. Do dziś pamiętam moje skrzypiące na śniegu kroki i niebieskie odbicie księżyca w wodzie.

Jej słowa przywoływały moje własne wspomnienia Riwiery Francuskiej pod śniegiem i lodem.

– Czar prysł, gdy zauważyłam dziwne światło padające od strony budowy – ciągnęła Fanny. – Im bliżej podchodziłam, tym większe ogarniało mnie zdumienie. Cały plac był oświetlony! Warczał silnik, najwyraźniej działała jakaś maszyna... Intuicja kazała mi uciekać, ale ciekawość zwyciężyła i...

– Co zobaczyłaś?

– Zobaczyłam włączoną betoniarkę. Zatkaną mnie. Ktoś wylewał beton o trzeciej nad ranem w lodowate zimno! Potem poczułam czyjąś obecność za plecami. Odwróciłam się. Ahmed Ghazouani, ten facet, który pracował dla Francisca Biancardiniego, patrzył na mnie prawie tak samo przestraszony.

Krzyknęłam i uciekłam, ale czułam, że zobaczyłam coś, czego nie powinnam.

– Jak się domyśliłaś, że Ahmed Ghazouani był w trakcie zamurowywania zwłok Alexisa Clémenta?

– Nie domyśliłam się. Ahmed wyznał mi to dwadzieścia pięć lat później.

– Jak to?

Fanny obróciła się i wskazała dłonią na szpital.

– W zeszłym roku leżał tu na trzecim piętrze. Rak żołądka. Nie był moim pacjentem, ale czasem pod wieczór wpadałam do niego. W siedemdziesiątym dziewiątym mój ojciec pracował z nim przy budowie portu handlowego w Nicei i od tej pory utrzymywali ze sobą kontakt. Ahmed wiedział, że jest nieuleczalnie chory, i zanim umarł, chciał ulżyć swojemu sumieniu. Dlatego mi wszystko opowiedział. Dokładnie tak jak ty teraz.

Zaniepokoiłem się naprawdę.

– Jeśli opowiedział tobie, to może opowiedział też komuś innemu. Pamiętasz, kto jeszcze go odwiedzał?

– Nikt do niego nie przychodził. Skarżył się na to. Chciał wrócić do siebie, do Bizerty.

Przypomniałem sobie, jak Maxime mówił, że Ahmed przed śmiercią wrócił w rodzinne strony.

– I wrócił! – powiedziałem. – Opuścił szpital i wyjechał do Tunezji!

– Tak, i kilka tygodni później zmarł.

Na pustym parkingu znów zabrzmiał alarm Fanny.

– Teraz już muszę wracać do roboty!

– Tak, oczywiście.

– Daj mi znać po rozmowie z ojcem.

Kiwnąłem głową i ruszyłem na parking dla gości szpitalnych. Podchodząc do samochodu, odwróciłem się. Przeszedłem już jakieś dwadzieścia metrów, ale Fanny cały czas za mną patrzyła. Jej jasne włosy błyszczały pod światło jak czarodziejska lampa. Z daleka nie można było określić, ile ma lat. Na kilka sekund

stała się dla mnie znów tą Fanny z lata *Wielkiego błękitu*, a ja byłem „chłopakiem innym niż wszyscy”. Jedyłą wersją siebie, którą lubiłem.

9

Los róż

*Gdzie będzie nam lepiej niż
w rodzinie? Wszędzie indziej!*

Hervé Bazin

1

Kręte drogi, zagajniki oliwne, równo przycięte żywopłoty – dzielnica Constance kojarzyła mi się zawsze z arabskimi jazzowymi, radosnym, nonszalanckim dialogiem perlanych dźwięków.

Ulica Suquette, przy której mieszkali moi rodzice, zawdzięczała nazwę językowi oksytańskiemu – słowo to oznaczało po oksytańsku pagórek lub szczyt: każde wzniesienie terenu. Na wschód od Antibes, na wzgórzu, stał kiedyś zamek Constance. Była to ogromna posiadłość. Z czasem zamek zamieniono w klinikę, potem w mieszkania prywatne. Na polach dawniej uprawnych wyrosły wille i osiedla. Rodzice moi i Maxime’a sprowadzili się tu zaraz po moich narodzinach, w czasach, gdy Suquette była rzadko uczęszczaną ukwieconą ścieżką. Pamiętam na przykład, jak z bratem uczyliśmy się tam jeździć na rowerze, a w weekendy mieszkańcy okolic przychodzili grać w bule. Teraz ją poszerzono i wpuszczono samochody. Ruch był na niej prawie taki jak na szosach.

Podjechałem pod numer siedemdziesiąt cztery, pod dom o nazwie Villa Violette, opuściłem szybę i zadzwoniłem. Nikt mi

nie odpowiedział, ale otworzyła się brama elektryczna. Wrzuciłem jedynkę i krętą betonową alejką ruszyłem w stronę domu mojego dzieciństwa.

Od razu zobaczyłem kombi A4 ojca – był wierny marce Audi. Zaparkował na początku podjazdu, żeby w każdej chwili móc się dyskretnie ulotnić (cały on). Podjechałem bliżej domu, na żwirowany plac, i stanąłem obok kabrioletu mercedesa, który musiał należeć do matki.

Było wczesne popołudnie. Wysiadłem, myśląc o tym, jak zrobić to, co zamierzałem. Dom stał na szczycie wzgórza i za każdym razem roztaczający się stamtąd widok mnie hipnotyzował. Wysokie, smukłe palmy, czyste niebo i morze jak okiem sięgnąć. Słońce świeciło oślepiająco. Zasłoniłem oczy dłonią i odwróciłem się. Ujrzałem nieruchomą sylwetkę mamy, która z założonymi rękami czekała na mnie pod werandą.

Nie widziałem jej prawie dwa lata. Patrzyłem na nią, a ona na mnie, gdy wchodziłem po schodach. Nie spuściłem wzroku, choć jak zawsze mnie onieśmielała. Dzieciństwo z nią miałem spokojne i radosne, ale kiedy zacząłem dorastać, oddaliliśmy się od siebie. Annabelle Degalais – z domu Antonioli – była zimną piękną w typie filmowych blondynek Hitchcocka, lecz nie mogła się pochwalić blaskiem Grace Kelly czy fantazją Evy Marie Saint. Koścista i wysoka, doskonale pasowała do ojca. Teraz miała na sobie modnie skrojone spodnie i żakiet na suwak. Jej blond włosy spopielwały, ale jeszcze nie była siwa. Od mojej ostatniej wizyty trochę się postarzała, no, może robiła nieco mniejsze wrażenie, ale i tak wciąż wyglądała o dziesięć lat młodziej.

– Cześć, mamo!

– Dzień dobry, Thomas.

Wydało mi się, że lodowate spojrzenie, które mi rzuciła, nigdy nie było tak jasne i ostre. Wahalem się, czy ją ucałować – a nuż się cofnie? Postanowiłem nie ryzykować.

Austriaczka. Przypomniałem sobie, że tak przezywano ją kiedyś w szkole, we Włoszech. Miała niełatwe dzieciństwo, co

mogło usprawiedliwić jej oschłość. Podczas wojny mój dziadek, Angelo Antonioli, piemoncki chłop, został siłą wcielony do włoskiego korpusu ekspedycyjnego. Od lata 1941 roku do zimy 1943 na front wschodni wysłano dwieście trzydzieści tysięcy żołnierzy z Półwyspu Apenińskiego. Walczyli na pasie od Odessy wzdłuż Donu aż do Stalingradu. Ponad połowa zginęła, w tym dziadek, wzięty do niewoli przez Sowietów po ofensywie Ostrogożsk–Rossosz i zamknięty w obozie jenieckim. Zmarł w drodze do gułagu. Promienny dzieciak z północnych Włoch rzucony na mroźne rosyjskie stepy podczas nie swojej wojny. Na dodatek jego żona zaszła w ciążę, co dało się wytłumaczyć tylko cudzołóstwem. Matka, owoc zakazanej miłości babki i austriackiego robotnika, przyszła na świat w atmosferze skandalu. Ten problematyczny chrzest bojowy zostawił jej w spadku siłę i dystans do rzeczywistości. Zawsze wydawało mi się, że nic nie jest w stanie zrobić na niej wrażenia ani jej załamać, w przeciwieństwie do mnie.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że byłaś chora? – zapytałem prawie wbrew sobie.

– Co by to zmieniło? – rzuciła obojętnie.

– Po prostu chciałbym wiedzieć.

Matka nie zawsze była taka. Pamiętam chwile z dzieciństwa, gdy byliśmy bardzo zżyci i rozumieliśmy się bez słów, zwłaszcza jeśli chodziło o literaturę i teatr. Nie uroiłem sobie tego w ramach rekompensaty za doznane krzywdy – w albumach widziałem wiele zdjęć, na których matka była roześmiana, najwyraźniej szczęśliwa, że ma takiego syna jak ja. To skończyło się, gdy dorosłem. Nie wiem dlaczego. Dziś matka wciąż rozumiała się z moim bratem i siostrą, podczas gdy ja byłem z tego porozumienia wyłączony. Pocieszałem się w niezdrowy sposób, zakładając, że przynajmniej jest we mnie coś, czego tamci nie mają.

– A więc byłeś na pięćdziesięcioleciu szkoły? Doprawdy, zupełnie nie rozumiem, co to był za pomysł!

– Ach, spotkałem kilku dawnych kumpli...

– Ty nie miałeś kumpli, Thomas. Twoimi jedynymi przyjaciółmi były książki.

Miała rację, ale i tak poczułem się urażony. Posmutniałem.

– Maxime jest moim przyjacielem! – zaprotestowałem.

Matka zatrzymała się i popatrzyła na mnie. Promienie słońca otoczyły ją miękką aureolą i wyglądała jak marmurowy posąg Madonny we włoskim kościele.

– Po co wróciłeś, Thomas? – spytała. – Przecież nie masz żadnej książki do promowania.

– Mogłabyś przynajmniej udąć, że się cieszysz z mojego przyjazdu.

– A ty udajesz?

Westchnąłem. Kręciliśmy się w kółko, pełni zadawnionych żalów. W pewnej chwili niewiele brakowało, a wypaliłbym, że zamordowałem gościa, którego ciało zamurowano w hali sportowej, i że już w ten poniedziałek mogą wsadzić mnie do więzienia. Następnym razem, kiedy mnie zobaczysz, mamusiu, będę stał między dwoma żandarmami albo siedział za szybą rozmównicy więziennej.

Oczywiście nic takiego bym nie powiedział, ale ona i tak nie zostawiła mi na to czasu. Odwróciła się i weszła na schody, nie zapraszając, żebym jej towarzyszył. Najwyraźniej miała już dość, ja zresztą też.

Stałem chwilę na tarasie wyłożonym terakotą. Kiedy usłyszałem głosy, podszedłem do zarośniętej bluszczem barierki z kutego żelaza. W dole stał ojciec i dyskutował z Alexandre'em, starym ogrodnikiem. Okazało się, że basen przeciekał. Ojciec myślał, że przeciekały filtry, a pesymista Alexandre proponował rozkopanie trawnika, żeby dostać się do rur.

– Cześć, tato!

Ojciec podniósł głowę i kiwnął do mnie ręką, tak jakbyśmy się rozstali poprzedniego dnia. Przyjechałem, żeby z nim pogadać, ale czekając, aż skończy dyskusję z Alexandre'em, postanowiłem rzucić okiem na strych.

2

Napisałem „strych”, ale ten dom nie miał strychu. Miał za to gigantyczną piwnicę z niezależnym wejściem, której nigdy nie urządzono. Te prawie sto metrów kwadratowych służyło za rupieciarnię.

W domu w każdym wysprzątanym i gustownie umeblowanym pokoju panował idealny porządek, ale piwnica oświetlona smutnym, drżącym światłem żarówki była niewyobrażalnie zagracona. Wsadzono tu wszystko, o czym Villa Violette chciała zapomnieć. Zacząłem przeciskać się przez stare rowery, potem potknąłem się o hulajnogę i rolki, pewnie własność dzieci mojej siostry. Obok wystającej spod plandeki skrzyni z narzędziami zobaczyłem swój motorower. Ojciec, który był zapalonym majsterkowiczem, najwyraźniej go odnowił. Wyczyszczony, odmalowany, błyszczący, wypasione felgi, nowe opony! Mój stary peugeocik 103 MVL wyglądał super! Ojciec wyszukał nawet oryginalne nalepki. Dalej ujrzałem zabawki, kufry, walizki, góry rzuconych byle jak ubrań. Rodzice nigdy nie żalowali pieniędzy na ciuchy. Jeszcze dalej leżały stosy książek – czytań niezasługujących na szlachetne półki z drewna orzechowego w bibliotece w salonie. Kryminały i romanse, które uwielbiała matka, popularnonaukowe publikacje, w których zaczytywał się ojciec. Elegancko oprawione, drogie wydania Saint-Johna Perse’a czy Malraux dumnie prezentowały się na piętrze, podczas gdy książki Dana Browna czy *Pięćdziesiąt twarzy Greya* kurzyły się w rupieciarni, niejako za kulisami teatru życia.

Znalazłem to, po co przyszedłem, w ostatniej wnęce. Na stole do ping-ponga stały dwa tekturowe pudła z moim imieniem, po brzegi wypełnione nostalgią. Wniosłem je na górę i rozpakowałem.

Na kuchenny stół wyłożyłem wszystko, co mniej więcej dotyczyło roku 1992 i mogło się przydać w moich poszukiwaniach. Turkusowy plecak marki Eastpak pomazany korektorem, skoroszyty ze szkolnymi notatkami na

kratkowanym papierze popularnej firmy Seyès. Dzienniczki z wpisami świadczącymi o tym, jak wzorowym i zdyscyplinowanym byłem uczniem: *Bardzo pozytywna postawa podczas lekcji... Uczeń miły i zmotywowany... Jest bystry i inteligentny...*

Zajrzałem do kilku prac, które pozostawiły we mnie ślad; były to analizy tekstu *Śpiącego w dolinie* i wstępu do *Oblubienicy Pana*. Znalazłem nawet parę rozprawek z filozofii z komentarzami Alexisa Clémenta, który był moim profesorem w klasie maturalnej. *Interesujący punkt widzenia, 14/20* – tak podsumował pracę na temat *Czy sztuka może obejść się bez reguł*. Inne wypracowanie *Czy można zrozumieć pasję* – nomen omen – Clément skomentował z wręcz przesadnym entuzjazmem: *Praca bardzo dobra mimo drobnych błędów, świadczy o dobrym opanowaniu pojęć oraz o prawdziwej kulturze literackiej i filozoficznej, 16/20*.

Między innymi skarbami w pudle odnalazłem zdjęcie naszej klasy maturalnej oraz taśmy ze składankami muzycznymi, które starannie nagrywałem dla Vinki, ale których nigdy nie ośmieliłem się jej dać. Otworzyłem jedną z kaset na chybił trafił i zobaczyłem ścieżkę dźwiękową mojego życia. Młody Thomas Degalais w tekstach i muzyce. Chłopak miły, wrażliwy, bujający w chmurach, obojętny na trendy i modę. Na taśmie Samson François grał Chopina, Jean Ferrat śpiewał *Les yeux d'Elsa*, Léo Ferré recytował *Sezon w piekle*. Ale były tam również *Moondance* Vana Morrisona i – jakby ostrzeżenie – *Love Kills* Freddiego Mercury'ego.

Wreszcie książki. Stare, pożółkłe wydania kieszonkowe, wierni towarzysze mojej szkolnej niedoli. Tytuły, które później przytaczałem w wywiadach na poparcie stwierdzeń w rodzaju: „Jako młody chłopak dzięki książkom zrozumiałem, że nigdy nie będę sam...”.

Gdyby to było takie proste!

Była tam też jedna książka nie moja. Zbiór wierszy Mariny Cwietajewej z dedykacją Clémenta, który zabrałem z pokoju

Vinki nazajutrz po morderstwie.

*Pragnę być duszą bez ciała,
by móc zawsze przy Tobie tkwić.
Kochać Cię, wielbić Cię – to żyć.
Alexis*

Nie mogłem powstrzymać sarkastycznego uśmiešku. W tamtych czasach łajdak zaimponował mi tą dedykacją, ale dziś wiedziałem, że po prostu przepisał fragment z listów Juliette Drouet do Victora Hugo. Do samego końca kłamca i oszust.

– No, co tu robisz, Thomas?

Odwrociłem się. Ojciec z sekatorem w dłoni wchodził do kuchni.

Jeśli już mowa o kłamcy i oszuście...

3

Ojciec nie był specjalnie wylewny, ale chętnie obejmował i całował na przywitanie. Tym razem, kiedy wyciągnął do mnie ramiona, miałem ochotę zrobić krok w tył.

– Jak tam się żyje w Nowym Jorku? Nie za ciężko z Trumpem? – spytał, myjąc starannie ręce pod kranem.

– Możemy przejść do twojego gabinetu? – zapytałem. – Chciałbym ci coś pokazać.

Mama kręciła się w pobliżu, a na razie nie chciałem jej wtajemniczać.

Ojciec wytarł ręce, narzekając, że wpadam bez uprzedzenia i na dodatek mam jakieś sekrety, po czym pociągnął mnie do swojego prywatnego sanktuarium na piętrze. Był to wielki pokój-biblioteka, urządzonej jak angielska palarnia, z kolekcją strzelb, skórzaną, pikowaną kanapą i ozdobnymi figurkami

afrykańskimi. Z dwóch ogromnych okien do samej podłogi rozciągał się najpiękniejszy widok w całym domu.

Od razu na progu wręczyłem mu komórkę z wyświetlonym artykułem z „Nice-Matin” na temat torby z forszą.

– Czytałeś? – spytałem.

Ojciec wyjął okulary i rzucił okiem na ekran, używając szkieł jak lupy.

– Taaa... Co za historia!

Odłożył okulary i z założonymi rękami podszedł do okna. Podbródkiem wskazał na światła zamontowane w trawniku dokoła basenu.

– Mamy najazd tych cholernych wiewiórek azjatyckich. Zżarły wszystkie przewody elektryczne, wyobrażasz sobie?

– Te pieniądze musiały zostać ukryte w czasach, kiedy jeszcze pracowałeś, prawda? – ściągnąłem go na ziemię.

– Może. Nie wiem. – Skrzywił się, nie odwracając głowy. – Widziałeś? Musieliśmy ściąć jedną palmę. Plaga chrząszcza ryjkowca.

– Nie wiesz przypadkiem, czyja to była torba?

– Jaka torba?

– Ta, w której znaleziono forszę.

– Skąd mam wiedzieć? Dlaczego zawracasz mi tym głowę? – zirytował się ojciec.

– Kolega dziennikarz powiedział mi, że policja trafiła na dwa odciski palców. Jeden z nich należał do Vinki Rockwell. Pamiętasz ją?

Na dźwięk tego imienia ojciec spojrzał na mnie i opadł na fotel z popękanej skóry.

– Oczywiście, że ją pamiętam! To ta dziewczyna, która znikła. Ona była... Ona była... świeża jak róża.

Przymrużył oczy. Ku mojemu zdumieniu obudził się w nim dawny nauczyciel francuskiego. Zaczął recytować wiersz François de Malherbe’a:

Była ze świata, w którym co piękne

*Spotyka najgorszy los.
Była jak róża, ale uwiędła,
Nie zabrzmiał jeszcze dnia głos...*

Zapadło milczenie.

– Mówiłeś coś o dwóch odciskach? – odezwał się ojciec po chwili.

– Jeszcze nie wiadomo, czyj jest ten drugi. Nie ma go w bazie danych. Ale dałbym sobie rękę uciąć, że to twój, tato.

– Coś takiego! – zdziwił się ojciec.

Usiadłem naprzeciw i pokazałem mu zdjęcia od Pianello, rzuty ekranu z portali społecznościowych.

– Nie pamiętasz tej torby? Zawsze ją brałeś na tenisa. Tak ci się podobały ta miękka skóra i ciemnozielona patyna.

Znów wyciągnął okulary.

– Nic nie widzę! To strasznie mały ekran!

Sięgnął po pilota na niskim stoliku i włączył telewizor, jakbyśmy skończyli rozmowę. Przeleciał przez kanały sportowe – Equipe, Canal+ Sport, Eurosport, beIN – chwilę kontemplował transmisję z wyścigu kolarskiego we Włoszech, potem przerzucił się na półfinał ATP w Madrycie. Grał Nadal z Djokoviciem.

– Jaka szkoda, że nie ma Federera! – jęknął.

Nie rezygnowałem.

– Spójrz jeszcze na to. Same zbliżenia, wszystko widać – oznajmiłem, podając mu brązową kopertę.

Wyjął zdjęcia, popatrzył na nie z roztargnieniem, bo jednym okiem obserwował mecz. Myślałem, że się załamie, ale tylko pokręcił głową i westchnął:

– Kto ci to dał?

– Co cię to obchodzi! Wyjaśnij mi lepiej, co to znaczy!

– Widziałeś zdjęcia. Co mam ci więcej powiedzieć?

Pogłośnił telewizor, ale wyrwałem mu pilota z rąk i wyłączyłem odbiornik.

– Nie myślisz chyba, że ujdzie ci to na sucho!

Znów westchnął i zaczął grzebać w kieszeni blezera w poszukiwaniu napoczętego cygara, które zawsze miał przy sobie.

– Zgoda, wpadłem jak smarkacz! – oświadczył, obracając cygaro między palcami. – Ta mała dziwka bez przerwy się koło mnie kręciła, nie dawała mi spokoju. W końcu nie wytrzymałem! A potem mnie szantażowała. Byłem na tyle głupi, że dałem jej sto tysięcy!

– Jak mogłeś?!

– Co „jak mogłem”?! Miała dziewiętnaście lat. Pieprzyła się z każdym na prawo i lewo. Nie zmuszałem jej! Sama weszła mi do łóżka.

Wstałem i oskarżycielsko wymierzyłem w niego palec wskazujący.

– Wiedziałeś, że to była moja przyjaciółka!

– No i co z tego? Na tym terenie każdy walczy o swoje. A tak między nami, wiele nie straciłeś. Vinca była upierdliwa i do tego słaba w łóżku. Zrobiła to wszystko dla forsy.

Nie wiedziałem, co mnie bardziej wkurwiało: jego arogancja czy perfidia.

– Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz?

Ojciec zaśmiał się szyderczo. Wcale nie był zażenowany. Czułem, że rozmowa sprawia mu przyjemność. Najwyraźniej napawał się pozycją rodzica, który utwierdza się we władzy nad synem, zadając mu ból.

– Jesteś podły. Brzydę się tobą! – rzuciłem.

To go wreszcie ruszyło. Wstał i zbliżył twarz do mojej twarzy.

– W ogóle nie znałeś tej dziewczyny! Ona była wrogiem, chciała nas zniszczyć, unicestwić naszą rodzinę! – Wskazał na zdjęcia rozrzucone na stole. – Wyobraź sobie tylko, co by było, gdyby te zdjęcia dostały się w ręce twojej matki czy rodziców innych uczniów! Ty żyjesz w świecie bajki, literatury! Rzeczywistość jest inna. Brutalna. Okrutna.

Miałem ochotę dać mu w mordę, żeby poprzeć jego słowa, ale nic by z tego nie wynikło. A poza tym chciałem jeszcze pociągnąć

go za język.

– Więc dałeś forszę Vince... – Staralem się mimo irytacji mówić spokojnie. – A potem?

– Potem, oczywiście, chciała jeszcze więcej, ale zakręciłem kran. – Cały czas obracał w palcach cygaro. Po chwili zmrużył oczy. – Ostatni raz pokazała się u mnie tuż przed przerwą bożonarodzeniową. Była tak bezczelna, że przyniosła nawet test ciążowy!

– To było twoje dziecko!

– Akurat!

– Skąd wiesz, że nie?!

– To się nie zgadzało z jej kalendarzykiem dni płodnych.

Co za głupi argument! Tak jakby mój ojciec znał się na kalendarzykach dni płodnych. Zawsze kłamał jak najęty. Miało to swoją niebezpieczną stronę, bo wierzył we własne kłamstwa.

– Jeśli to nie było twoje dziecko, to czyje?

– No oczywiście tego durnia, który pierdolił ją w sekrecie! – odparł ojciec autorytatywnie. – Jak on się nazywał, filozof jebany?

– Alexis Clément.

– Właśnie, Clément!

– Czy wiesz jeszcze coś o zniknięciu Vinki Rockwell? – spytałem tonem inspektora policji.

– A co mam niby wiedzieć? Nie sądzisz chyba, że mam z tym coś wspólnego? Kiedy zaginęła, byłem w Papeete z twoim bratem i siostrą.

Tak faktycznie było. Tu musiałem mu uwierzyć.

– Czemu nie wzięła ze sobą forsy?

– Nie wiem i mam to gdzieś!

Zapalił cygaro. W pokoju rozszedł się gorzki zapach tytoniu. Ojciec wziął do ręki pilota i pogłośnił dźwięk w telewizorze. Na korcie Djoković cierpiał w pojedynku z Nadalem, który prowadził 6:2, 5:4 i serwował o wejście do finału.

W pokoju zrobiło się duszno. Skierowałem się ku drzwiom. Ojciec postanowił dać mi jeszcze jedną lekcję życia.

– Powinieneś się wreszcie zahartować, Thomas – powiedział. – Zrozumieć, że życie to wojna. Podobno tak lubisz książki! Przeczytaj jeszcze raz Rogera Martina du Garda. *Cały nasz byt jest walką. Życie to nieustannie odnoszone zwycięstwo...*

10

Na wojennej ścieżce

Każdy jest zdolny do morderstwa. To zależy od okoliczności, nie od temperamentu. [...] Każdy, powtarzam, kiedykolwiek. Nawet pańska rodzona babcia. Jestem tego pewien.

Patricia Highsmith

1

Rozmowa z ojcem wywołała we mnie głęboki niesmak i nie dowiedziałem się niczego nowego. Wróciłem do kuchni. Matka odsunęła już na bok moje pudła i zabrała się do gotowania.

– Robię placek z morelami. Czy to wciąż twój ulubiony deser?

Nigdy nie rozgryzłem tego, w jaki sposób w ciągu sekundy potrafiła się kompletnie zmienić. Puszczala w niej tama i stawała się serdeczna, otwarta. Włoszka wygrywała z Austriaczką. W oczach zapalała się jej ta wyczekiwana przeze mnie iskra, której wypatrywałem, o którą zebrałem, mając nadzieję, że przeistoczy się w ognisko, ale płomyczek nigdy nie przekroczył stadium żaru. Z czasem nauczyłem się, co robić, żeby znów nie dać się na to nabrać. Odparłem więc lakonicznie:

– Nie rób sobie kłopotu, mamusiu.

– Ale to dla mnie przyjemność.

Spojrzałem na nią z niemą pretensją: „Dlaczego to robisz?!”. Rozpuściła koczek. Miała włosy w kolorze piasku na plaży w Antibes. Przezroczyście jak akwamaryna oczy błyszczały. „Czemu tak się zachowujesz?” – pytałem bezgłośnie. W dni takie jak dziś tym bardziej nie rozumiałem jej fascynującego spojrzenia. Matka, ta cudzoziemka, posunęła się nawet do uśmiechu. Patrzyłem, jak wyjmuje z szafki mąkę i foremkę do ciasta. Żaden mężczyzna nigdy nie pozwoliłby sobie na flirt z tą kobietą. Wszystko w niej do tego zniechęcało. Robiła wrażenie, jakby żyła na innej planecie. Była niedostępna. Wzrastając przy niej, uważałem, że jest zbyt elegancka na naszą skromną codzienność, zbyt błyskotliwa, żeby dzielić życie z kimś takim jak ojciec. Jej miejsce było wśród gwiazd.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Podskoczyłem.

– To Maxime! – oznajmiła matka, naciskając guzik.

Dlaczego tak poweselała? Wyszła przywitać mojego przyjaciela, a ja poszedłem na taras. Włożyłem okulary przeciwsłoneczne. W bramie zobaczyłem bordowego citroena. Samochód wjechał betonową alejką i zatrzymał się przy kabriolecie matki. Gdy otworzyły się drzwi samochodu, spostrzegłem, że Maxime przywiózł córki. Dwie drobne brunetki, śliczne jak z obrazka, najwyraźniej zżyte z moją matką, ponieważ od razu wyciągnęły do niej ręce. Maxime miał być dziś na komisariacie, rozmawiać z tym Vincentem Debruyne’em. Jeśli już wrócił, to znaczy, że wszystko okay! Starłem się wyczytać coś z jego twarzy. Pomachałem do nich. W tym momencie poczułem wibrowanie komórki, którą wsunąłem do kieszeni. Rzuciłem okiem na ekran. Rafael Bartoletti, mój fotograf.

– *Ciao*, Rafa!

– *Ciao*, Thomas! Dzwonię w sprawie zdjęcia tej twojej przyjaciółki Vinki.

– Wiedziałem, że ci się spodoba!

– Tak, intrygująca postać... Poprosiłem mojego asystenta, żeby zrobił powiększenie.

– No i?

– Wiem, dlaczego coś mi się tu nie zgadzało.

Poczułem kłucie w żołądku.

– No, mów!

– Jestem prawie pewien, że ona nie uśmiecha się do swojego partnera, ale patrzy na kogoś zupełnie innego.

– Jak to? Na kogo?

– Na kogoś, kto stoi sześć czy siedem metrów przed nią po lewej. Moim zdaniem ta twoja Vinca nawet nie tańczy z tym facetem. Tak się tylko wydaje, to złudzenie optyczne.

– Chcesz powiedzieć, że to fotomontaż?

– Nie, absolutnie nie, ale zdjęcie z pewnością zretuszowano. Wierz mi, uśmiech twojej dziewczyny skierowany jest do kogoś innego.

Do kogoś innego...

Nie do wiary! Podziękowałem Rafaelowi i obiecałem, że będę go informował na bieżąco. Na wszelki wypadek wysłałem esemesa do Pianellego z pytaniem, czy otrzymał wiadomość od Claude'a Angevina, emerytowanego naczelnego „Nice-Matin”, który podobno znał autora zdjęcia.

Zszedłem po schodach do matki, Maxime'a i jego córek. Wszyscy stali na trawniku przed domem. Od razu zauważyłem pod pachą przyjaciela grubą teczkę z dokumentami. Spojrzałem pytająco.

– Potem ci powiem – rzucił, wyciągając z tylnego siedzenia torbę, z której wystawały pluszowy piesek i gumowa żyrafa.

Przedstawił mi córeczki, dwa roześmiane kłębki energii, i na chwilę, bawiąc się z nimi, zapomnieliśmy o zmartwieniach. Emma i Louise były rozbijająco śmieszne i pełne nieodpartego uroku. Po zachowaniu matki i ojca, który wkrótce do nas dołączył, zorientowałem się, że Maxime był tu częstym gościem. Nie bardzo wyobrażałem sobie rodziców w roli dziadków. Najwyraźniej zajął w mojej rodzinie miejsce, które zwolniłem, wyjeżdżając. Nie miałem o to żalu. Przeciwnie, odczułem jeszcze większą potrzebę uchronienia go przed naszą wspólną przeszłością.

Po kwadransie matka zabrała dziewczynki do kuchni, żeby pomogły jej przy placku z morelami – sekret tego wyjątkowego wypieku polegał na posypaniu owoców nasionami lawendy – a ojciec wrócił do siebie, żeby oglądać finał kolejnego etapu wyścigu kolarskiego.

– Dobra, a więc narada wojenna! – zakomunikowałem Maxime’owi.

2

Miejszem najbardziej przeze mnie lubianym w Villi Violette był domek przy basenie, który rodzice zbudowali z kamienia i drewna, jak tylko się wprowadzili. Z kuchnią na zewnątrz, salonem i płóciennymi osłonami trzepoczącymi na wietrze, pawilon wyglądał jak drugi dom. Uwielbiałem ten zakątek – mnóstwo czasu spędziłem tu na lekturze, wtulony w kanapę pokrytą kremowym płótnem.

Usiadłem przy końcu tekowego stołu w ocienionej altanie, obrośniętej dzikim winem. Maxime usiadł po mojej prawej stronie.

Prosto z mostu zakomunikowałem mu to, czego dowiedziałem się od Fanny: że tuż przed śmiercią Ahmed poczuł potrzebę ulżenia swojemu sumieniu i wyznał, że na polecenie ojca Maxime’a zamurował Clémenta w ścianie hali sportowej. Jeśli opowiedział to Fanny, mógł opowiedzieć również innym. Nie była to dla nas dobra wiadomość, ale przynajmniej zidentyfikowaliśmy zdrajcę... no, może nie tyle zdrajcę, ile osobę, przez którą nagle zaatakowała nas groźna przeszłość.

– Ahmed zmarł w listopadzie. Gdyby powiedział cokolwiek policji, dawno już sprawdziliby mury hali sportowej – zauważył Maxime.

Wciąż wyglądał na zaniepokojonego, ale był o wiele mniej przygnębiony niż rano i panował nad sobą.

– Zgadzam się. Nawet jeśli się wygadał, to nie przed policją. A ty jak? Byłeś na komisariacie?

Maxime przesunął dłonią po włosach nad karkiem.

– Tak... Widziałem się z komisarzem Debruyne'em. Miałeś rację, nie wypytywał mnie o Clémenta.

– A czego chciał?

– Chciał porozmawiać o śmierci mojego ojca.

– Po co?

– Wszystko ci wyjaśnię, ale najpierw przeczytaj to... – powiedział i położył przede mną grubą teczkę akt, które przywiózł ze sobą. – Spotkanie z Debruyne'em dało mi do myślenia. A jeśli śmierć mojego ojca miała coś wspólnego z zabiciem Clémenta?

– Nie rozumiem!

– Myślę, że ojciec został zabity przez autora anonimów – wytłumaczył Maxime.

– Przecież dziś rano mówiłeś, że twój ojciec zmarł wskutek włamania, które się źle skończyło.

– Wiem, ale wtedy skróciłem historię, nie chciałem o tym gadać. W świetle tego, czego dowiedziałem się od policji, mam pewne wątpliwości. – Zachęcił mnie gestem dłoni do otworzenia teczki. – Przeczytaj, to pogadamy. Chcesz kawy?

Kiwnąłem głową. Maxime podszedł do wnęki, gdzie stały filiżanki i ekspres.

Zacząłem czytać. W teźce znajdowały się wycinki prasowe opisujące tutejsze włamania z przełomu 2016 i 2017 roku. Ponad pięćdziesiąt napadów z kradzieżą w zamożnych okolicach Alp Nadmorskich, Saint-Paul-de-Vence i Mougins; do poszkodowanych należało zaliczyć również mieszkańców luksusowych willi w Cannes i okolicach. Sposób działania był zawsze ten sam. Czterech czy pięciu zamaskowanych osobników wpadało do domu, spryskiwało domowników gazem łzawiącym, wiązało i zamykało na klucz. Gang był uzbrojony, brutalny i niebezpieczny. Przede wszystkim zabierali gotówkę i biżuterię.

Wielokrotnie torturowali ofiary w celu uzyskania PIN-ów kart kredytowych lub szyfru do sejfów.

Napady terroryzowały całą okolicę. Były dwie ofiary śmiertelne: sprzątaczką, która ze strachu dostała zawału serca, oraz ojciec Maxime'a, Francis Biancardini. Na osiedlu Aurelia Park, gdzie mieszkał, naliczono trzy włamania, co było nie do pomyślenia w jednym z najpilniej strzeżonych miejsc na wybrzeżu. Wśród poszkodowanych znaleźli się daleki krewny saudyjskiej rodziny królewskiej oraz dyrektor generalny dużej francuskiej firmy, kolekcjoner i mecenas sztuki, człowiek bliski kręgom rządowym. W momencie włamania nie było go w domu, lecz napastnicy, wściekli, bo nie trafili na nic nadającego się do szybkiej sprzedaży, zemścili się, niszcząc płótna na ścianach w salonie. Nie wiedzieli, że wisiał tam obraz jednego z najdroższych współczesnych malarzy, Seana Lorenza, zatytułowany *Dig Up the Hatchet*. Zniszczenie tego obrazu wywołało oburzenie na całym świecie, również w USA. „New York Times” i CNN podały wiadomości o włamaniach i luksusowe osiedle Aurelia Park stało się miejscem, które raczej należy omijać. W ciągu trzech miesięcy ceny tamtejszych mieszkań spadły o trzydzieści procent. Zapanowała ogólna panika i policja powołała specjalną grupę do schwytania członków gangu.

Śledztwo nabrało tempa. Pobrano próbki DNA, założono podsłuchy telefoniczne, zorganizowano inwigilację na dużą skalę. Na początku lutego poranna obława w wiosce przy włoskiej granicy została uwieczniona zatrzymaniem dziesięciu osób. Byli to Macedończycy, bez papierów lub znani policji z powodu kryminalnej przeszłości, zwłaszcza kradzieży z włamaniem. Przeszukano domy i znaleziono biżuterię, gotówkę, rewolwery, naboje, sprzęt komputerowy i podrabiane dokumenty. Odnaleziono kominiarki, noże i część łupów. Pięć tygodni później aresztowano szefa gangu, który ukrywał się w hotelu w Drancy. Był także paserem i posprzedawał już większość zdobyczy na wschodzie Europy. Przesłuchiwanym w Nicei przestępców postawiono w stan oskarżenia i zamknięto

w oczekiwaniu na proces. Część z nich przyznała się do kradzieży, ale nie do ataku na dom ojca Maxime'a – za umyślne zabójstwo groziło dwadzieścia lat więzienia.

3

Zdenerwowany i przestraszony, czytałem dalej. Wszystkie artykuły w teczce dotyczyły włamań oraz napadu na ojca Maxime'a. Francisa Biancardiniego maltretowano, torturowano i pobito na śmierć. Były opisy jego spuchniętej twarzy, pokaleczonego nożem ciała, nadgarstków poranionych przez kajdanki. Teraz lepiej rozumiałem, o co chodziło Maxime'owi. Ahmed miał okazję rozmawiać z kimś, kto śledził Biancardiniego przez dłuższy czas, zanim się do niego dobrał i zaczął torturować. Pewnie chciał, żeby Biancardini się do czegoś przyznał, ale do czego? Że brał udział w zabiciu Clémenta? Że myśmy brali w nim udział?

Wróciłem do lektury. Dziennikarka z „L'Obs”, Angélique Guibal, miała chyba dostęp do akt policyjnych. Pisała głównie o zniszczeniu obrazu Seana Lorenza, ale wspomniała również o innych włamaniach na terenie Aurelia Park. Według niej Biancardini żył, kiedy napastnicy opuścili dom. Porównała napad na niego ze sprawą Omara Raddada; twierdziła, że Biancardini podczołgał się pod okno i starał się coś napisać na szybie własną krwią. Tak jakby wiedział, kto go zaatakował.

Zmroziło mnie. Zawsze lubiłem ojca Maxime'a, nawet jeszcze zanim wyciągnął nas z opresji po zabiciu Clémenta. Był dla mnie bardzo serdeczny. Jego ostatnie chwile mnie przeraziły.

Podniosłem głowę znad dokumentów.

– Co ukradziono twojemu ojcu?

– Jedną jedyną rzecz, kolekcję zegarków. Zdaniem ubezpieczyciela była warta co najmniej trzysta tysięcy euro.

Pamiętałem dobrze to hobby Biancardiniego. Był nie do zagięcia, jeśli chodziło o szwajcarską firmę Patek Philippe. Miał

z dziesięć patków i je uwielbiał. Kiedy byłem smarkaczem, pozwalał mi je oglądać i opowiadał o nich, zarażając mnie swoim entuzjazmem do modeli projektowanych przez Géralda Gentę: Calatravy, Grande Complication czy Nautilusa.

Od rana dręczyło mnie pytanie.

– Kiedy twój ojciec przeprowadził się do Aurelia Park? Myślałem, że wciąż mieszkał tu obok, jak dawniej.

Odniosłem wrażenie, że Maxime się zmieszał.

– Mieszkał raz tu, raz tam już od lat, na długo zanim umarła mama – powiedział. – Aurelia Park była jego projektem. Zainwestował w to osiedle dużo pieniędzy i wybrał sobie jedną z piękniejszych willi. Jeśli mam być szczery, jego dom nigdy mnie nie pociągał. Gdy ojciec umarł, wszystkie sprawy zleciłem dozorczy. To pewnie była garsoniera, wiesz, kochanki, call girl... Podobno urządzał tam orgietki.

Ojciec Maxime'a miał opinię kobieciarza. Mówił o swoich podbojach otwarcie, ale nigdy konkretnie. Mimo to, trochę wbrew sobie, zawsze go lubiłem, ponieważ czułem, że jest kimś zupełnie innym niż tym, na kogo wygląda. Rasistowskie uwagi czy antyfeministyczne hasła w jego ustach brzmiały przesadnie i sztucznie, nie zgadzały się z jego zachowaniem i czynami. Zatrudniał robotników z północnej Afryki i wszyscy byli do niego bardzo przywiązani. Był szefem w starym stylu, zasadniczym, podwładni mogli na niego liczyć. No i, na co kiedyś zwróciła mi uwagę matka, w jego firmie najważniejsze stanowiska zajmowały kobiety.

Przypomniały mi się dwa wydarzenia.

Pierwsze: Hongkong, 2007 rok. Mam trzydzieści trzy lata. Napisałem trzecią powieść. Mój agent w ramach promocji zorganizował mi spotkania z czytelnikami w różnych miastach Azji: w Hanoi (Instytut Francuski), w Tajpej (księgarnia Le Pigeonnier), w Seulu (prestżowy uniwersytet Ewha) i wreszcie w Hongkongu (księgarnia Parenthèses). Siedzę z jakąś dziennikarką w barze na dwudziestym piątym piętrze słynnego hotelu Mandarin Oriental. Niekończąca się linia wieżowców na

horyzoncie wygląda pięknie, ale ja tego nie widzę, bo od dłuższej chwili przyglądam się mężczyźnie siedzącemu dziesięć metrów od nas. To ojciec Maxime'a, lecz trudno go rozpoznać. Czyta „Wall Street Journal”, ma na sobie świetnie skrojony garnitur (lekko wutowane ramiona, klapy otwarte w stylu francuskim) i po angielsku mówi wystarczająco biegle, żeby dyskutować z kelnerem o różnicach między whisky japońską a szkocką. W pewnym momencie dziennikarka zauważa, że jej nie słucham, i denerwuje się. Staram się naprawić gafę i dowcipnie odpowiedzieć na kolejne pytanie. Kiedy podnoszę oczy, ojca Maxime'a już nie ma.

Drugie: wiosna 1990 roku. Nie mam jeszcze szesnastu lat. Uczę się do matury z francuskiego. Jestem sam. Rodzice, brat i siostra wyjechali na wakacje do Hiszpanii. Samotność okazuje się fajna. Od rana do wieczora czytam lektury obowiązkowe: *Niebezpieczne związki*, *Szkołę uczuć*, *Aureliana...* Każdy tekst odsyła mnie do następnego, każde odkrycie to zaproszenie do dalszych studiów nad muzyką, malarstwem czy filozofią. Tuż przed południem zaglądam do skrzynki i widzę list zaadresowany do ojca Maxime'a. Postanawiam mu go zanieść. Między naszymi domami nie ma ogrodzenia, wchodzę więc od tyłu na trawnik Biancardinich. Jedno z tarasowych okien jest otwarte. Wślizguję się do salonu, chcę zostawić list na stole i wyjść. Nagle spostrzegam Biancardiniego, siedzi w fotelu. Nie słyszy mnie, bo z głośników rozbrzmiewają dźwięki impromptu Schuberta (dziwne w domu, w którym królują Michel Sardou i Johnny Hallyday). Ojciec Maxime'a czyta, i to nie byle co – w szybie odbija się okładka *Pamiętników Hadriana* Marguerite Yourcenar. To dopiero! Biancardini zawsze się chwalił, że z lektur oprócz scen łóżkowych w historiach o Jamesie Bondzie nic go nie interesuje. Pogardzał życiem jajogłowych, zamkniętych w bańce iluzji, podczas gdy on już w wieku lat czternastu harował na budowie. Wycofuję się na palcach, zdumiony. Znałem mnóstwo kretynów, którzy starali się udawać

inteligentnych, ale po raz pierwszy widziałem człowieka inteligentnego, który chciał uchodzić za kretyna.

4

– Tata! Tata!

Krzyki dziewczynek oderwały mnie od wspomnień. Po drugiej stronie trawnika zobaczyłem Emmę i Louise, które biegły w naszym kierunku. Za nimi biegła moja matka. Odruchowo zamknąłem teczkę z okropnościami. Dziewczynki wdrapały się ojcu na ramiona, a matka powiedziała:

– Zajmijcie się chwilę małymi. Muszę pojechać po morele do Vergers de Provence. – I zamachała mi przed oczami zostawionym w przedpokoju kluczykiem od mini. – Biorę twój samochód, Thomas. Mój jest zablokowany przez auto Maxime’a.

– Proszę chwilę poczekać, Annabelle – odezwał się Maxime. – Zaraz je przestawię.

– Nie, nie, muszę jeszcze wpaść do supermarketu, a już jestem spóźniona! – Mówiąc to, spojrzała na mnie i dodała: – W ten sposób nie będziesz mógł uciec! Chyba nie pogardzisz moim plackiem z morelami?

– A jeśli będę chciał gdzieś pojechać?

– Weźmiesz mój samochód, kluczyki są w stacyjce! – rzuciła mama i odeszła, nie zostawiając mi czasu na reakcję.

Maxime wyjmował z torby zabawki, kiedy zadzwoniła moja komórka. Nie poznałem numeru, ale odebrałem. Dzwonił Claude Angevin, dawny naczelny „Nice-Matin”, mentor Pianellego. Okazał się sympatyczny, ale gadatliwy. Zaczął od tego, że przeniósł się do Portugalii. Co najmniej pięć minut wychwalał zalety regionu Douro. Sprowadziłem go na ziemię, starając się wysondować, co sądzi o oficjalnej wersji zniknięcia Vinki Rockwell.

– To stek bzdur, ale nigdy się tego nie dowiedzie! – rzekł.

– Dlaczego pan uważa, że to stek bzdur?

– Intuicja. Zawsze mi się wydawało, że w tej sprawie wszyscy uderzali na ślepo, policja, dziennikarze, rodzina... Szukali nie tam, gdzie trzeba.

– Jak to nie tam, gdzie trzeba?

– Mylimy się od samego początku! Nie w szczegółach, w całej sprawie. Wszyscy przegapiliśmy coś istotnego i w rezultacie śledztwo zabrnęło w ślepy zaułek. Rozumiesz?

Mówił bez konkretów, ale mniej więcej czułem, o co mu chodzi.

– Stéphane powiedział, że szukasz autora zdjęcia tańczącej pary?

– Tak! Wie pan, kto to mógł być?

– Pewnie, że wiem! Jeden z rodziców, Yves Dalanegra.

To nazwisko coś mi mówiło.

– Yves Dalanegra był ojcem Florence i Olivii Dalanegry – oznajmił Angevin. – Musiałem trochę poszperać, ale znalazłem!

Florence pamiętałem jak przez mgłę – wysportowana, wyższa ode mnie o dobre dziesięć centymetrów. Byliśmy w różnych klasach, spotykaliśmy się na zajęciach sportowych. Chyba nawet graliśmy w tej samej koedukacyjnej drużynie piłki ręcznej. Ale jej ojca zupełnie nie mogłem sobie przypomnieć.

– Przyszedł do redakcji z tym zdjęciem... to było w dziewięćdziesiątym trzecim, zaraz po tym, jak ukazał się nasz pierwszy artykuł na temat zniknięcia Vinki Rockwell i Alexisa Clémenta. Od razu je kupiliśmy, przydało się wiele razy.

– Czy to pan je skadrował?

– Nie... W każdym razie nic takiego nie pamiętam. Opublikowaliśmy zdjęcie takie, jakie nam sprzedał.

– Wie pan, gdzie mieszka ten Dalanegra?

– Tak. Znalazłem tę informację z myślą o tobie. Będziesz zaskoczony!

Podaliśmy mu swój adres mailowy i podziękowałem za rozmowę. Wymógł na mnie obietnicę, że będę go informował o stanie poszukiwań.

– Vinki Rockwell łątwo się nie zapomina! – rzucił na pożegnanie.

Komu to mówisz, dziadku...

Kiedy się rozłączyłem, kawa przygotowana przez Maxime'a już wystygła. Wstałem, żeby zrobić nową. Maxime upewnił się, że małe mają zajęcie, i podszedł do mnie.

– Wciąż nie wiem, po co wezwał cię inspektor Debruyne?

– Chciał, żebyśmy zidentyfikował pewną rzecz w związku ze śmiercią ojca.

– Dobra, powiesz mi wreszcie, o co chodzi?! – zirytowałem się.

– W środę wieczorem była wichura i fale wyrzuciły na brzeg mnóstwo alg i śmieci. Przedwczoraj rano śmieciarze zaczęli sprzątać plażę. – Maxime niby patrzył w dal, ale tak naprawdę uważał na to, co robią córeczki. Wypił łyk kawy i ciągnął: – Na plaży w Salis znaleźli wśród alg i odpadów worek z juty. Zgadnij, co było w środku?

Pokręciłem głową zdezorientowany.

– Kolekcja zegarków mojego ojca.

Od razu zdałem sobie sprawę z wagi tej informacji. Gang Macedończyków nie miał nic wspólnego z kradzieżą u Biancardiniego, bo to nie była kradzież! Morderca ojca Maxime'a, by zakamufłować swój czyn, wykorzystał wzrost włamań na wybrzeżu. Zegarki zabrał dla zachowania pozorów i szybko się ich pozbył, może ze strachu przed niespodziewaną rewizją.

Popatrzyliśmy po sobie z Maxime'em i od razu zwróciliśmy oczy na jego córki. Zrobiło mi się zimno. Uświadomiłem sobie skalę niebezpieczeństwa. Nasz wróg nie był zwykłym szantażystą, nie chciał nas postraszyć. To był bezwzględny morderca, który wkroczył na wojenną ścieżkę, marząc o zemście.

Chłopak inny niż wszyscy

Jechałem w głąb lądu kabrioletem matki, zsunąwszy dach. Błękitne niebo, łąki porośnięte niskimi krzakami i pachnącą trawą, wokół ciepło i sielankowo, a w mojej duszy – zamęt.

Ściślej mówiąc, byłem zaniepokojony, ale i podekscytowany. Nawet jeśli nie śmiałem tego przyznać, odzyskałem nadzieję. Przez kilka godzin tego popołudnia naprawdę myślałem, że Vinca nie umarła, że ją odnajdę, że moje życie zyska z powrotem sens i lekkość, a poczucie winy, które mnie przytłaczało, zniknie na zawsze.

Przez kilka godzin wierzyłem, że wygram zakład i nie tylko poznam prawdę o sprawie Vinki Rockwell, ale też wyjdę z tych żmudnych poszukiwań szczęśliwy i odrodzony. Tak! Naprawdę wierzyłem, że uwolnię Vincę z tajemniczej niewoli, w której marnieje, a ona z kolei uwolni mnie od trosk i przywróci stracone lata.

Na początku szukałem jej bez przerwy, ale mijały lata i zacząłem czekać, aż ona mnie znajdzie. Nigdy nie odpuściłem, bo miałem w rękawie nikomu nieznanego asa...

Kolejne wspomnienie. Nie „niezbity dowód”, ale „moralna pewność”, taka, która może zmienić opinię przysięgłych i złamać lub uratować życie.

*

Scena ta rozegrała się w 2010 roku, gdy między Bożym Narodzeniem a sylwestrem Nowy Jork został sparaliżowany przez burzę śnieżną, jedną z bardziej spektakularnych, jakie kiedykolwiek przeżyło to miasto. Lotniska zamknięto, odwołano

wszystkie loty i przez trzy dni Manhattan uwięziony był pod grubą warstwą śniegu i lodu. Dwudziestego ósmego grudnia, po tej apokalipsie, nagle wyszło słońce i świeciło oślepiająco cały dzień. Koło południa poszedłem na spacer w kierunku Washington Square. Wszedłem do parku od strony alejki, w której zbierali się szachiści, i dałem się skusić na partyjkę z Siergiejem, starszym znajomym Rosjaninem. Graliśmy zwykle dwadzieścia dolarów za partię i do tej pory facet zawsze wygrywał w ostatniej chwili. Zasiadłem przy jednym z kamiennych stolików, zdecydowany się odegrać.

Pamiętam to doskonale. Szykowałem się do ciekawego ruchu, chciałem skoczkiem pobić gońca Siergieja. Uniosłem pionek, spojrzałem przed siebie i poczułem, jak w serce wbija mi się sztylet.

Na końcu alejki, jakieś piętnaście metrów ode mnie, siedziała na ławce Vinca. Z nogą założoną na nogę czytała jakąś książkę, w dłoni trzymała kartonowy kubeczek. Wyglądała olśniewająco. O wiele bardziej kwitnąco i promiennie niż w czasach liceum. Miała na sobie jasne džinsy, zamszową jasnobrązową kurtkę, a szyję obwiązała grubą chustą. Mimo że była w czapce, odgadłem, że ma krótsze włosy i że straciły rudy blask. Przetarłem oczy. Czytała moją powieść! Otworzyłem usta, żeby ją zawołać, ona spojrzała w moim kierunku i przez chwilę patrzyliśmy na siebie, ale...

– Grasz, kurwa, czy nie?! – usłyszałem głos Siergieja.

Mój ruch zajął mi zaledwie kilka sekund, lecz to wystarczyło, żebym stracił Vincę z oczu. Grupa Chińczyków weszła do parku. Wstałem, przebiłem się przez nich, ale kiedy dobiegłem do ławki, Vinca już znikła.

*

Czy to w ogóle była Vinca? Przyznaję, że wszystko trwało kilka sekund. Ponieważ bałem się, że zapomnę, wciąż wyświetlałem sobie tę scenę w pamięci. Obraz Vinki na ławce

uspokajał mnie, chwytalem się go, wiedząc, że jest ulotny. Każde wspomnienie składa się po trosze z fikcji, z chęci odbudowania przeszłości, a to akurat było zbyt piękne, by okazało się prawdziwe.

Minęły lata. W końcu stwierdziłem, że to była pomyłka. Pewnie coś mnie o tym przekonało. Ale dziś to wspomnienie nabrało zupełnie innego sensu. Przypomniałem sobie, co powiedział mi stary Angevin: „Mylimy się od samego początku. Nie w szczegółach, w całej sprawie. Wszyscy przegapiliśmy coś istotnego i w rezultacie śledztwo zabrnęło w ślepy zaułek”.

Angevin miał rację. Teraz jednak coś się zmieniło. Na horyzoncie pojawiła się prawda. Może ścigał mnie morderca, ale nie bałem się. Dzięki niemu dotrę do Vinki.

Nie mogłem jednak walczyć sam. Aby odkryć tajemnicę zaginięcia Vinki Rockwell, musiałem sięgnąć do wspomnień, spotkać się z tym chłopakiem innym niż wszyscy, którym podobno byłem, gdzieś między maturą a studiami. Był to chłopak pragmatyczny, odważny i szlachetny, pełen zdrowych odruchów. Wiedziałem, że nie uda mi się go wskrzesić, ale czułem, że nie całkiem znikł. Nawet w najcięższych chwilach gdzieś tam był, przypominały mi o nim uśmiech, słowo, przypadkowa rozsądna myśl. Tylko on mógł odkryć prawdę, bo właściwie szukałem nie tyle Vinki, ile siebie.

11

Co się kryje za tym uśmiechem?

*Niedokładność nie istnieje
w fotografii. Wszystkie fotografie
są dokładne. Żadna nie jest
prawdziwa.*

Richard Avedon

1

Yves Dalanegra mieszkał w wielkiej posiadłości na wzgórzach Biot. Nie chciałem go nachodzić, więc najpierw zadzwoniłem pod numer, który dał mi Angevin. Miałem podwójne szczęście: po pierwsze, Dalanegra, który zwykle pół roku spędzał w Los Angeles, był akurat na wybrzeżu, a po drugie, okazało się, że mnie zna. Florence i Olivia, jego dorosłe córki – pamiętałem je z czasów licealnych – lubiły moje powieści. Od razu zaprosił mnie do swojej willi-pracowni przy drodze Vignasses.

„Będziesz zaskoczony!” – przypomniałem sobie słowa Angevina. Zaglądając na internetową stronę Dalanegry, czytając jego życiorys w Wikipedii oraz różne artykuły, zrozumiałem, że stał się słynnym fotografem. Dziwna była droga jego kariery. Do wieku czterdziestu pięciu lat wiódł spokojne życie ojca rodziny. Dyrektor finansowy dużej nicejskiej firmy, przez dwadzieścia lat żonaty z tą samą kobietą, Catherine, dwójka dzieci... Lecz gdy w 1995 roku zmarła mu matka, coś mu się stało, co kompletnie

zmieniło jego losy. Rozwiódł się, rzucił pracę i pojechał do Nowego Jorku, by oddać się swojej pasji, fotografii.

Lata później – w wywiadzie zamieszczonym na ostatniej stronie dziennika „Libération” – oświadczył, że po śmierci matki postanowił zaakceptować swój homoseksualizm. Sławę przyniosły mu akty, ostentacyjnie naśladujące estetykę Irvinga Penna i Helmuta Newtona. Z czasem wypracował własny styl. Zaczął fotografować kobiety, których uroda nie odpowiadała obowiązującym kanonom piękności, a więc przesadnie grube, bardzo niskie, ofiary oparzeń, amputacji czy też kobiety w trakcie chemioterapii – udawało mu się uchwycić nieszczęście, krzywdę. Na początku podszedłem do tego sceptycznie, ale koniec końców uległem sile jego prac, w których nie było nic wulgarne ani niezdrowego. Jego zdjęcia kojarzyły się bardziej z obrazami mistrzów flamandzkich niż z niesmacznymi, poprawnymi politycznie kampaniami pod hasłem „każdy jest inny”. Fotografie Dalanegry – eleganckie, pomysłowe – umiejętnie wykorzystywały światło, przypominały klasyczne płótna i przenosiły widza tam, gdzie piękno jest przyjemne, zmysłowe i beztroskie.

Jechałem powoli wąską drogą pnącą się pomiędzy drzewami oliwnymi i kamiennymi murkami, coraz węższą za każdym ostrym zakrętem. Mijałem dawne gospodarstwa przerobione na wiejskie domy, wille współczesne, osiedla w stylu prowansalskim z lat siedemdziesiątych. Po kolejnym zakręcie znikły gdzieś stare oliwki o powyginanych pniach i drżących listkach. Moim oczom ukazał się gaj palmowy godzien Marrakeszu. Yves Dalanegra podał mi kod do bramy. Zaparkowałem pod tym arcydziełem z kutego żelaza i pieszo poszedłem palmową aleją w stronę domu.

Nagle ujrzałem pędzącą w moim kierunku rudą futrzaną masę, ujadającą wściekle. Ogromny owczarek anatolijski! Potwornie boję się psów. Kiedy miałem sześć lat, na urodzinach u kolegi rzucił się na mnie beauceron. Bez powodu ugryzł mnie

w twarz, ledwo uratowałem oko, i od tego czasu mam bliznę u nasady nosa oraz histerycznie boję się tych bestii.

– Ulysse, do nogi!

Strażnik posesji, niski, muskularny mężczyzna o nieproporcjonalnie szerokich ramionach, pojawił się zaraz za ujadającym brytanem. Miał na sobie marynarską bluzę w paski i kapitańską czapkę Popeye'a.

– Dobry pies, dobry! – krzyknął.

Krótką sierść, szeroki pysk, osiemdziesiąt centymetrów wzrostu – psisko wpatrywało się we mnie, nie pozwalając zrobić ani kroku dalej. Najwidoczniej wyczuło mój strach.

– Przychodzę do pana Dalanegry, dostałem od niego kod do bramy! – odkrzyknąłem Popeye'owi, który wyglądał przyjacielsko, w odróżnieniu do Ulysse'a, już łapiącego mnie za nogawkę.

Nie mogłem powstrzymać okrzyku przerażenia, co zmusiło strażnika do interwencji. Zaczął odciągać brytana, starając się przekonać go, żeby wypuścił z pyska moje spodnie.

– Ulysse, puść! – polecił psu, zaskoczony. – Nie wiem, co mu się stało! – usprawiedliwił Ulysse'a. – Zwykle jest nastawiony pokojowo, taki poczciwy miś. Może pan jakoś specjalnie pachnie...

Pewnie strachem, pomyślałem, ruszając w kierunku domu.

Dalanegra zaprojektował dla siebie oryginalną budowlę w kształcie litery L, w stylu kalifornijskim – bielone drewno i szkło – z tym że kamień zastąpiony został betonem przepuszczającym światło. Znad ogromnego basenu rozciągał się wspaniały widok na wioskę i wzgórza Biot. Z uchylonych tarasowych okien dochodziły dźwięki najsłynniejszej arii z drugiego aktu opery Richarda Straussa *Kawaler srebrnej róży*. Zdziwiłem się, bo nie znalazłem dzwonka przy drzwiach wejściowych. Zapukałem, ale muzyka zagłuszała wszystko. Tutejszym zwyczajem obszedłem dom dokoła i zbliżyłem się do źródła muzyki od strony ogrodu.

Dalanegra zauważył mnie przez szybę i gestem zaprosił do środka. Znalazłem się w olbrzymim pomieszczeniu przerobionym na pracownię fotograficzną. Jakaś krągła piękność ubierała się po sesji zdjęciowej, podczas której pozowała jako *Maja naga* Goi. Przypomniało mi się, że gdzieś czytałem, iż ostatnią obsesją Dalanegry było fotografowanie tęgich modelek w pozach ze słynnych portretów.

Wnętrze było kiczowate, ale estetyczne: wielka kanapa obita zielonym aksamitem, miękkie poduszki, koronkowe zasłony, draperie mieniące się jak piana mydlana. Dalanegra od razu zwrócił się do mnie po imieniu:

– Witaj, Thomas! Wchodź, właśnie skończyliśmy!

Podobny był do Chrystusa lub – żeby pozostać w sferze malarstwa – do Albrechta Dürera z autoportretu: kręcone włosy opadały mu na ramiona, twarz miał wychudzoną, brodę krótką, dobrze przyciętą, spojrzenie nieruchome, cienie pod oczami. Ubrany był w wyszywane dżinsy, traperską bluzę z frędzlami i buty do kostek.

– Nic nie zrozumiałem z tego, co mówiłeś przez telefon! Wróciłem z Los Angeles wczoraj wieczorem i jestem wykończony.

Usiadłem przy wielkim stole z surowego drewna, gdy żegnał się z modelką. Wszędzie było pełno jego zdjęć i nagle spostrzegłem, że na żadnym nie ma mężczyzn, jakby nie istnieli. Ustąpili miejsca kobietom, sportretowanym w szczęśliwym świecie wyzwolonym od męskiego zła.

Dalanegra opowiedział mi o swoich córkach, potem o jakiejś aktorce, która grała w filmowej adaptacji jednej z moich powieści i którą już udało mu się sfotografować. Kiedy te grzecznościowe tematy się wyczerpały, zapytał:

– Powiedz, co mogę dla ciebie zrobić?

– Tak, oczywiście, to moje zdjęcie!

Spytałem go o to od razu, ponieważ wydawał się w nastroju do współpracy. Pokazałem mu też okładkę książki Pianello. Prawie wyrwał mi to dzieło z rąk i zaczął się przyglądać fotografii, jakby dawno jej nie widział.

– Bal maturalny?

– Raczej bal na koniec roku, to było w połowie grudnia dziewięćdziesiątego drugiego.

Dalanegra pokiwał głową.

– Tak... Zajmowałem się wtedy szkolnym kółkiem fotograficznym. Musiałem być gdzieś w pobliżu, starałem się zrobić zdjęcia Florence i Olivii. Potem mnie wciągnęło i pstrykałem już na prawo i lewo. Ale klisze wywołałem dopiero kilka tygodni później, kiedy zaczęto mówić o zniknięciu tej dziewczyny i jej profesora. To ujęcie jest częścią pierwszej serii. Zaproponowałem je w „Nice-Matin” i od razu je kupili.

– Jest skadrowane, prawda?

Dalanegra zmrużył oczy.

– Ale masz oko! Oddzieliłem te dwie postacie, żeby podkreślić kompozycję.

– Czy zachował pan oryginał?

– Zeskanowałem wszystkie klisze od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku – oznajmił i zaraz się skrzywił. – Wszystko jest gdzieś, jak to się dziś mówi, w chmurze, ale nie mam pojęcia, jak się tam dostać.

Musiałem wyglądać na zawiedzionego, bo od razu zaproponował, że zadzwoni przez Skype’a do swojej asystentki w Los Angeles. Po chwili na ekranie komputera ukazała się twarz niezupełnie dobudzonej młodej Japonki.

– Cześć, Yuko, mogłabyś mi pomóc?

Yuko miała długie turkusowe warkocze, nieskalanie białą bluzkę koszulową i szkolny krawat. Wyglądała jak cosplayerka udająca się na zjazd.

Dalanegra wyjaśnił dokładnie, o co mu chodzi, i Yuko obiecała jak najprędzej przysłać zdjęcia. Po zakończeniu rozmowy

Dalanegra przeszedł do części kuchennej, stanął za kamiennym blatem, sięgnął po mikser i zaczął szykować koktajl warzywny: do miksera włożył liście szpinaku, kawałki banana i wszystko zalał mlekiem kokosowym. Pół minuty później rozlał to smoothie do dwóch wysokich szklanek.

– Spróbuj! – zachęcił, wręczając mi napój. – To świetne na skórę i żołądek!

– Nie ma pan raczej whisky?

– Niestety, nie mam, skończyłem z tym dwadzieścia lat temu.

Wypił pół szklanki i wrócił do tematu Vinki.

– Fotografowanie tej dziewczyny nie wymagało specjalnych zdolności – powiedział, stawiając szklankę obok komputera. – Tylko naciskałeś spust i na zdjęciach, które zrobiłeś, wyglądała jeszcze lepiej niż w rzeczywistości. Rzadko kto miał taki wdzięk.

Coś mnie tknęło. To znaczy, że Dalanegra fotografował Vincę nieraz.

– Tak! – odparł, gdy go o to spytałem.

Zauważył moje zaskoczenie i dowiedziałem się od niego czegoś, czego nie wiedziałem.

– Dwa czy trzy miesiące przed zniknięciem poprosiła mnie, żebym zrobił jej kilka zdjęć. Myślałem, że przygotowuje sobie portfolio, że chce wystartować jako modelka, tak jak niektóre koleżanki moich córek, ale w końcu przyznała się, że te zdjęcia były przeznaczone dla jej faceta. – Dalanegra chwycił myszkę i otworzył przeglądarkę. – Odbyliśmy dwie świetne sesje. Wyszły urocze, seksowne ujęcia!

– Zatrzymał je pan?

– Umówiliśmy się z Vincą, że ich nie zatrzymam, i nie naciskałem, ale parę tygodni temu zdarzyło się coś dziwnego: wszystkie pojawiły się w internecie!

Odwrócił laptop ekranem w moją stronę. Wszedł na Instagram, odszukał konto feministek z Saint-Ex, Heterodoktek, czczących Vincę jak boginię. Dziewczyny wrzuciły do internetu około dwudziestu zdjęć, tych, o których właśnie opowiedział mi Dalanegra.

– Jak one zdobyły te zdjęcia?

Dalanegra machnął ręką.

– Mój agent już do nich dzwonił, no bo prawa autorskie i w ogóle. Powiedziały, że dostały je w mailu od anonimowego nadawcy.

Poruszony, przyglądałem się fotografiom. Były prawdziwym hymnem na cześć kobiecego piękna. Drobne niedoskonałości urody Vinki tworzyły zjawiskową całość. Jak wiadomo, całość jest czymś więcej niż sumą części.

Ten uśmiech – grymas arogancji – skrywał jednak cierpienie, którego kiedyś nie dostrzegałem. Może był to brak poczucia bezpieczeństwa, z jakim spotkałem się później w kontaktach z innymi kobietami – piękność okazywała się kruchą władzą, czasem nie było wiadomo, czy się ją sprawuje, czy też znosi się jej skutki.

– Po jakimś czasie Vinca poprosiła mnie o zdjęcia znacznie bardziej prowokujące, prawie porno. Odmówiłem, bo wydawało mi się, że to nie ona tego chciała, tylko ten jej partner.

– Kto to był? Alexis Clément?

– Tak myślę... Dziś to się wydaje banalne, ale wówczas szokowało. Nie chciałem w to wchodzić. Tym bardziej że...

Przerwał, szukając słów.

– Tym bardziej że?

– Nie umiem tego wyjaśnić. Jednego dnia Vinca była promienna, a następnego przygnębiona, jak naćpana. Nie była zrównoważona. A poza tym poprosiła mnie jeszcze później, żebym z ukrycia zrobił zdjęcia, które miały jej posłużyć do szantażowania jakiegoś starszego faceta. To już było zdecydowanie podejrzane, no i...

Krystaliczny dźwięk powiadomił o przyjsciu nowego maila.

– Ach, to Yuko! – oznajmił Dalanegra, patrząc na ekran.

Kliknął na wiadomość i zobaczyliśmy kilkadziesiąt zdjęć ze szkolnego balu. Dalanegra włożył okulary i szybko wyszukał to, na którym Vinca tańczyła z Alexisem.

Mój fotograf Rafa miał rację. Fotografia była wykadrowana. Gdy ją zmniejszyliśmy, ujrzeliśmy coś zupełnie innego: Vinca tańczyła sama, spoglądając na mężczyznę, który stał plecami do nas. Widzieliśmy jedynie zamazany kształt na pierwszym planie.

– O cholera!

– Czego dokładnie szukasz?

– To zdjęcie kłamie!

– Tak jak wszystkie zdjęcia – odparł sentencjonalnie Dalanegra.

– Ach, niech pan przestanie!

Wziąłem ołówek i wskazałem niewyraźny kontur pleców.

– Chcę wiedzieć, co to za facet! – oznajmiłem. – On może mieć coś wspólnego ze zniknięciem Vinki.

– Obejrzyjmy pozostałe zdjęcia – zaproponował Dalanegra.

Przysunąłem się do ekranu i zaczęliśmy oglądać. Fotografował głównie córki, ale czasem można było zauważyć jakieś inne postacie. Twarz Maxime’a, twarz Fanny... Grupa uczniów; niektórych z nich spotkałem dziś rano: Éric Lafitte, „Régis to głupek”, błyskotliwa Kathy Laneau... Ja też byłem na jednym z ujęć, chociaż nie pamiętałem tego wieczoru. Wyglądałem dziwnie, najwyraźniej bujałem w obłokach własnego świata, ubrany jak zwykle w błękitną koszulę i blezer... Profesorowie skupieni w dwóch grupach: grono drani, dla bezpieczeństwa zawsze razem, czyli N’Dong, nauczyciel matematyki, sadysta uwielbiający znęcać się nad uczniami przy tablicy; Lehmann, fizyk cierpiący na psychozę maniakalno-depresyjną i najgorsza – Fontana, która nigdy nie umiała opanować klasy, za to na posiedzeniach rady pedagogicznej była bezlitosna. Z drugiej strony stali pedagodzy bardziej ludzcy: śliczna panna DeVille, specjalistka od literatury angielskiej w klasach przygotowawczych, znana z cudownych ripost (cytatem z Szekspira czy Epikteta zamykała usta najgorszemu mącicielowi), oraz profesor Graff, mój dawny mentor, który uczył mnie przez dwa ostatnie lata przed maturą i genialnie wykładał język francuski.

– Cholera, nic nie widać pod światło! – zirytowałem się przy ostatnim zdjęciu.

Na pewno przegapiłem coś bardzo istotnego!

– Tak, to denerwujące! – zgodził się Dalanegra, kończąc szpinakowe smoothie.

Ja swojego nie tknąłem, to było ponad moje siły. Tymczasem zaczął zapadać zmrok. Jasność przenikająca przez przezroczysty beton unosiła się w atelier jak duch. Podziękowałem Dalanegrze za pomoc i poprosiłem o przesłanie mi fotografii, co natychmiast uczynił.

– Czy wtedy ktoś jeszcze robił zdjęcia? – spytałem, jedną nogą w drzwiach.

– Może jacyś uczniowie... – powiedział. – Ale w tamtych czasach nie było aparatów cyfrowych i wszyscy oszczędzali klisze.

W tamtych czasach... W ciszy mrocznego salonu słowa te zabrzmiały jak memento. Nagle poczuliśmy się bardzo starzy.

3

Wsiadłem z powrotem do mercedesa matki i przez parę kilometrów nie mogłem się zdecydować, gdzie mam jechać. Spotkanie z Dalanegrą pozostawiło we mnie niedosyt. Może się myliłem, ale musiałem zidentyfikować faceta stojącego plecami do obiektywu.

Dojechałem do Biot, minąłem pola golfowe i znalazłem się na rondzie La Brague. Zamiast w kierunku starego rynku skręciłem w drogę Colles prowadzącą do Sophii Antipolis. Stara szkoła ciągnęła mnie jak magnes. Rano zabrakło mi odwagi na konfrontację z duchami przeszłości, które świadomie ignorowałem.

Przez cały czas myślałem o zdjęciach Dalanegry. Wytrąciło mnie z równowagi zwłaszcza jedno z nich. Było to zdjęcie takiego ducha, mojego dawnego profesora literatury francuskiej, Jeana-

Christophe'a Graffa. Zmrużyłem oczy. Nadchodziły wspomnienia, a z nimi defilada smutków. To profesor Graff pokierował moimi lekturami i zachęcił do pisania. Był porządny, szlachetny, wspaniałomyślny. Wysoki i chudy, trzymał się sztywno, miał delikatne, prawie kobiece rysy i zawsze, nawet w lecie, nosił szalik. Umiał błyskotliwie przeanalizować tekst, ale na co dzień wydawał się zagubiony, bez kontaktu z rzeczywistością. W 2002 roku popełnił samobójstwo. Od tej chwili minęło już piętnaście lat. Dla mnie Graff był kolejną ofiarą przekleństwa ciężącego na posłusznych. Nazwałem tak to krzywdzące prawo natury, wstrętny los niszczący wrażliwych, których jedyną winą jest uczciwa postawa wobec bliźniego. Nie wiem, kto powiedział, że ludzie dostają od losu tyle, ile są w stanie znieść, ale to nieprawda. Najczęściej los to perwersyjny skurwysyn, który niszczy najsłabszych, podczas gdy dranie żyją długo i szczęśliwie.

Śmierć profesora Graffa przytłoczyła mnie. Zanim rzucił się z tarasu swojego mieszkania, napisał do mnie poruszający list, który otrzymałem w Nowym Jorku tydzień po jego śmierci. Nigdy o tym z nikim nie rozmawiałem. Wyznał mi w liście, że nie może zaakceptować otaczającego go okrucieństwa, wspomniał, że cierpi z powodu samotności, i stwierdził, że zawiódł się na książkach, które do tej pory mu pomagały, ale teraz nie wystarczały nawet do utrzymania głowy nad powierzchnią wody. Powściągliwie zwierzył się z nieodwzajemnionej miłości, która złamała mu serce. W ostatnich zdaniach życzył mi szczęścia. Wiedział, że uda mi się tam, gdzie jemu się nie powiodło, czyli że znajdę w końcu pokrewną duszę, z którą wspólnie stawimy czoło przeciwnościom losu. Ale profesor Graff przeceniał mnie i coraz częściej myślałem, że być może skończę tak jak on.

Odpychając ponure myśli, dojechałem pod sosnowy las. Tym razem nie zatrzymałem się obok Dina, tylko od razu pod stróżówką. Siedział w niej chyba syn Pavła Fabianskiego – przynajmniej sądząc po wyglądzie – i oglądał na komórce

program Jerry'ego Seinfelda. Nie miałem przepustki, ale powiedziałem, że przyjeżdżam pomóc w organizacji wieczoru. Podniósł barierkę bez słów, a ja wjechałem na kampus i bez żenady zaparkowałem samochód na betonowej wysepce naprzeciw Agory.

Wszedłem do biblioteki, przeskakując przez bramkę. Na szczęście Zélie nie było. Do korkowej tablicy przypięto afisz zawiadamiający, że zajęcia kółka teatralnego, jej oczka w głowie, odbywają się w środy i w soboty po południu.

W recepcji na miejscu Zélie ujrzałem młodą kobietę w okularach. Siedziała po turecku na krześle, zaczytana w angielskim wydaniu książki *O pisaniu* Charlesa Bukowskiego. Delikatne rysy, granatowa bluzka z okrągłym kołnierzykiem, rajstopy w kropki, tweedowe szorty, dwukolorowe półbuty.

– Dzień dobry, pracuje pani z Eline Bookmans?

Młoda kobieta podniosła oczy znad książki i uśmiechnęła się.

Od razu przypadła mi do gustu. Spodobały mi się jej skromny koczek, kontrastujący z brylancikiem w nosie, arabski wytatuowane za uchem i ginące pod bluzką, a także kubek, z którego piła herbatę, z napisem *Reading is sexy*. Coś takiego mi się nie zdarzało. Nie była to miłość od pierwszego wejrzenia, ale czułem, że dziewczyna jest po mojej stronie, a nie po stronie przeciwnika, że nie należy do ogromnej grupy ludzi, z którymi nie mam nic wspólnego.

– Nazywam się Pauline Delatour – oznajmiła. – Jest pan nowym profesorem?

– No, niezupełnie... Jestem...

– Żartowałam, wiem, kim pan jest, Thomasie Degalais. Wszyscy widzieli pana dziś rano na placu Marronniers.

– Kiedyś spędziłem tu młodość – wyjaśniłem. – Pewnie nawet było to, zanim się pani urodziła.

– To już przesada. Jeśli chce pan mi powiedzieć komplement, musi się pan bardziej wysilić, mistrzu!

Pauline Delatour zatknęła nieposłuszny kosmyk za ucho, roześmiała się i wstała z krzesła. Wreszcie chyba wiedziałem –

spodobały mi się w niej cechy, które rzadko idą w parze. Była seksowna bez cienia pretensjonalności, promieniowała radością życia oraz miała klasę, dzięki czemu nic, co robiła, nie wydawało się prostackie.

– Pani nie jest stąd, prawda?

– Stąd?

– Z południa. Z Lazurowego Wybrzeża.

– Nie, jestem paryżanką. Przyjechałam pół roku temu objąć to stanowisko w bibliotece.

– Może mogłaby mi pani pomóc, Pauline. Za moich szkolnych czasów wychodziła taka gazetka, „Courrier Sud”.

– Wciąż istnieje!

– Czy mógłbym zajrzeć do jej archiwów?

– Zaraz je przyniosę. Który rok pana interesuje?

– Powiedzmy, rok szkolny dziewięćdziesiąt dwa, dziewięćdziesiąt trzy. Byłoby fantastycznie, gdyby mogła pani znaleźć również kronikę z tego roku.

– Szuka pan czegoś konkretnego?

– Szukam informacji na temat pewnej uczennicy, Vinki Rockwell.

– Ach, no tak! Słynna Vinca Rockwell... Trąbią tu o niej wszędzie!

– Czy ma pani na myśli książkę Stéphane’a Pianello, którą Zélie stara się wycofać z biblioteki?

– Nie, myślę o tych rozpieszczonych córeczkach, które codziennie mijam na kampusie i które uważają się za feministki, ponieważ przeczytały trzy pierwsze rozdziały *Opowieści podręcznej*.

– Heterodoktki...

– Chcą uczynić z tej dziewczyny symbol czegoś, z czym ona nie miała nic wspólnego.

Pauline Delatour zaczęła stukać w klawiaturę i po chwili zanotowała na karteczce sygnatury dokumentów, o które prosiłem.

– Niech pan idzie sobie usiąść. Przyniosę panu wszystko, jak tylko znajdę.

4

Usiadłem na swoim dawnym miejscu, w głębi sali, we wnęcie pod oknem wychodzącym na brukowane kwadratowe podwórko jak z innej epoki, z fontanną zarośniętą bluszczem. Krużganki z różowego kamienia zawsze kojarzyły mi się z klasztorem. Brakowało tylko chorału gregoriańskiego, by zacząć pracę nad zbawieniem duszy.

Położyłem na stole odnaleziony u rodziców turkusowy plecak i wyjąłem pióro i papier, jakbym zasiadał do szkolnego wypracowania. Czułem się świetnie. Pośród książek i w atmosferze skupienia od razu ogarnął mnie spokój. Strach odpłynął. Było to tak samo skuteczne jak xanax, ale dostępne jedynie na miejscu.

Część sali bibliotecznej, w której siedziałem, przepelniona zapachem wosku i płonących świec, nosiła dumną nazwę gabinetu literackiego i zachowała swój dawny urok. Poczuję się jak w świątyni. Na półkach kurzyły się stare wydania podręcznika Lagarde'a i Micharda. Z tyłu wisiała przestarzała już za moich czasów mapa Vidala-Lablache'a, przedstawiająca świat z lat pięćdziesiątych i kraje już nieistniejące: ZSRR, NRD, Jugosławię, Czechosłowację...

Opadły mnie wspomnienia. Tu odrabiałem lekcje, tu się uczyłem. Tu napisałem swoją pierwszą nowelkę. Przypomniały mi się pretensje ojca, że żyję w świecie bajki i literatury, że prawdziwe, brutalne życie nie ma z tym nic wspólnego, i zaraz pomyślałem o słowach matki, że nie miałem kumpli, bo moimi jedynymi przyjaciółmi były książki.

Nie będę zaprzeczał, zresztą szczyciłem się tym. Wiedziałem, że książki zawsze mnie ratowały, ale czy tak będzie cały czas? Pewnie nie. W tym kontekście list od Jeana-Christophe'a Graffa

brzmiał ostrzegawczo. W pewnej chwili książki go opuściły, a on rzucił się w przepaść. Jeśli chcę rozwiązać sprawę Vinki Rockwell, powinienem może zrezygnować z zacisza biblioteki i zanurkować w ponury i brutalny świat, o którym mówił ojciec?

Wojna! Idź na wojnę! – usłyszałem wewnętrzny głos.

– Oto pańska prasa i kronika szkolna!

Dźwięczny głos Pauline Delatour ściągnął mnie na ziemię.

– Czy mogę o coś zapytać? – doleciało do moich uszu, gdy kładła przede mną egzemplarze „Courrier Sud”.

– Widzę, że nie należy pani do osób, które czekają na pozwolenie.

– Dlaczego nic pan nie napisał o sprawie Vinki Rockwell?

Obojętnie, co robiłem i jak się zachowywałem, zawsze kończyło się na książkach.

– Jestem pisarzem, nie dziennikarzem.

– Wie pan, o co mi chodzi! – Pauline nie odpuszczała. – Dlaczego nigdy nie opisał pan tej historii?

– Bo historia Vinki jest smutna, a ja nie znoszę smutnych historii.

Oczywiście to nie wystarczyło, żeby ją zniechęcić.

– Ale przecież na tym właśnie polega uprzywilejowana pozycja pisarza, że może opisać świat realny za pomocą fikcji. Nie tylko żeby naprawić rzeczywistość, ale też żeby z nią walczyć na jej terenie. Zbadać ją, żeby móc skuteczniej jej zaprzeczyć. Poznać ją, żeby świadomie przeciwstawić jej świat zastępczy.

– To tyrada pani własnej produkcji?

– Nie, to pańskie słowa. Słyszę to w co drugim pańskim wywiadzie. Ale łatwo mówić, trudniej zrobić, prawda?

I odeszła, zadowolona z wrażenia, jakie na mnie zrobiła.

Dziewczyny o ognistych włosach

*Miała rude włosy i nosiła szarą
sukienkę bez rękawów. [...]
Grenouille pochylił się nad nią
i wdychał teraz jej zapach bez
przymieszek, w takiej postaci,
w jakiej szedł od jej karku,
włosów, z wycięcia sukni [...].
Nigdy jeszcze nie czuł takiej
błogości.*

Patrick Süskind

1

Przedemną leżał stos egzemplarzy „Courrier Sud”. Z miejsca rzuciłem się na numer ze stycznia 1993, gdzie opisano szkolny bal na koniec zeszłego roku. Myślałem, że znajdę dużo zdjęć, ale skończyło się na kilku banalnych fotkach, ilustrujących atmosferę panującą tamtego wieczoru, i na żadnej z nich nie udało mi się zidentyfikować poszukiwanego mężczyzny.

Zawiedziony, kartkowałem pozostałe numery, żeby przypomnieć sobie nastrój tamtych lat. „Courrier Sud” okazał się kopalnią informacji – ze szczegółami przedstawiano w nim działalność szkoły. Przerzucałem strony na chybił trafił, wypatrując wydarzeń, które wyznaczały rytm tygodnia. Zapoznałem się w ten sposób z wynikami sportowymi mistrzów

kampusu, przeczytałem reportaż z wycieczki piętnastolatków do San Francisco, przejrzałem program klubu filmowego (Hitchcock, Cassavetes, Pollack), poznałem kulisy pracy w szkolnym radiu oraz przestudiowałem wiersze i teksty uczestników zajęć z kreatywnego pisania. Wiosną 1992 roku Jean-Christophe Graff zamieścił tu moją nowelkę. We wrześniu kółko teatralne ogłosiło repertuar na nadchodzący rok. Znajdowała się w nim zapowiedź wolnej adaptacji fragmentów *Pachnidła* Patricka Süskinda, przygotowywanej przez moją matkę, która wówczas zajmowała się tym kółkiem. Vinca grała „dziewczynę z ulicy Marais”, Fanny zaś – Laurę Richis. Dwie jasnookie, rude dziewczyny – czyste, kuszące. O ile pamiętałem treść powieści, obie zostały zamordowane przez Jeana-Baptiste’a Grenouille’a. Nie przypominałem sobie zupełnie, że bym widział ten spektakl ani jaka była reakcja publiczności. Otworzyłem książkę Pianello, żeby zobaczyć, czy o tym wspomniał.

Nie, nie wspomniał. Ale w materiale zdjęciowym znalazłem kopie listów Alexisa Clémenta do Vinki. Czytając je po raz setny, roztrzęsiony i zirytowany jak u Dalanegry, znów odniosłem wrażenie, że prawda jest tuż-tuż, lecz mi się wymyka. Coś musiało łączyć treść listów z osobowością Clémenta, ale mózg przestał mi działać i nie byłem w stanie dociec, co to mogło być. Psychiczna blokada, jakbym się bał, że wróci do mnie jakiś zapomniany wstrząs. Problemem byłem ja, moje poczucie winy, przekonanie, że jestem odpowiedzialny za dramat, którego mógłbym uniknąć, gdybym się nie zmienił i pozostał chłopakiem innym niż wszyscy. W tamtych jednak czasach, zaślepiony własnym cierpieniem i destruktywną namiętnością, nie widziałem kłopotów Vinki.

Intuicja kazała mi chwycić za komórkę i zadzwonić do ojca.

– Tato, możesz mi oddać przysługę?

– Słucham cię – rzucił ojciec.

– Na kuchennym stole zostawiłem swoje rzeczy.

– Tak, burdel nie do opisanania! – potwierdził.

– Między papierami są stare wypracowania z filozofii...
Widzisz je?

– Nie.

– Tato, skup się! Albo zawołaj mamę.

– Jeszcze nie wróciła. Dobrze, zaczekaj, muszę włożyć okulary.

Poprosiłem, żeby sfotografował komórką uwagi, które Alexis Clément naniósł na moje wypociny, i wysłał mi je ememesem. Powinno to zabrać dwie minuty, a trwało dobry kwadrans, przy czym dodatkowo miałem przyjemność wysłuchać legendarnie uprzejmych refleksji ojca. Tak się wściekł, że na koniec rozmowy zrobił mi awanturę.

– Masz już czterdzieści lat i nie znalazłeś nic lepszego do roboty niż wracanie do okresu liceum? Przez całe życie zawracasz nam dupę rozgrzebywaniem przeszłości! – wrzeszczał.

– Dziękuję, tato, niedługo wracam.

Wyświetliłem notatki Clémenta na ekranie. Jak niektórzy zarozumiali twórcy, Clément lubił patrzeć na siebie, gdy pisał. Nie interesowała mnie jednak treść jego adnotacji, tylko charakter pisma. Powiększyłem litery i zacząłem przyglądać się grubym i cienkim liniom. Było to pismo leniwe. Nie nieczytelne kropki, ale raczej pismo z recepty, z którego trzeba było domyślać się sensu danego słowa czy sformułowania lekarza.

W miarę jak przeglądałem fotografie od ojca, moje serce biło coraz szybciej. Porównałem notatki z listami Clémenta do Vinki i z dedykacją na tomiku poezji Cwietajewej. Wkrótce byłem pewien, że adnotacji na moich pracach nie robiła osoba, która pisała listy do Vinki i podarowała jej wiersze.

2

Serce waliło mi jak młot. To nie Alexis Clément był kochankiem Vinki, tylko jakiś inny Alexis. Niewyraźna sylwetka na zdjęciu należała do nieznanego, z którym uciekła tamtego

niedzielnego poranka. „To wszystko Alexis... Nie chciałam z nim iść do łóżka!” Miała rację, ale mylnie to rozumiałem, tak zresztą jak wszyscy przez dwadzieścia pięć ostatnich lat. Z powodu skadrowanego zdjęcia i szkolnej plotki przypisano Vince romans z mężczyzną, który nigdy nie był jej kochankiem.

Szumiało mi w uszach. Ledwo mogłem ogarnąć skutki tej pomyłki. Najstraszniejsze było to, że zabiliśmy z Maxime'em niewinnego człowieka. Znów usłyszałem krzyki Clémenta, gdy waliłem go żelaznym prętem po torsie i kolanach. Scena wróciła do mnie ze wszystkimi szczegółami. Otępiały wyraz jego twarzy, kiedy wymierzałem mu ciosy. „Zgwałciłeś ją, chuju jeden!” Był zdumiony – nic nie rozumiał! Nie bronił się, bo nie wiedział, dlaczego się na niego rzuciłem. Gdy zdałem sobie z tego sprawę, wewnętrzny głos kazał mi odrzucić żelazny pręt. Ale w tym momencie na scenę wszedł Maxime.

Łzy stanęły mi w oczach. Zakryłem twarz rękami. Alexis Clément zginął przeze mnie i żebym nie wiem, co zrobił, nie zmartwychwstanie. Z dziesięć minut siedziałem jak skamieniały, zanim zacząłem myśleć normalnie. Dlaczego tak się pomyliłem? Vinca miała kochanka, to jasne, który miał na imię Alexis. Ale nie był nim Alexis Clément, nasz profesor filozofii! Nieprawdopodobne, zbyt grubymi nićmi szyte, lecz jedyne możliwe wyjaśnienie.

A więc kto nim był? W pewnej chwili przypomniałem sobie jednego z uczniów, Alexisa Stephanopoulośa czy coś w tym rodzaju. Karykatura bogatego Greka: syn armatora, podczas wakacji zapraszał kolegów i koleżanki na rejs jachtem po Cykladach. Oczywiście nigdy nie skorzystałem z tego zaproszenia.

Znowu wziąłem do ręki kronikę roku 1992/1993, którą przyniosła Pauline. Był to album zrobiony na modłę amerykańską, ze zdjęciami wszystkich uczniów i profesorów. Zacząłem go kartkować gorączkowo. Nazwiska spisano według alfabetu, więc Greka znalazłem na samym początku. Alexis Antonopoulos, urodzony dwudziestego szóstego kwietnia 1974

roku w Salonikach. Wyglądał na zdjęciu tak samo jak w moich wspomnieniach: półdługie, kręcone włosy, biała koszula, granatowy sweter z godłem szkoły. To ujęcie odblokowało mi pamięć.

Alexis Antonopoulos jako jeden z nielicznych chłopców ubiegał się o przyjęcie na studia humanistyczne. Wyportowany – mistrz wioślarstwa czy szermierki, już nie pamiętam – wielbiciel kultury greckiej, nie grzeszył intelektem, ale potrafił recytować długie fragmenty wierszy Safony czy sielanek Teokryta. Choć sprawiał wrażenie wykształconego, był chłopakiem prostym, gamoniowatym latino loverem... Trudno uwierzyć, że Vinca wpadła przez takiego tumana. Z drugiej strony, czy miałem prawo to oceniać?

Załóżmy, że z niewyjaśnionych powodów Antonopoulos miał pretensje do mnie i do Maxime'a... Sięgnąłem do plecaka po iPada, ale przypomniałem sobie, że zostałem w wynajętym samochodzie, który pożyczyła mama. No cóż, telefon musi wystarczyć. Szybko znalazłem informacje o Alexisie Antonopoulosie na stronie tygodnika „Point de Vue”, w ilustrowanym reportażu z czerwca 2015 roku, poświęconym uroczystościom ślubnym szwedzkiego księcia Karola Filipa. Antonopoulos w towarzystwie swojej trzeciej żony należał do nielicznych szczęśliwców zaproszonych na tę ceremonię. Kliknięcie po kliknięciu zorientowałem się, co to był za typ – trochę biznesmen, trochę filantrop, tak czy inaczej: elita finansowa, kursował między Cykladami a Kalifornią. Z portalu „Vanity Fair” wynikało, że prawie co roku brał udział w słynnej gali amfAR. Celem tej tradycyjnej imprezy organizowanej podczas festiwalu w Cannes w pięknym hotelu Eden-Roc było zebranie funduszy na badania nad AIDS. Tak więc Antonopoulos często wracał na Lazurowe Wybrzeże. Nie znalazłem jednak niczego, co łączyłoby go w jakikolwiek sposób z nami.

A więc pudło.

Postanowiłem podejść do sprawy z innej strony.

Co było źródłem wszystkich naszych zmartwień? Groźba wyburzenia starej hali sportowej. Wiązało się to z gigantyczną przebudową całego terenu liceum, w ramach której miał powstać nowy budynek ze szklanych płyt oraz ultranowoczesny ośrodek sportowy z basenem olimpijskim i ogrodem krajobrazowym.

Ten ogromny projekt przypominał legendarnego węża morskiego – zaczęto o nim mówić już dwadzieścia pięć lat temu, ale były trudności z zebraniem koniecznych środków. Szkoła, o ile się orientowałem, powstała jako instytucja prywatna, lecz jej model finansowania kilkakrotnie się zmieniał w ciągu minionych kilkudziesięciu lat. W pewnym okresie podpięła się pod dotacje z regionu i Ministerstwa Edukacji, ostatnio jednak zawiąło w szkole wiatr buntu i personel administracyjno-dydaktyczny zapragnął uwolnić się od biurokracji. Wybór François Hollande'a na prezydenta przyspieszył ten proces. Wskutek konfliktu z władzami liceum odzyskało niezależność, ale utraciło możliwość korzystania z państwowych pieniędzy. Czesne poszło w górę, lecz była to kropla w morzu wobec kosztów planowanej inwestycji. Aby rozpocząć ten wielki projekt, szkoła musiała otrzymać ogromną prywatną darowiznę. Przypomniałem sobie, że podczas porannej uroczystości, kładąc kamień węgielny pod nową budowę, dyrektorka podziękowała hojnym darczyńcom, dzięki którym mogło ruszyć „najambitniejsze przedsięwzięcie w życiu naszej szkoły”. Przewornie nie wymieniła nazwisk. Chyba warto pójść tym tropem.

W internecie nie znalazłem nic, a przynajmniej nic dostępnego. Nie było możliwości dowiedzieć się, kto finansował tę inwestycję. Jeśli chciałem kontynuować to śledztwo, musiałem zaprosić do współpracy Stéphane'a Pianello. Wysłałem więc do niego esemesa z krótkim streszczeniem tego, co odkryłem. Aby zaostrzyć mu apetyt, dodałem próbki pisma Clémenta i tajemniczego faceta.

Oddzwonił w jednej sekundzie. Odebrałem z pewnym lękiem – rozgarnięty i bystry Pianelli był doskonałym partnerem do pracy, ale ja znalazłem się w trudnej sytuacji. Musiałem podzielić

się z nim informacjami, nie chciałem jednak, żeby któregoś dnia wszystko obróciło się przeciwko mnie, Maxime'owi czy Fanny.

3

– Kurwa, to dopiero! – wykrzyknął Pianelli z lekkim marsylskim akcentem. – Jak mogliśmy tego nie zauważyć?!

Najwyraźniej starał się przekrzyczeć hałas na trybunach w Monako.

– Zeznania świadków i plotki... Twój kumpel Angevin miał rację, od samego początku wszyscy dali się omamić.

Wspomniałem o zdjęciu wykadrowanym przez Dalanegrę i o plecach nieznanego faceta na pierwszym planie.

– Zaraz, zaraz... Chcesz powiedzieć, że on również nazywał się Alexis?

– No właśnie!

W telefonie zapadła cisza. Prawie słyszałem pracę szarych komórek Pianellego. W niecałą minutę wpadł na ślad Greka.

– Faktycznie, był w naszej budzie jeszcze jeden Alexis – oznajmił. – Wszyscy się z niego wyśmiewali. Pamiętasz? Nazywaliśmy go Rastapopoulos.

– Alexis Antonopoulos.

– Właśnie!

– Myślałem już o nim, ale to niemożliwe! – powiedziałem.

– Dlaczego?

– To był kompletny frajer. Vinca nie spotykałaby się z takim kretynem.

– Słaby argument! Bogaty, przystojny chłopak... Gdyby wszystkie osiemnastolatki wybierały tylko inteligentnych facetów, wiedzielibyśmy o tym! Zapomniałeś już, jak źeśmy się nacierpieli?

Zmieniłem temat.

– Czy wiesz coś o źródłach finansowania tego gigantycznego projektu przebudowy szkoły?

Szum w tle nagle ucichł, jakby Pianelli wszedł do kabiny dźwiękoszczelnej.

– Od paru lat Saint-Ex funkcjonuje na modłę amerykańską: bardzo wysokie chesne, dary kilku bogatych rodziców, którzy marzą o tabliczce ze swoim nazwiskiem na budynkach szkolnych, i minimum stypendiów dla młodzieży w niekorzystnej sytuacji materialnej i uczniów wyjątkowo zdolnych. Tyle tylko, żeby mieć czyste sumienie.

– Ale ta inwestycja liczy się w milionach. Jak dyrekcja zebrała taką sumę?

– No, część chyba pożyczyci... Kredyty są teraz bardzo tanie.

– Takiej kwoty nie da się pożyczyć, Stéphane! Czy nie mógłbyś się tym zainteresować?

Pianelli zwietrzył podstęp i wycofał się.

– To nie ma związku ze zniknięciem Vinki!

– Zrób to! Chciałbym sprawdzić pewną rzecz.

– Jeśli mi nie powiesz, czego szukasz, będę działał na oślep!

– Chcę się dowiedzieć, czy te fundusze nie pochodzą przypadkiem od jakiejś prywatnej osoby czy firmy.

– Dobra, dam to stażycie.

– Żadnemu stażycie! To poważna sprawa. Musi się tym zająć ktoś doświadczony.

– Zaufaj mi, chłopak, o którym myślę, nie odpuści, jak złapie trop! I poza tym nie darzy sympatią uprzywilejowanej grupy chcącej przywłaszczyć sobie Saint-Ex!

– Musi być podobny do ciebie.

Pianelli się zaśmiał.

– Kogo się spodziewasz w roli inwestora? – spytał.

– Nie wiem, Stéphane, naprawdę nie wiem. A jeśli już na to zeszło, co myślisz o śmierci Francisa Biancardiniego?

– Myślę, że bardzo dobrze się stało. O jednego skurwysyna mniej.

Wcale mnie to nie rozśmieszyło.

– Mówię poważnie!

– Przecież mamy badać sprawę Vinki. W co ty się bawisz, przyjacielu?

– Podzielę się z tobą wszystkimi informacjami! Czy według ciebie teoria o niefortunnym napadzie rabunkowym trzyma się kupy?

– No, nie od kiedy znaleziono te zegarki!

Rzeczywiście Pianelli był dobrze poinformowany. Pewnie dowiedział się o zegarkach od komisarza Debruyne'a.

– A więc kto go zabił?

– Moim zdaniem to jakieś porachunki. Biancardini symbolizował zło panoszące się na Lazurowym Wybrzeżu: był spekulantem, bawił się w korupcję polityczną, no i współdziałał z mafią.

Pianelli mówił o ojcu Maxime'a! Musiałem stanąć w jego obronie.

– Oszalałeś! – zaprotestowałem. – Biancardini nie miał nic wspólnego z mafią kalabryjską! To wszystko wymyśli! Nawet prokuratorowi Debruyne'owi powinna się w tej sprawie noga!

– Właśnie, właśnie, znałem dobrze Yvana Debruyne'a i miałem dostęp do niektórych dokumentów.

– Ach, no proszę! Sędziowie śledczy informują prasę. Niech żyje tajemnica dochodzenia!

– Dobra, to inny temat! – przerwał mi. – Powiem ci jedno: ojciec Maxime'a siedział w tym po uszy. Wiesz, jak nazywali go faceci z 'Ndranghety, tej mafii kalabryjskiej? Whirlpool! To on organizował pranie brudnych pieniędzy.

– Gdyby Debruyne miał solidne dowody, Biancardini dawno by siedział.

– Niestety, to nie takie proste... – Pianelli westchnął. – Ale jednak widziałem na własne oczy wyciągi z banku

dokumentujące podejrzane transfery forsy do Stanów. Kalabryjczycy od lat marzą o Ameryce!

Postanowiłem skierować rozmowę na inne tory.

– Maxime mówił, że od kiedy zajął się polityką, zacząłeś się go czepiać. Dlaczego nękasz go przeszłością ojca? Wiesz dobrze, że to przyzwoity facet i że nie odpowiada się za czyny rodziców.

– Kochany, to byłoby za proste! – odrzekł Pianelli. – Myślisz, że skąd Maxime miał kasę na tę swoją ekologiczną firmę? I ten inkubator start-upów? A kampania wyborcza? Wszystko to brudna forsa, którą jego stary, ta świnią, zarobił w latach osiemdziesiątych. Owoc już w zarodku robaczywy, przyjacielu!

– Więc według ciebie Maxime powinien trzymać się z daleka od życia publicznego?

– Nie udawaj, że nie rozumiesz, pisarzu!

– Właśnie tego nigdy nie lubiłem u facetów takich jak ty, Stéphane! Zaciekłości, pouczenia, oskarżania. Jesteś jak Robespierre i Komitet Ocalenia Publicznego.

– A ja nie znoszę u typów takich jak ty, Thomas, umiejętności zapominania o tym, co niewygodne! I tego, że zawsze uważają się za niewinnych!

Pianelli porządnie się zirytował. Nasze koncepcje świata były, moim zdaniem, nie do pogodzenia. Mogłem posłać go do diabła, ale potrzebowałem jego pomocy.

– O tym pogadamy innym razem! – wycofałem się.

– Nie pojmuję, dlaczego bronisz ojca Maxime’a!

– Bo znałem go znacznie lepiej niż ty! A na razie, jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś więcej o jego śmierci, służę pewną informacją.

– Łatwo zmieniasz temat!

– Znasz taką dziennikarkę z „L’Obs”, Angélique Guibal?

– Nie.

– Najwyraźniej miała dostęp do akt policyjnych. Według niej ojciec Maxime’a doczołgał się w kałużę krwi do okna i starał się napisać na szybie nazwisko mordercy.

– Ach, pamiętam! Te bzdury z paryskich gazet!

– Co za szczęście, że w erze fake newsów „Nice-Matin” ratuje honor profesji!

– Żartujesz sobie, ale właściwie tak.

– Może zadzwoń do tej Guibal i wyciągnij z niej coś jeszcze.

– Myślisz, że dziennikarze dzielą się informacjami? Ty masz przyjaciół pisarzy?

Pianelli czasem naprawdę wyprowadzał mnie z równowagi. Nie wiedziałem, jak go przekonać, i spróbowałem prymitywnego zagrania.

– Słuchaj, Stéphane, jeśli rzeczywiście uważasz się za lepszego od paryskich dziennikarzy, udowodnij to! Zdobądź raport ze śledztwa!

– Nie złapiesz mnie na to!

– Tak myślałem. Tylko gadać umiesz. Nie podejrzewałem, że marsylski Olympique boi się PSG. Z kibicami takimi jak ty daleko nie zajedziemy.

– Co ty opowiadasz, to nie ma nic wspólnego! – Po chwili ciszy Pianelli połknął moją smakowitą przynętę. – To jasne, że jesteśmy lepsi od paryżan! – wykrzyknął zirytowany. – Przyniosę ci ten cholerny raport. Nie mamy wielkich pieniędzy, ale za to jesteśmy sprytniejsi!

W dalszym ciągu tej głupiej dyskusji oczywiście pojawiły się postacie Bernarda Tapiego i Raymonda Goethalsa, na szczęście jednak sport pojednał nas jak zawsze: w 1993 roku Olympique Marsylia zdobył dla swoich kibiców jedyny prawdziwy Puchar Europy – ten, którego nikt nam nigdy nie odbierze.

5

Wstałem od stołu, żeby przynieść sobie kawę z automatu w głębi sali. Przez niewielkie drzwi mogłem wyjść na podwórko i przewietrzyć się. Nogi same zanosły mnie do zabytkowej części szkoły, zbudowanej z cegły i utrzymanej w stylu gotyckim.

Na skutek jakiejś wyjątkowej decyzji kółko teatralne mieściło się od zawsze w tym najbardziej prestiżowym skrzydle liceum. Podszedłem do bocznego wejścia. Kilkoro uczniów hałaśliwie zbiegło po schodach. Była szósta wieczorem, zachodziło słońce, zajęcia dobiegały końca. Wszedłem do małego amfiteatru, w którym unosił się duszący zapach cedru i drewna sandałowego. Wokół pustej sceny wisiały w ramach od dwudziestu pięciu lat te same czarno-białe zdjęcia: Madeleine Renaud, Jeana-Louisa Barraulta, Marii Casarès... oraz afisze ze spektakli: *Sen nocy letniej*, *Zamiana*, *Sześć postaci w poszukiwaniu autora*... Kółko teatralne Saint-Ex było elitarne i nie czułem się pośród jego członków swobodnie. Raczej nie wystawiliby *Klatki wariatek* czy *Kwiatu kaktusa*. Statut ograniczał liczbę członków do dwudziestu osób. Nie chciałem się tam zapisać, nawet gdy kółkiem kierowała, obok Zélie, moja matka. Trzeba przyznać, że mama robiła wszystko, by zwiększyć liczbę uczestników zajęć i wprowadzić bardziej współczesny, mniej zramolały repertuar. Jednak, jak mówi porzekadło, przyzwyczajenie jest drugą naturą i nikt nie spieszył się, żeby ten bastion dobrego smaku i wzajemnej adoracji zamienił się w lokalną odmianę programu *Mam talent*.

Nagle gdzieś z tyłu otworzyły się drzwi i na scenę weszła Zélie. Powiedzenie, że nie spojrzała na mnie przyjacielsko, byłoby eufemizmem.

– Po co tu przyłazisz, Thomas?

Wskoczyłem na scenę.

– Cieszę się, że tak miło mnie witasz! – odrzekłem, stając obok niej.

Popatrzyła mi twardo w oczy.

– Już nie jesteś tu u siebie, te czasy dawno minęły!

– Nigdy nie czułem się tu u siebie, więc...

– Uważaj, bo się rozpłaczę!

Nie wiedziałem, czego właściwie szukam, więc pierwszą przynętę zarzuciłem po omacku.

– Czy nadal jesteś w zarządzie szkoły?

– Co cię to obchodzi? – spytała, wkładając swoje rzeczy do skórzanej teczki.

– Jeśli tak, to na pewno wiesz, kto płaci za tę przebudowę! Myślę, że projekt musiał być poddany głosowaniu.

Po raz pierwszy Zélie spojrzała na mnie z zainteresowaniem.

– Część jest finansowana przez kredyt bankowy i została przegłosowana na naszym zebraniu.

– A reszta?

Wzruszyła ramionami i zamknęła teczkę.

– Reszta będzie głosowana w swoim czasie, ale rzeczywiście nie mam pojęcia, gdzie dyrekcja znajdzie te pieniądze.

Punkt dla mnie.

– Pamiętasz Jeana-Christophe’a Graffa?

– Jasne! To był bardzo dobry nauczyciel, wrażliwy, porządny człowiek.

A więc zdarza się jej mówić do rzeczy, pomyślałem.

– Wiesz może, dlaczego popełnił samobójstwo?

Tym razem usadziła mnie.

– Wciąż wierzysz naiwnie w racjonalne wyjaśnienie powodów samobójstwa?

– Zanim to się stało, wysłał do mnie list. Napisał między innymi, że kochał kobietę, która nie odwzajemniała jego uczucia.

– Kochać bez wzajemności to los wielu ludzi.

– Pytam cię poważnie.

– Jestem bardzo poważna.

– Wiedziałaś o tym?

– Tak, mówił mi.

Z niewiadomego powodu Graff, mój mentor, osoba najsubtelniejsza, najporządniejsza, jaką kiedykolwiek spotkałem, cenił sobie Zélie Bookmans.

– Wiesz, kim była jego wybranka?

– Wiem.

– Kim?

– Daj mi święty spokój!

– Już drugi raz dziś ktoś mnie spławia.

– Moim zdaniem nie ostatni.
– Kim była ta kobieta?
– Jeśli Jean-Christophe ci nie powiedział, to ja tym bardziej ci nie powiem. – Zélie westchnęła.
– Nie powiedział mi przez delikatność.
– No więc uszanuj to.
– Podam ci trzy nazwiska, a ty kiwniesz głową, jeśli trafię.
– Nie będziemy się w to bawić. Uszanuj pamięć zmarłych.
Znałem Zélie wystarczająco i wiedziałem, że nie wytrzyma. Choć przez chwilę chciała czuć, że ma mnie w ręku.
I rzeczywiście. Wkładając sztruksowy żakiet, spytała:
– Jaka byłaby twoja pierwsza propozycja?
Tu się nie wahałem.
– To nie była chyba moja matka?
– Ależ skąd! Co ci w ogóle przyszło do głowy? – zapytała, schodząc ze sceny.
– Czy to byłaś ty?
Roześmiała się.
– Bardzo bym chciała, ale nie.
Poszła w kierunku wyjścia.
– Zatrzaśniesz za sobą drzwi, wychodząc? – spytała już z daleka.
Na jej twarzy pojawił się zły uśmiech. Został mi jeszcze jeden strzał.
– Vinca?
– Pudło! Trzymaj się, Thomas! – krzyknęła i wyszła.

6

Stałem na scenie naprzeciw widowni wypełnionej duchami. Obok czarnej tablicy były drzwi, w tej chwili otwarte. Pomieszczenie, do którego prowadziły, czasem nazywane zakrystią, pamiętałem jak przez mgłę. Wszedłem do środka. Nic się nie zmieniło. W niskim, sporym pokoju, który podczas prób

służył za kulisy, składowano kostiumy i materiały oraz przechowywano archiwum kółka teatralnego.

W głębi rzeczywiście zobaczyłem metalowe półki z kartonowymi pudełkami, ułożonymi według lat. Wyszukałem rok 1992/1993 i znalazłem ulotki reklamowe, afisze oraz gruby zeszyt w plastikowej oprawie imitującej skórę, w którym notowano liczbę sprzedanych biletów, zamówienia oraz koszty utrzymania amfiteatru i zarządzania.

Wszystko było metodycznie zapisywane nie drobnym i ścisłym pismem mojej mamy, lecz okrągłym, luźnym pismem Zélie Bookmans. Wziąłem zeszyt do ręki i podszedłem do jedyne go okna, żeby sprawdzić zapisy dotyczące rekwizytów. Za pierwszą lekturą nic mnie nie uderzyło, ale kiedy przeglądałem notatki drugi raz, zauważyłem, że pod datą wiosennego inwentarza, 27 marca 1993 roku, Zélie wpisała: „Brakuje jednej rudej peruki”.

Zainteresowałem się tym jakby na przekór sobie. Byłem świadom, że to informacja bez znaczenia – rekwizyty niszczyły się szybko, z pewnością nikt się nie dziwił, gdy co jakiś czas brakowało kostiumu czy dodatku do niego. Ale mimo wszystko... Wydawało mi się, że to mały krok w kierunku wykrycia prawdy, tyle że tej gorzkiej, ponurej, od której wolałbym uciec.

Zamknąłem drzwi „zakrystii”, opuściłem amfiteatr i wróciłem do biblioteki. Pozbierałem swoje rzeczy, wsadziłem je z powrotem do plecaka i poszedłem do recepcji.

Sarnie spojrzenie, zbyt głośny śmiech, włosy ostentacyjnie odrzucane do tyłu... Dziesięć metrów przede mną Pauline Delatour odstawiała swój popisowy numer przed dwoma uczniami pomaturalnych klas przygotowawczych. Jak można było wnioskować na podstawie ich sportowych strojów, rozmowy i tego, że byli złani potem, wysocy, atletycznie zbudowani blondyni właśnie skończyli zażartą partię tenisa.

– Dzięki! – powiedziałem, zwracając jej egzemplarze „Courrier Sud”.

– Miło mi było panu pomóc, Thomas.

- Czy mogę jeszcze zatrzymać kronikę?
- Zgoda, dam sobie radę z Zélie, ale proszę nie zapomnieć o zwrocie.
- I jeszcze jedno: brakowało numeru z października dziewięćdziesiątego drugiego.
- Zauważyłam. Zaglądałam za półki, ale nie znalazłam go.
- Dwóch tenisistów patrzyło na mnie ponuro. Chcieli, żebym jak najprędzej znikł i zwrócił im uroczą Pauline.
- Trudno! – odparłem.
- Odwróciłem się, żeby odejść. Pauline złapała mnie za rękaw.
- Proszę zaczekać! Przypomniałam sobie, że w dwa tysiące dwunastym zeskanowano wszystkie archiwalne numery „Courier Sud”.
- Może pani odnaleźć ten numer?
- Pociągnęła mnie za sobą do biura. Zawiedzeni tenisiści zrezygnowali i odeszli.
- Nawet to panu wydrukuję.
- Wspaniale! Dzięki.
- Drukowanie trwało niecałą minutę. Pauline starannie spięła strony zszywaczem i wręczyła mi je. Sięgnąłem po nie, ale cofnęła dłoń.
- To zasługuje na kolację! – powiedziała.
- Odkryłem słabość Pauline Delatour. Niepohamowana chęć uwodzenia, świadcząca o wewnętrznej niepewności. Musiało to ją kosztować mnóstwo energii.
- Chyba nie potrzebuje mnie pani, żeby wyjść do restauracji... – odpowiedziałem.
- To numer mojej komórki.
- Nie, nie, dziękuję, poproszę tylko o wydruk gazety, który była pani uprzejma mi przygotować.
- Uśmiech nie schodził z jej twarzy, gdy zapisywała numer swojej komórki na kserokopii.
- Po co mi pani numer, Pauline?
- Ja się panu podobam, a pan mnie, to dobry początek.
- To tak nie działa.

– Od wieków to działa właśnie tak.

Postanowiłem nie wrzucać kolejnej monety do automatu. Wyciągnąłem rękę do Pauline, która skapitulowała i bez słowa podała mi dokument. Odetchnąłem z ulgą i ruszyłem do wyjścia.

– Spadaj, baranie! – usłyszałem za plecami.

Jak widać, miałem dziś udany dzień.

Do wydruku zajrzałem dopiero w samochodzie. Najbardziej interesowała mnie strona dotycząca wystawienia sztuki *Pachnidło*. Według uczniów spektakl był wstrząsający, przede wszystkim dzięki sugestywnej, magicznej grze dwóch głównych aktorek. Najdłużej przyglądałem się fotografiom. Na większej Vinca i Fanny stały naprzeciw siebie. Dwie dziewczyny o ognistorudych włosach. Prawie bliźniaczki. Pomyślałem o *Zawrocie głowy* Hitchcocka i o dwóch twarzach tej samej kobiety – Madeleine Elster i Judy Barton.

Na scenie Vinca była sobą, ale Fanny przeszła kompletną metamorfozę. Przypomniałem sobie naszą dzisiejszą rozmowę i pewien szczegół utwierdził mnie w przekonaniu, że coś przede mną ukrywała.

ŚMIERĆ I DZIEWCZYNA

13

Plac Catastrophe

*Są momenty, kiedy prawda nie
jest ani piękna, ani dobra.*

Anthony Burgess

1

19.00

Z liceum pojechałem znów do szpitala Fontonne. Tym razem ominąłem recepcję i udałem się od razu na oddział kardiologiczny. Wychodząc z windy, wpadłem na pielęgniarkę w różowych spodniach i bluzie.

– Och, jest pan z pewnością synem Annabelle Degalais! – usłyszałem.

Pielęgniarka miała skórę czarną jak heban, promienny uśmiech i plecione włosy, w których mieniły się jasne pasma. Była błyskiem światła w ponurej atmosferze szpitala. Przypominała Lauryn Hill z okresu *Killing Me Softly*.

– Na imię mam Sophia – powiedziała. – Znam dobrze pana mamę! Opowiada o panu podczas każdej swojej wizyty!

– Chyba myli mnie pani z moim bratem, Jérôme'em, który pracuje dla Lekarzy bez Granic.

Byłem przyzwyczajony, że matka wychwalała pod niebiosa swojego starszego syna, i oczywiście Jérôme zasługiwał na to. Jak

można porównywać się z kimś, kto codziennie ratuje życie setkom ludzi w krajach zniszczonych wojną lub klęską żywiołową!

– Nie, nie, ona naprawdę opowiada o panu, o pisarzu. Mam nawet pańską dedykację w jednej z powieści, dostałam ją za pośrednictwem pana mamy.

– Nie wierzę.

– Mam tę książkę w pokoju pracowniczym – nie ustępowała Sophia. – To tu, niedaleko!

Wzbudziła moją ciekawość, więc poszedłem za nią. Znaleźliśmy się w długim, wąskim pomieszczeniu i Sophia wręczyła mi egzemplarz mojej ostatniej powieści *Kilka dni z tobą*. Ujrzałem dość długą dedykację, która brzmiała: „Dla Sophii, z nadzieją, że lektura sprawi pani przyjemność oraz pobudzi do refleksji. Serdeczności, Thomas Degalais”. Z tym że to nie było moje pismo, tylko pismo matki! Oczami wyobraźni zobaczyłem ją w trakcie podrabiania mojego podpisu, żeby zaspokoić żądania czytelników. Absurd! – pomyślałem.

– I dużo tych książek zadedykowałem?

– Około dziesięciu. W szpitalu ma pan sporo wielbicieli.

Byłem zaintrygowany. Coś musiałem przegapić.

– Moja mama od dawna się tu leczy?

– Od Bożego Narodzenia. Pierwszy raz zjawiała się tu w Wigilię, miałam właśnie dyżur. Dostała ataku w środku nocy.

Zanotowałem ten szczegół w pamięci.

– Właściwie wpadłem zobaczyć się z Fanny Brahimii.

– Pani doktor wyszła – poinformowała mnie Sophia. – Chciał pan porozmawiać z nią o mamie?

– Absolutnie nie, Fanny jest moją koleżanką ze szkoły, chodziliśmy razem do podstawówki.

– Tak, pamiętam, pani doktor coś mi o tym wspomniała, kiedy oddawała pana mamę pod moją opiekę. Szkoda, spóźnił się pan dosłownie o kilka minut.

– Muszę się z nią zobaczyć, to bardzo ważne. Ma pani numer jej komórki?

Sophia zawahała się, po czym oświadczyła z przeproszającym uśmiechem:

– Nie mam prawa podawać jej numeru telefonu. Ale na pana miejscu pojechałabym do Biot, bo...

– Bo co?

– Dziś jest sobota, a w soboty ona przeważnie je kolację z doktorem Sénécą w restauracji przy placu Arcades.

– Z Thierrym Sénécą? Tym mikrobiologiem?

– Tak.

Pamiętałem go. Zdawał maturę z przedmiotów ścisłych, był rok czy dwa starszy od nas. Później otworzył laboratorium analiz medycznych na przedmieściach Biot. Rodzice robili sobie u niego wszystkie badania.

– Ten Sénéca jest jej facetem? – spytałem.

– No, pewnie tak... – odpowiedziała zażenowana, czując, że jest zbyt gadatliwa.

– Okay, dziękuję pani.

Byłem już daleko, gdy zawołała:

– Kiedy pan napisze następną książkę?

Udałem, że nie słyszę, i szybko wszedłem do windy. Zwykle taka niewinna zaczepka ze strony czytelników sprawiała mi przyjemność. Ale kiedy zasunęły się drzwi windy, uświadomiłem sobie, że następnej książki po prostu nie będzie. W poniedziałek policja znajdzie zwłoki Alexisa Clémenta i zamkną mnie na piętnaście lub dwadzieścia lat. Razem z wolnością utracę jedyną rzecz, która utrzymywała mnie przy życiu. Aby uciec od tych ponurych myśli, rzuciłem okiem na komórkę. Zobaczyłem, że dzwonił do mnie ojciec – który nigdy do mnie nie dzwonił – oraz że Pauline Delatour wysłała esemesa, choć nie wiedziałem, jak zdobyła mój numer. *Przykro mi za moje zachowanie. Nie wiem, co mnie napadło! Czasem robię głupstwa. PS Znalazłam tytuł dla książki, którą w końcu z pewnością napisze pan o Vince: Noc i dziewczyna.*

2

Wsiadłem do auta i pojechałem do Biot. Trudno mi było skupić się na jeździe. Cały czas myślałem o zdjęciu z gazetki szkolnej: blondynka Fanny w rudej peruce okazała się niepokojąco podobna do Vinki. Nie tylko kolorem włosów, ale też w ogóle wyglądem, wyrazem twarzy i postawą. Przypomniały mi się ćwiczenia z improwizacji prowadzone przez moją mamę w kółku teatralnym. Mama umiała wymyślać ciekawe, dynamiczne sytuacje. Uczniowie to uwielbiali. Trzeba było wcielić się w różne osoby spotkane na ulicy, na przystanku autobusowym, w muzeum... Nazywaliśmy to zabawą w kameleona i Fanny była w tym ćwiczeniu doskonała.

Wpadło mi do głowy: a nuż Fanny i Vinca zamieniły się miejscami? Może pamiętnego niedzielnego poranka to Fanny wsiadła do paryskiego pociągu? Hm... dziwne, ale prawdopodobne. Pamiętałem zeznania świadków. Dozorca szkoły, pracownicy kolei, pasażerowie pociągu do Paryża czy nocny stróż w hotelu – wszyscy widzieli „ładną, młodą kobietę, jasnooką, o włosach koloru rdzy”. Mało dokładne opisy nie zaprzeczały mojej hipotezie. Może wreszcie po latach wpadłem na właściwy trop. A gdyby Vinca żyła? Przez całą drogę myślałem o nowej wersji historii i coraz bardziej mi się ona podobała. Z jakiegoś powodu Fanny pomogła Vince w ucieczce i gdy wszyscy szukali jej w Paryżu, Vinca nawet nie wsiadła do tego pociągu.

Wjechałem do Biot o zachodzie słońca. Parking publiczny był przepełniony. Wzdłuż rzędu zaparkowanych samochodów czaiło się kilka aut na światłach awaryjnych, czekając, aż ktoś zwolni miejsce. Objechałem miasteczko dwa razy, bez skutku. Drogą Baches zjechałem do doliny Combes. Znalazłem wolny skrawek prawie kilometr niżej, koło kortów tenisowych. Wracając na piechotę, musiałem pokonać strome wzniesienie – nogi mnie bolały i ledwo dyszałem. Byłem niemal u końca tej drogi krzyżowej, gdy zadzwonił ojciec.

– Słuchaj, Thomas, bardzo się martwię. Twoja matka jeszcze nie wróciła! To nie jest normalne. Wyszła tylko po zakupy.

– Dzwoniłeś do niej?

– Tak, ale zostawiła telefon w domu. Co mam robić?

– Nie wiem, tato. Jesteś pewien, że nie przesadzasz?

Zdziwiło mnie jego zdenerwowanie, bo mama była niespokojnym duchem, nie usiedziałyby w miejscu. Na początku 2000 roku zaczęła działać w organizacji pozarządowej zajmującej się zakładaniem szkół dla dziewcząt w Afryce i wówczas jej nieobecności w domu stały się dłuższe. Ojcu to w ogóle nie przeszkadzało.

– Nie, nie przesadzam – odpowiedział. – Przecież mamy gości. Normalnie nigdy by mnie tak nie zostawiła.

Ojciec był wkurzony, bo matka zostawiła go samego ze sprzątaniami! Coś takiego!

– Jeśli naprawdę się martwisz, podzwoń po szpitalach.

– Tak, zaraz to zrobię! – burknął.

Tymczasem dotarłem do centrum Biot, które okazało się bardziej malownicze niż w moich wspomnieniach. Architektura miasteczka była głównie dziełem ludzi przybyłych z północy Włoch, choć trafiały się pozostałości po pobycie na tych ziemiach zakonu templariuszy. Teraz, pod wieczór, spatynowane, brązowożółte fasady dodawały ciepła brukowanym uliczkom i turystom mogło się wydawać, że spacerują po Savonie czy Genui.

Na głównej ulicy roiło się od butików z wciąż takimi samymi prowansalskimi pamiątkami, mydełkami, perfumami i wyrobami z drewna oliwnego. Kilka galerii wystawiało wyroby ze szkła oraz obrazy i rzeźby miejscowych artystów. Przed tarasem jakiejś winiarni uzbrojona w gitarę dziewczyna beztrąsko masakrowała repertuar Cranberries, ale już zebrał się wokół niej tłumek, przytupując i klaszcząc. Zaczynał się miły wiosenny wieczór.

Pamiętałem Biot ze szczególnego powodu. Kiedy miałem jedenaście lat, przygotowałem pierwszy szkolny referat na temat

miejscowej historii, która mnie zawsze fascynowała. Pod koniec XIX wieku bez specjalnej przyczyny przy jednej z ulic zawalił się wielki dom. Do tragedii doszło pod wieczór. Mieszkańcy świętowali pierwszą komunię jednego z dzieci i siedzieli przy stole. Zginęli w kilka sekund. Ekipy ratownicze wyciągnęły spod gruzów około trzydziestu ciał. Ten dramat żyje w pamięci mieszkańców do dziś, na ruinach nie zbudowano niczego nowego. Puste miejsce nosi nazwę placu Catastrophe.

Dotarłem do skweru Arcades. Uderzyło mnie, że od kiedy wyjechałem, czyli od dwudziestu pięciu lat, nic tu się nie zmieniło. Otoczony krużgankami podłużny plac, wokół którego wznosiły się niskie, dwu- lub trzypiętrowe kolorowe domy, ciągnął się aż do kościoła Świętej Marii Magdaleny.

Nie musiałem długo szukać Thierry'ego Sénéki. Siedział przy stoliku w kawiarni Les Arcades. Zamachał do mnie ręką, jakby czekał nie na Fanny, tylko na mnie. Miał krótko ostrzyżone ciemne włosy, starannie przyciętą kocią bródkę i też niewiele się zmienił. Ubrany swobodnie – płócienne spodnie, koszulka, sweter zarzucony na ramiona – robił wrażenie, jakby dopiero co zszedł z jachtu. Przypomniały mi się stare reklamy butów żeglarskich albo afisze wyborcze z czasów mojej młodości, na których przedstawiciele partii konserwatywnej starali się pokazać, że są ludźmi sympatycznymi i na luzie. Rezultat był przeważnie odwrotny.

– Cześć, Thierry! – przywitałem się z nim, wchodząc pod arkady.

– Cześć, Thomas! Kopeć lat!

– Szukam Fanny. Podobno na nią czekasz?

Gestem zaprosił mnie do stolika.

– Zaraz tu będzie. Mówiła mi, że widzieliście się rano.

Poróżowiałe niebo rzucało pastelowe cienie na stare mury. W powietrzu unosiły się smakowite wonie zupy z pesto i duszonego mięsa.

– Nie będę wam psuć wieczoru. Chciałbym tylko coś sprawdzić, potrwa to dwie minuty.

– Nie ma sprawy.

Kawiarnia Les Arcades była w Biot całą instytucją. Niegdyś do bywalców zaliczali się Picasso, Fernand Léger i Chagall. Stoliki nakryte obrusami w czerwono-białą kratkę beztrudno zawłaszczyły sobie dużą część placu.

– Czy wciąż tak smacznie gotują? Kiedyś często przychodziłem tu z rodzicami.

– Więc nie będziesz czuł się obco, od czterdziestu lat podają to samo.

Przez chwilę rozmawialiśmy o daniach: papryce w oleju, faszerowanych kwiatach cukinii, królika w śmietanie, potem omówiliśmy urodę belkowanych sufitów podtrzymujących arkady i w końcu zapadła cisza. Postanowiłem ją przerwać.

– Jak tam twoje laboratorium?

– Nie musisz mnie zabawiać, Thomas! – odezwał się Sénéca agresywnie.

Tak jak rano Pianelli, tak teraz on wyciągnął z kieszeni e-papierosa i zaczął się zaciągać, wydmuchując mnóstwo pary o zapachu karmelu. Co by pomyśleli nasi ojcowie, choćby mój lub Maxime'a, na widok dzisiejszych facetów, z których ust bucha jak z lokomotywy dym pachnący jak łakocie i którzy zamiast szklanki whisky wychylają zmiksowany szpinak z lodem?

– Znasz tę starą debilną teorię o drugiej połowie? – ciągnął Sénéca prowokująco. – Że niby wszyscy poszukujemy brakującej połowy, lekarstwa na samotność?

Jeśli chciał mnie zbić z tropu, to mu się nie udało.

– W *Uczcie* Platona tłumaczy to Arystofanes. To wcale nie debilne, przeciwnie, bardzo romantyczne i stanowi piękny symbol zgranej pary.

– No tak, zapomniałem, zawsze byłeś nadwornym bardem... – odrzekł drwiąco.

Nie za bardzo rozumiałem, do czego zmierzał. Pozwoliłem mu mówić dalej.

– Widzisz, Fanny również w to wierzy. Gdyby miała trzynaście, czternaście lat, to okay, ale ona zbliża się do

czterdziestki. W tej sytuacji...

– O co ci chodzi, Thierry?

– Pewni ludzie utknęli w miejscu, czas się dla nich zatrzymał.

Przez chwilę miałem wrażenie, że mówi o mnie, ale okazało się, że nie.

– Wiesz, co sobie wyobraża Fanny? Myśli, że któregoś dnia przyjedzie po nią rycerz na białym koniu i że to będziesz ty, gdy wreszcie zrozumiesz, że jesteście sobie pisani. W psychiatrii to się nazywa...

– Chyba przesadzasz – przerwałem mu.

– Obym przesadzał...

– Od dawna jesteście razem?

Myślałem, że mnie spławi, wybrał jednak drogę szczerości.

– Od pięciu czy sześciu lat. Mieliśmy okresy wspaniałe, czasem zdarzały się chwile trudne, tak jak wszystkim. Ale widzisz, nawet gdy jest nam dobrze, gdy przeżywamy coś super, ona zawsze myśli o tobie. Wydaje jej się, że gdybyś to był ty, emocje byłyby głębsze, doskonalsze. – Thierry miał spuszczone oczy, mówił cicho głuchym głosem. Cierpiał. – Z tobą trudno walczyć, chłopcze inny niż wszyscy. Na czym polega twoja niezwykłość, Thomasie Degalais, poza tym, że rozbijasz związki i handlujesz marzeniami?

Spojrzał na mnie z antypatią i rozpaczą, jakbym był jednocześnie powodem jego niedoli i potencjalnym zbawicielem. Nie starałem się usprawiedliwić. Gadał głupstwa i tyle.

Podrapał się w kozią bródkę, wyjął komórkę i pokazał mi zdjęcie, które umieścił na tapecie: ośmio- czy dziewięcioletni chłopczyk grający w tenisa.

– To twój syn?

– Tak. Ma na imię Marco. Sąd przyznał opiekę matce. Zabrała dzieciaka do Argentyny, bo tam mieszka jej nowy narzeczony. Cierpię jak potępieniec, że nie mogę częściej widywać syna.

Była to poruszająca historia, ale fakt, że Sénéca, z którym nigdy nie byłem blisko, zaczął mi się zwierzać, postawił mnie w dziwnej sytuacji.

– Chcę mieć drugie dziecko – oświadczył. – Z Fanny. Ale jest jedna przeszkoda, Thomas. Ty.

Chciałem mu odpowiedzieć, że nie jestem psychologiem i że jeśli Fanny nie chce dziecka, to zapewne jego wina, lecz wyglądał tak nieszczęśliwie, że nie miałem serca jeszcze bardziej go pogrążyć.

– Nie będę czekał bez końca na jej decyzję! – zagroził.

– To naprawdę nie jest mój problem, przecież...

Nie dokończyłem, bo pod arkadami pojawiła się Fanny. Widząc nas siedzących razem, zamarła. Po chwili kiwnęła ręką, żebym poszedł za nią. Przeszła przez plac i znikła w kościele.

– Cieszę się, że cię zobaczyłem, Thomas – rzekł Sénéca, gdy wstawałem. – Pewnej sprawy nie załatwiono wtedy, kiedy należało. Mam nadzieję, że to dziś naprawisz.

Nie żegnając się z nim, zszedłem na wyłożony szaro-różową kostką plac i ruszyłem za Fanny do kościoła.

3

Zapach kadzidła i dymiącego drewna z miejsca pogrążył mnie w nastroju medytacyjnym. Kościół był piękny w swojej prostocie. Z przedsionka do głównej nawy prowadziły schody w dół. Tam, przed wielkim, masywnym świecznikiem, na którym płonęło mnóstwo świec, siedziała Fanny.

Czyżby wybrała to miejsce z myślą o spowiedzi?

Tak jak rano miała na sobie dzinsy, buty na obcasach i koszulową bluzkę. Siedziała w zapiętym płaszczu, kolana przycisnęła do piersi. Wyglądała na zmarzniętą.

– Cześć, Fanny!

Podniosła głowę; miała wyblakłą, wymiętą twarz. Oczy były zapuchnięte.

– Musimy porozmawiać! – Nie chciałem, żeby zabrzmiało to twardo, ale tak zabrzmiało.

Fanny kiwnęła głową. Chciałem jej przedstawić scenariusz wymyślony w samochodzie, ale rozpacz w jej oczach tak mnie przerażała, że po raz pierwszy się zawahałem – może lepiej, żebym nie znał prawdy.

– Okłamałam cię, Thomas.

– Kiedy?

– Dzisiaj, wczoraj, przedwczoraj, dwadzieścia pięć lat temu... Cały czas cię okłamywałam. Nic z tego, co mówiłam rano, nie jest prawdą.

– Nie wiedziałaś o zwłokach zamurowanych w ścianie hali sportowej?!

– Wiedziałam, to akurat była prawda.

Nad jej głową błyszczały w świetle świec trzy części gotyckiego ołtarza. Pośrodku w złoconej ramie Matka Boża Miłosierdzia trzymała Dzieciątka Jezus, a w dłoni ścisnęła różaniec, który świecił się jak rozjarzony.

– Od dwudziestu pięciu lat wiem o tych zwłokach – dodała.

Och, niech czas się zatrzyma! Nie chcę poznać dalszego ciągu, pomyślałem.

– Ale zanim dowiedziałam się od ciebie, nie miałam pojęcia, że zamurowano tam również Alexisa Clémenta.

– Nie rozumiem.

Nie chcę rozumieć, huczało mi głowie.

– W tym cholernym murze są dwie osoby! – wykrzyknęła, wstając. – O Clémencie nie wiedziałam, Ahmed mi nic nie powiedział, wiedziałam tylko o tym drugim ciele.

– O jakim drugim ciele?

Przeczuwałem, co mi odpowie. Co zrobić, żeby w to nie uwierzyć?!

– No, o ciele Vinki! – wydusiła z siebie Fanny.

– Nie, nie, mylisz się!

– Mówię prawdę, Thomas! Vinca nie żyje.

– A kiedy niby umarła?

– Tej samej nocy co Clément. W sobotę dziewiętnastego grudnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku,

w dzień zamieci śnieżnej.

– Skąd wiesz?

Fanny wbiła wzrok w Matkę Boską z różańcem. Stojące za nią dwa anioły w aureolach trzymały poły jej płaszcza, wzywając najpokorniejszych, aby się ukryli między nimi. Chciałem też tam się ukryć, uciec przed ranami, jakie zadawała prawda. Fanny uniosła głowę, popatrzyła mi w oczy i jednym krótkim zdaniem pozbawiła mnie wszystkiego.

– Ja ją zabiłam, Thomas!

Fanny

Sobota, 19 grudnia 1992

Internat

Pawilon im. Nicolasa de Staëla

Póływa ze zmęczenia, z trudem powstrzymuję ziewanie. Terminy z biologii molekularnej tańczą mi przed oczami, mózg już ich nie przyswaja. Oby nie zasnąć... Jest mi strasznie zimno – przenośny grzejnik ledwo dyszy zakurzonem, chłodnym powietrzem. Włączyłam muzykę, z głośników lecą pełne chandry piosenki The Cure: *Disintegration*, *Plainsong*, *Last Dance*... Lustrzany obraz mojej osamotnionej duszy.

Rękawem swetra ścieram parę z szyby. Pod perłową pierzyną zamarzniętego śniegu pusty kampus wygląda jak z bajki. Wpatruję się w srebrzystobiałe chmury, z których sypie biały puch.

Od wczoraj nic nie jadłam i ssie mnie w żołądku. W lodówce pustki, nie mam grosza przy duszy. Powinnam się przespać, nie nastawiać budzika na wpół do piątej rano, ale sumienie mi nie pozwala. Mam dokładny plan pracy na te dwa tygodnie ferii. Obsesyjnie myślę, że po pierwszym roku medycyny odpadnie dwie trzecie moich kolegów z klasy przygotowawczej. Zastanawiam się, czy to ma sens. A raczej czy to jest dla mnie. Czy zawód lekarza to moje powołanie? Co się stanie z moim życiem, jeśli zawałę egzamin konkursowy? Nadchodzące lata widzę ponuro, smutno. To nie szara równina, to kalejdoskop szarości: szare betonowe osiedla, szare autostrady, szare pobudki o piątej rano. Szpital, w ustach przykry smak stali, gdy budzisz

się rano, lepkie ciało, towarzystwo nie tej osoby. Wiem, że to mnie czeka, bo nigdy nie miałam lekkości, bez troski i optymizmu większości moich kolegów. Przyszłość to dla mnie strach, nuda, pustka, ucieczka, ból.

*

I nagle za oknem widzę ciebie, Thomas! Patrząc, jak na tle mlecznej bieli zimowego popołudnia walczysz z wiatrem. I jak za każdym razem, gdy cię spostrzegam, serce mi skacze z radości i nastrój mi się poprawia. Mija senność, mam ochotę działać. Z tobą moje życie byłoby spokojne, pełne obietnic, planów, podróży, słońca i śmiechu dzieci. Wiem, że istnieje gdzieś ścieżka do szczęścia, z pewnością wąska, i wiem, że tylko z tobą mogłabym nią pójść. Tajemniczy czar sprawia, że ból, brud i ciemna otchłań, które mnie wypełniają od dzieciństwa, znikają, kiedy jesteśmy razem. Wiem też, że bez ciebie będę zawsze sama.

Z tym że jesteś tu nie dla mnie. Słyszę, jak idziesz po schodach i wchodzisz do jej pokoju. Już nie przychodzisz tu dla mnie. Przychodzisz dla tej innej, dla niej, zawsze dla niej.

Znam Vincę znacznie lepiej od ciebie. Widzę, że ma to coś w oczach, w sposobie, w jaki się porusza, w geście zatykania za ucho niesforenego kosmyka albo gdy lekko otwiera usta w uśmiechu, który nie jest uśmiechem... Wiem, że to coś jest nie tylko szkodliwe – jest śmiertelne. Moja matka też miała tę złowróżbną aurę, przez którą mężczyźni szaleli. Nie mówiłam ci o tym, ale kiedy nas opuściła, ojciec próbował popełnić samobójstwo. Z własnej woli nadział się na zardzewiałe zbrojenie bloku betonu. Z powodu ubezpieczenia utrzymywaliśmy, że to wypadek przy pracy, ale była jednak próba samobójcza. Mimo upokorzeń, jakich doznał od żony, twierdził, że nie może bez niej żyć, i był gotów osierocić trójkę nieletnich dzieci.

Ty, Thomas, jesteś inny, ale musisz uwolnić się z więzów, którymi omotała cię Vinca, zanim cię zniszczą. Zanim przez nie

zrobisz coś, czego będziesz żałował całe życie.

*

Słyszę, jak pukasz. Idę ci otworzyć.

– Cześć, Thomas! – mówię, zdejmując okulary.

– Cześć, Fanny! Potrzebuję twojej pomocy.

Wyjaśniasz, że Vinca źle się czuje, że trzeba z nią pogadać i że potrzebuje lekarstw. Opróżniasz apteczkę i prosisz, żebym jej przygotowała herbatę. Zgadzam się na wszystko jak kompletna idiotka. Ponieważ herbata się skończyła, wyjmuję z kubła na śmieci starą torebkę.

To wszystko, do czego się nadaję: służyć Vince, biednemu, zranionemu ptaszкови. Za kogo mnie masz, do cholery?! Byliśmy tacy szczęśliwi, zanim nie wlażała z buciorami w nasze życie. Zobacz, do czego nas zmusza! A ty? Śpię z wszystkimi napotkanymi facetami, żebyś tylko zaczął być o mnie zazdrosny, żebyś zwrócił na mnie uwagę. To przez ciebie robię sobie krzywdę!

Przed wyjściem na korytarz ocieram łzy. Potrącasz mnie i nawet nie przepraszasz. Bez słowa zbiegasz ze schodów.

*

No i tak. Jestem w pokoju Vinki, czując się trochę jak idiotka, sama, z filiżanką herbaty. Nie słyszałam waszej rozmowy, ale myślę, że Vinca znów odegrała rolę, w której celuje. Jest mistrzynią w manipulacji ludźmi. Jej przyjaciele są marionetkami w tym teatrze. Sobie zawsze powierza rolę pokrzywdzonej.

Stawiam tę cholerną herbatę na stoliku nocnym i patrzę na Vincę, która akurat przysnęła. Częściowo rozumiem pożądanie, jakie budzi. Dlaczego nie wyciągnąć się przy niej, nie pogłodzić delikatnej skóry, nie poczuć ciepłych, pełnych warg na swoich,

nie pocałować długich, zakręconych rzęs? Ale druga część mnie nienawidzi jej i cofam się odruchowo, gdy przez chwilę zamiast twarzy Vinki widzę na poduszce twarz mojej matki.

*

Powinam już wracać do pracy, ale coś trzyma mnie w tym pokoju. Na parapecie stoi opróżniona do połowy butelka wódki. Wypijam dwa łyki z gwinta. Potem przeszukuję pomieszczenie, oglądam dokumenty, które walają się na stole, przeglądam notes Vinki. Otwieram szafy, przymierzam jej ciuchy. Sprawdzam zawartość apteczki. Wcale mnie nie dziwi, gdy znajduję w niej leki nasenne i uspokajające.

Apteczka Vinki jest apteczką typowej ćpunkki, pełną silnych środków psychotropowych. Opakowania benzodiazepiny i klorazepanu są prawie puste, ale trafiam na pełną fiolkę flunitrazepamu. Zastanawiam się, jak zdobyła te leki. Na dnie szuflady leżą stare recepty wypisane przez lekarza z Cannes, doktora Frédéric Rubensa. Najwyraźniej facet nie miał specjalnych skrupułów.

Znam właściwości flunitrazepamu. Wskazany w poważnych zaburzeniach snu, uzależnia i długo pozostaje w organizmie. Nie należy zażywać go lekką ręką ani przez dłuższy okres. Wiem, że w połączeniu z alkoholem czy z morfiną powoduje amnezję. Sama nigdy go nie brałam, ale słyszałam, że skutki mogą być dramatyczne: utrata samokontroli, przytomności, pamięci. Jeden z naszych wykładowców, lekarz pogotowia, mówił, że mają coraz więcej pacjentów po przedawkowaniu flunitrazepamu, używanego również w celach przestępczych jako pigułka gwałtu. Opowiadano, że podczas balangi na opuszczonym polu pod Grasse jakaś dziewczyna połknęła dużą dawkę i skończyło się tragicznie: podpaliła się i rzuciła ze skały.

Jestem zmęczona. Ledwo mogę myśleć. W pewnej chwili, nie wiem dlaczego, wyobrażam sobie, że rozpuszczam flunitrazepam w herbacie, którą przygotowałam dla Vinki. Nie chcę jej zabić,

nie, chcę tylko, żeby znikła z naszego życia. Często śnię, że wpada pod samochód albo że popełnia samobójstwo. Nie chcę jej zabić, nie! Wysypuję tabletki na dłoń. Całą zawartość wrzucam do parującego kubka. To zajmuje dosłownie sekundę. Czuję się rozdwojona: stoję obok i patrzę, jak ta druga wsypuje proszki do herbaty.

Zamykam za sobą drzwi pokoju Vinki i wracam do siebie. Ledwo trzymam się na nogach. Tym razem zmęczenie wygrywa. Kładę się. Biorę do ręki zeszyt i notatki. Muszę wziąć się do roboty, skupić na nauce, ale oczy same mi się zamykają. Zасыpiam.

*

Budzę się w środku nocy zlaną potem, jakbym miała wysoką gorączkę. Budzik wskazuje wpół do pierwszej. Niemożliwe! Spałam bez przerwy osiem godzin! Nie wiem, czy w tym czasie do mnie wpadłeś, nie wiem, co z Vincą.

Przerażona, walę w jej drzwi. Ponieważ odpowiada mi cisza, wchodzę do pokoju. Kubek z herbatą jest pusty. Vinca śpi w pozycji, w jakiej ją zostawiłam, a przynajmniej chcę w to uwierzyć, lecz kiedy się nad nią pochylam, stwierdzam, że jest zimna i nie oddycha. Serce przestaje mi bić. Boże! Zsuwam się na kolana koło łóżka.

Może tak musiało być, może to miało się skończyć śmiercią i strachem. Ja też muszę z tym skończyć. Skończyć na zawsze z cierpieniem, które mnie męczy od lat. Otwieram okno. W twarz uderza mnie lodowate zimno. Wdrapuję się na parapet, ale nie mogę skoczyć. Noc dotyka mnie – i odpycha. Śmierć ze mnie rezygnuje.

*

Półprzytomna idę przez kampus. Jezioro, plac Marronniers, budynki administracji. Wszędzie czarno, martwo. Świeci się tylko w biurze twojej mamy i ja właśnie tam idę. Przez szybę widzę jej sylwetkę. Dyskutuje o czymś z Francisem Biancardinim. Twoja mama od razu widzi, że stało się coś strasznego. Oboje podchodzą do mnie. Padam bez sił w jej ramiona i opowiadam. Szlocham, jąkam się, ledwo mogę sklecić zdania. Zanim zadzwonią na pogotowie, idą do pokoju Vinki. Francis ogląda ciało i ruchem głowy daje do zrozumienia, że nie ma co dzwonić po lekarza.

Mdleję.

*

Odzyskuję przytomność na kanapie w biurze twojej mamy. Leżę przykryta kocem.

Mama siedzi u mojego wezglowia. Udziela mi się jej spokój. Zawsze ją podziwiałam. Była dla mnie dobra i serdeczna. Wspierała mnie w życiowych decyzjach. Dzięki niej dostałam pokój w internacie. Dzięki niej ośmieliłam się zdawać na medycynę. Pocieszała mnie, kiedy wyjechałam.

Teraz chce wiedzieć, jak się czuję, i każe mi opowiedzieć wszystko ze szczegółami. Mam o niczym nie zapomnieć.

Wykonując jej polecenie, widzę niefortunny rozwój wypadków, który doprowadził do śmierci Vinki. Byłam zazdrosna, nieodpowiedzialna, co za pomysł z tym flunitrazepamem! Usprawiedliwiam się. Mama kładzie mi palec na ustach.

– Twoje wyrzuty sumienia nie wrócą nam Vinki. Czy jeszcze ktoś oprócz ciebie mógł zauważyć, że ona nie żyje?

– Może Thomas, ale nie sądzę. Tylko my dwie zostałyśmy tu na święta.

Mama chwytając mnie za ramię, szuka wzrokiem moich oczu i mówi:

– Nadchodząca chwila będzie najważniejszą chwilą w twoim życiu, Fanny. Musisz podjąć bardzo trudną decyzję, i to szybko.

Nie spuszczam z niej oczu. Nie mam pojęcia, o co jej chodzi.

– Masz do wyboru dwie możliwości. Pierwsza to wezwać policję i powiedzieć prawdę. Już dziś wylądujesz w areszcie. Będzie proces, druga strona, mająca za sobą opinię publiczną, szybko cię zniszczy. Będą o tobie trąbić prasa i telewizja. Nazwą cię potworem, diaboliczną dziwką, która z zimną krwią zamordowała swoją ukochaną przyjaciółkę, uwielbianą przez wszystkich najpiękniejszą dziewczynę w liceum. Jesteś pełnoletnia, zostaniesz skazana na bardzo długo.

Załamuję się. To brzmi strasznie.

– Kiedy wyjdiesz z więzienia, będziesz miała trzydzieści pięć lat. Przydomku „morderczyni” nie pozbędziesz się aż do śmierci. Twoje życie skończy się, zanim się zacznie. Dziś wieczorem wkroczyłaś do piekła, z którego nie ma wyjścia.

Topię się. Ktoś obuchem uderzył mnie w głowę, woda zalewa mi twarz, nie mogę oddychać. Milczę.

– A druga możliwość? – pytam po chwili szeptem.

– Walczysz. Jestem gotowa ci pomóc.

– To raczej niemożliwe – mówię.

Twoja mama wstaje z krzesła.

– Nie jest to twoje zmartwienie. Najpierw trzeba coś zrobić z ciałem Vinki. Im mniej będziesz wiedziała, tym lepiej.

– Nie da się ukryć ciała – powiedziałam.

W tym momencie do gabinetu wchodzi ojciec Maxime’a. Kładzie na stoliku paszport i kartę kredytową. Podnosi słuchawkę, wykręca jakiś numer i włącza głośnik.

– Hotel Sainte-Clotilde, dobry wieczór.

– Dobry wieczór. Chciałbym się dowiedzieć, czy mają państwo dwuosobowy pokój na jutro.

– Tak, ale to ostatni – oznajmia recepcjonista i podaje cenę.

Ojciec Maxime’a potwierdza rezerwację i podaje nazwisko Alexisa Clémenta.

Twoja matka zawiadamia mnie twardym spojrzeniem, że machina poszła w ruch i teraz ja muszę powiedzieć, czy to akceptuję.

– Zostawiam cię na dwie minuty na zastanowienie... – mówi.

– Nie potrzebuję dwóch minut na wybór pomiędzy piekłem a życiem!

Widzę po niej, że takiej odpowiedzi oczekiwała. Siada koło mnie i bierze mnie za ramiona.

– Musisz zrozumieć jedną rzecz. Nasz plan powiedzie się tylko jeśli wykonasz dokładnie wszystkie moje polecenia, nie będziesz zadawała zbędnych pytań i nie będziesz domagała się wyjaśnień.

Nie mam pojęcia, jak coś takiego może się udać, ale widzę, że twoja matka i ojciec Maxime'a panują nad sytuacją.

– Przy najmniejszym potknięciu z twojej strony wszystko się zawali – uprzedza mama. – Pójdiesz do więzienia i pociągniesz nas za sobą.

Przytakuję w milczeniu i proszę, żeby powiedzieli mi, co mam robić.

– Na razie idź spać! – odpowiada twoja mama. – Musisz porządnie wypocząć.

*

Wiesz, co w tym wszystkim jest dziwnego? Tamtej nocy spałam jak dziecko.

Następnego ranka twoja mama obudziła mnie, ubrana w dzinsy i męską kurtkę. Włosy spięła w koczek, który wsunęła pod czapkę z daszkiem. Czapkę niemieckiego klubu piłki nożnej. Kiedy wręczyła mi rudą perukę i różowy sweter w białe groszki należący do Vinki, zrozumiałam. To było jak te zajęcia z improwizacji, które prowadziła w kółku teatralnym, gdy prosiła, żebyśmy na chwilę stali się kimś innym. Czasem nawet w ten sposób rozdzielała role. Z tym że teraz improwizacja nie

miała trwać pięciu minut, tylko co najmniej dzień, i grałam nie o rolę, ale o życie.

Pamiętam doskonale, co czułam, kiedy wkładałam ubranie Vinki i rudą perukę. Czułam się spełniona, dopięłam swego. Byłam Vincą. Lekka jak ona, swobodna jak ona, wyrażałam się jej zdaniem i miałam jej wdzięk.

Twoja mama usiadła za kierownicą samochodu Clémenta i opuściliśmy teren szkoły. Uchyliłam szybę, żeby pozdrowić dozorcę, kiedy podnosił barierkę, pomachałam dwóm facetom, którzy odgarniali śnieg z ronda. Na dworcu w Antibes okazało się, że z powodu braku pociągów poprzedniego dnia podstawiono dodatkowy skład do Paryża. Twoja matka kupiła bilety i podróż minęła jak z bicza strzelił. Przespacerowałam się po wszystkich wagonach, starając się, aby mnie zapamiętano. W Paryżu twoja mama oznajmiła, że wybrała hotel przy ulicy Saint-Simon, ponieważ zatrzymała się tam pół roku wcześniej i pamiętała, że nocny portier był starszym facetem łatwym do wyprowadzenia w pole. Zjawiliśmy się na miejscu koło dziesiątej wieczorem i zapłaciliśmy od razu, mówiąc, że wyjedziemy wcześniej rano. Zostawiliśmy dużo śladów, żeby wszyscy uwierzyli, iż Vinca naprawdę tam nocowała. Wiśniowa cola to był mój pomysł. Twoja mama zostawiła w pokoju kosmetyczkę ze szczotką do włosów Vinki, a więc z jej DNA.

I wiesz, co było najdziwniejsze? Ten dzień, który zakończyłam, popijając tabletkę benzodiazepiny dwoma piwami, był jednym z bardziej upajających w moim życiu.

*

Powrót na ziemię był straszny, proporcjonalnie do tego całego szaleństwa. Następnego dnia świat znów stał się niepokojąco ponury. Obudziłam się na skraju załamania nerwowego. Myślałam, że z poczuciem winy i niesmakiem, które odczuwałam do siebie samej, nie wytrzymam ani chwili dłużej. Ale obiecałam

twojej mamie, że wytrwam do końca. Wystarczy, że zniszczyłam swoje życie – nie wolno mi ciągnąć jej za sobą.

Hotel opuściliśmy bladym świtem. Wsiadliśmy w metro. Najpierw linia numer 12, od ulicy du Bac do Concorde, potem linia numer 1 na Dworzec Lioński. Poprzedniego dnia wieczorem twoja mama kupiła mi bilet do Nicei. Sama miała jechać z dworca Montparnasse do Dax w Landach.

W kawiarni naprzeciwko dworca powiedziała, że najgorsze dopiero przede mną: nauczyć się żyć z poczuciem winy. Ale dodała, że nie wątpi w mój sukces, bo jestem waleczna, tak jak ona, a to są jedyne osoby, jakie szanuje.

Podkreśliła, że dla kobiet takich jak my, które przyszły znikąd, życie jest ciągłą wojną. Trzeba bić się o wszystko i wszędzie. Często ci wyglądający na silnych są słabi i odwrotnie. Wielu ludzi prowadzi wyczerpującą walkę w ukryciu. Prawdziwym wyzwaniem jest umiejętność kłamania na dłuższą metę. Aby skutecznie okłamywać innych, trzeba najpierw okłamać samego siebie.

„Jest tylko jeden sposób kłamania, Fanny: zaprzeczyć prawdzie. Kłamstwo musi ją zniszczyć i zastąpić”.

Odprowadziła mnie do pociągu i ucałowała na pożegnanie. Powiedziała, że z doświadczenia wie, że można żyć ze wspomnieniem rozlanej krwi. I zakończyła sentencją, która dała mi do myślenia: „Cywilizacja jest cienką powłoką skrywającą płonący chaos”.

14

Impreza

*...i w końcu zapadł się
w ciemność. W momencie gdy to
sposrzedł, przestał to widzieć.*

Jack London

1

Rozgorączkowana Fanny zakończyła opowieść i wstała. Ledwo trzymała się na nogach. Opierała się o ławki, żeby nie stracić równowagi. Wyglądała jak ostatnia pasażerka tonącego statku.

Ja wyglądałem podobnie. Zatkąło mnie. Te rewelacje były jak seria ciosów w szczękę. Nie umiałem spojrzeć na nie z dystansu. Vinca zamordowana przez Fanny, moja matka pomaga ukryć ciało... Nie odrzucałem prawdy, ale nie dopuszczałem myśli, że moja matka i moja przyjaciółka były zdolne do czegoś takiego.

– Fanny, zaczekaj! – zawołałem, bo nagle rzuciła się do wyjścia.

Przed sekundą wydawało się, że zaraz zemdleje, a teraz pędziła, jakby zależało od tego jej życie. Cholera! Wystartowałem za nią, ale potknąłem się na stopniach i skręciłem nogę. Ona była już daleko. I tak biegła szybciej ode mnie. Nie dogoniłbym jej. Kulejąc, przemierzyłem miasteczko i najszybciej, jak mogłem, szedłem drogą Vachettes do samochodu. Za wycieraczką

znalazłem mandat. Zmiałem go i usiadłem za kierownicą. Co teraz?

Mama. Muszę porozmawiać z mamą. Była w tej chwili jedyną osobą, która mogła potwierdzić słowa Fanny i pomóc oddzielić fantazję od prawdy. Włączyłem komórkę, którą wyłączyłem w kościele. Nie zobaczyłem żadnych nowych esemesów od ojca, ale za to Maxime prosił, żebym natychmiast oddzwonił.

– Thomas, musimy pogadać! – usłyszałem. – Odkryłem coś bardzo ważnego i...

Był dziwnie spięty. Nie wyczułem w jego głosie strachu, raczej niepewność.

– Mów, słucham cię.

– Nie przez telefon. Spotkajmy się później na Orlim Gnieździe. Dopiero co dotarłem na ten szkolny wieczór, muszę się trochę poudzielać.

Jadąc wygodnym, cichym mercedesem, starałem się uporządkować myśli. A więc w sobotę dziewiętnastego grudnia 1992 roku na terenie liceum Saint-Exupéry'ego doszło do dwóch morderstw – najpierw zginął Alexis Clément, a kilka godzin potem Vinca. Obie zbrodnie były na tyle zbliżone w czasie, że moja matka i ojciec Maxime'a zdołali wymyślić scenariusz, który uchronił nas – Maxime'a, Fanny i mnie – od katastrofy. W pierwszej kolejności ukryli ciała, a następnie, co było przejawem geniuszu, przenieśli scenę zbrodni z Lazurowego Wybrzeża do Paryża.

Miało to swoją romantyczną stronę – porozumienie rodziców, podejmujących ogromne ryzyko, aby ratować młodych ludzi, którymi wówczas byliśmy – do mnie jednak dotarła na razie tylko wiadomość o śmierci Vinki.

W opowieści Fanny zaintrygowała mnie jedna rzecz. Postanowiłem zasięgnąć rady profesjonalisty. Zadzwoeniłem do mojego lekarza w Nowym Jorku, ale gabinet w weekend był nieczynny. Pozostał mi mój brat.

Nasze kontakty, delikatnie mówiąc, były sporadyczne. Czuję się niepewnie, mając brata bohatera. Za każdym razem, gdy

z nim rozmawiałem, miałem wrażenie, że zabieram mu cenny czas, który mógłby poświęcić na ratowanie chorych dzieci, przez co nasze dyskusje zawsze dziwnie przebiegały.

– Cześć, braciszku! – usłyszałem w słuchawce.

Był jak zwykle pełen entuzjazmu, co niezmiennie podcinało mi nogi.

– Cześć, Jérôme, co słyhać?

– Nie trać czasu na grzeczności, Thomas, powiedz lepiej, w czym mogę ci pomóc.

Przynajmniej tym razem ułatwił mi zadanie.

– Widziałem się dziś po południu z mamą. Wiedziałaś, że miała zawał?

– Oczywiście.

– Dlaczego mnie nie zawiadomiłaś?

– Prosiła mnie o to. Nie chciała cię denerwować.

Akurat...

– Znasz lek o nazwie flunitrazepam?

– Pewnie, to świństwo, ale dziś już się go nie przepisuje.

– Brałaś to kiedyś?

– Nie, czemu pytasz?

– Piszę powieść, historia dzieje się w latach dziewięćdziesiątych. Jaka dawka tego leku byłaby śmiertelna?

– Nie wiem, to zależy od stężenia. Większość tabletek zawierała jeden miligram flunitrazepamu.

– A więc?

– No... Zależy też od organizmu.

– Nie za bardzo mi pomagasz.

– Kurt Cobain próbował popełnić samobójstwo, zażywając to lekarstwo.

– Myślałem, że strzelił sobie w głowę.

– Ja mówię o nieudanym samobójstwie kilka miesięcy wcześniej. W jego żołądku znaleziono około pięćdziesięciu tabletek.

Fanny mówiła o garstce tabletek, to na pewno nie mogło być pięćdziesiąt, przemknęło mi przez myśl.

- A jeśli ktoś połknął piętnaście?
- Byłby porządnie oszołomiony, może nawet na granicy utraty przytomności, zwłaszcza gdyby zmieszał to z alkoholem. Ale powtarzam, wszystko zależy od stężenia. W latach dziewięćdziesiątych produkowano również pigułki dwumiligramowe. Piętnaście takich pastylek i trochę whisky... to mogłoby faktycznie posłać cię w zaświaty.
- Powrót do punktu wyjścia.
- Nagle coś sobie przypomniałem.
- Znałeś może jakieś dwadzieścia lat temu takiego lekarza z Cannes, Frédéric Rubensa?
- Ach, doktor Mabuse! Wszyscy go znali, miał fatalną opinię.
- Przezywali go Mabuse?
- Nie tylko! – Jérôme się roześmiał. – Krueger Dealer, Trujący Fred... Sam był narkomanem i przepisywał te świństwa swoim pacjentom. Maczał palce we wszystkich możliwych machinacjach: w oszustwach dopingowych, nielegalnym wykonywaniu zawodu lekarza, w handlu receptami...
- Skreślono go z listy lekarzy?
- Tak, ale moim zdaniem zdecydowanie za późno.
- Myślisz, że wciąż mieszka na wybrzeżu?
- Tak się faszerował narkotykami, że wykitował, jeszcze kiedy byłem na studiach. Czy ta książka to thriller dziejący się w środowisku lekarskim?

2

Późnym wieczorem wróciłem na teren szkoły. Bariierka przy wjeździe była podniesiona. Musiałem tylko przedstawić się dozorczy, który sprawdzał listę nazwisk. Nie byłem wpisany na żadną, ale chłopak widział mnie kilka godzin wcześniej, więc mnie wpuścił, prosząc, żebym zostawił samochód na parkingu nad jeziorem.

Nocą miejsce wyglądało wspaniale, tworzyło jednolitą całość, odwrotnie niż w świetle słonecznym. Mistral przegonił chmury, niebo błyszczało od gwiazd. Lampiony, pochodnie i girlandy świetlne nadawały kampusowi wygląd jak z bajki, znacząc jednocześnie drogę dla gości. Urządzono kilka imprez w różnych miejscach, w zależności od roczników. W hali sportowej bawiły się lata 1990–1995.

Wchodząc, poczułem lekkie zażenowanie. Wszyscy poubierali się, jakby spotkanie było imprezą tematyczną z motywem przewodnim „Najgorsze ciuchy lat dziewięćdziesiątych”. Czterdziestoletnie barany powyciągały z szafy converse’y, podziurawione lewisy 501 z wysokim stanem, kurtki bomberki i kraciaste koszule. Najbardziej wysportowani włożyli dresy, polary i lekkie puchówki.

Maxime stał w głębi hali, w koszulce Chicago Bulls. Ludzie lepili się do niego, jakby już był posłem. Wszyscy mówili o Macronie. Przedsiębiorcy, przedstawiciele wolnych zawodów czy dyrektorzy firm nie mogli się nadziwić, że na czele kraju stoi facet, który nie ma jeszcze czterdziestu lat, zna angielski i zasady ekonomii oraz wykazuje chęć zlikwidowania starych podziałów ideologicznych. Jeśli coś miało się w tym państwie zmienić, to teraz albo nigdy.

Zauważywszy mnie, Maxime dał mi znak, żebym zaczekał dziesięć minut. Skinąłem głową i wszedłem w tłum, kierując się do bufetu. Ironia losu – bufet urządzono pod ścianą, w której od dwudziestu pięciu lat tkwiły ciała Alexisa Clémenta i Vinki. Wszędzie wisiały girlandy i stare plakaty. Podobnie jak rano, nie byłem ani skrępowany, ani zdenerwowany. Żadnych złych fal. Ale mój mózg nadal nie akceptował śmierci Vinki.

– Coś do picia? – usłyszałem.

Na szczęście tym razem drinki były z alkoholem, zatrudniono nawet barmana.

– Caipirinha?

– Już się robi!

– Dwie! – odezwał się ktoś za moimi plecami.

Odwróciłem się. Koło mnie stał partner Maxime'a, Olivier Mons, który prowadził miejską mediatekę w Antibes. Pogratulowałem mu fajnych córeczek i żartobliwie wspomnieliśmy „dawne dobre czasy, niekoniecznie takie dobre”. Pamiętałem go jako zarozumiałego intelektualistę, a okazał się miłym facetem z dużym poczuciem humoru. Po chwili wyjawiał mi jednak, że martwi go niepokój Maxime'a, który coś przed nim ukrywa, a ja z pewnością wiem, co to jest.

Ostrożnie odrzekłem, że w kontekście nadchodzących wyborów wrogowie Maxime'a, chcąc zmusić go do rezygnacji, szukają przysłowiowego trupa w szafie. Mówiłem ogólnikami, rzuciłem frazes o cenie, jaką trzeba płacić, jeśli chce się być osobą publiczną, obiecałem pomoc i prosiłem o cierpliwość.

– To niedługo minie! – powiedziałem.

O dziwo, uwierzył mi. Jedną z zaskakujących stron życia było to, że ja – z natury niespokojny i nerwowy – umiałem dać innym poczucie bezpieczeństwa.

Barman podsunął nam drinki i zaczęliśmy obmawiać stroje gości. W przeciwieństwie do reszty byliśmy ubrani skromnie. Tymczasem wiele kobiet najwyraźniej tęskniło za czasami, gdy krótkie topy odsłaniały pępek. Inne miały na sobie dzinsowe szorty, T-shirty pod sukienkami na ramiączkach, na szyjach ozdobne obroże, przy torebkach kolorowe chusteczki. Na szczęście nie zauważyłem żadnych trampek na grubej podeszwie. Jaki to wszystko miało sens? Zabawa czy tęsknota za minioną młodością?

Zamówiliśmy dwa następne drinki.

– Tym razem niech pan nie skąpi cachący! – rzuciłem żartem do kelnera, który wziął sobie tę uwagę do serca i przygotował prawdziwe torpedy.

Pożegnałem się z Olivierem i z drinkiem w dłoni wyszedłem na taras zapalić.

Wieczór dopiero się zaczynał, a już jakiś facet w głębi hali otwarcie sprzedawał kokę i trawę. Zawsze uciekałem od takich klimatów. Obok mnie opierał się o barierkę Stéphane Pianelli. Ubrany w starą, pocerowaną kurtkę i T-shirt z Depeche Mode, palił oczywiście e-papierosa.

– W końcu nie poszedłeś na koncert?

Ruchem głowy wskazał pięcioletniego malca bawiącego się w chowanego pod stołami.

– Rodzice obiecali zająć się Ernestem, ale w ostatniej chwili coś im wypadło – wyjaśnił, wydmuchując parę pachnącą piernikiem.

No tak, obsesja Pianellego sięgnęła aż jego syna, którego nazwał Ernesto!

– Imię to twój pomysł? Jak Ernesto Guevara?

– A bo co? Nie podoba ci się? – Uniósł groźnie brew.

– Ależ skąd, wprost przeciwnie! – odparłem, nie chcąc mu robić przykrości.

– Jego matka uważa, że to banalne imię.

– Kto jest jego matką?

Pianelli spojrzał na mnie twardo.

– Nie znasz jej.

To był jednak zabawny gość! Sądził, że sam może bezkarnie wsadzać nos w życie innych ludzi, ale jego genialną osobą nikt nie ma prawa się interesować!

– Czy przypadkiem nie Céline Feulpin?

– Tak, to ona.

Dobrze ją pamiętałem. Chodziła do maturalnej klasy A, buntowała się przeciw niesprawiedliwości i jeśli na terenie szkoły organizowano jakiś strajk, ona z pewnością mu przewodziła. Był to żeński odpowiednik Stéphane'a, zresztą oboje poszli na studia humanistyczne. Skłaniając się ku skrajnej lewicy, walczyli o prawa studentów i mniejszości etnicznych. Dwa czy trzy lata temu przypadkowo wpadłem na nią w samolocie; oboje lecieliśmy z Nowego Jorku do Genewy. Ledwo ją poznałem, bo przeszła kompletną metamorfozę! Miała torebkę

od Diora i towarzyszył jej nieznany Szwajcar, lekarz, w którym najwyraźniej się durzyła. Zamieniliśmy parę słów, była cała rozpromieniona i wyglądała kwitnąco, czego oczywiście nie powtórzyłem Pianellemu.

– Mam coś dla ciebie! – Pianelli zmienił temat.

Przesunął się i na jego twarz padło białe światło żarówki z girlandy. Też miał podkrążone i czerwone oczy, jakby nie spał od wielu nocy.

– Zdobyłeś coś na temat forsy na przebudowę szkoły?

– Jeszcze nie. Siedzi nad tym mój stażysta. Nie martw się, jest superdyskretny. Jak tylko coś znajdzie, zaraz się z tobą skontaktuje. – Poszukał wzrokiem synka i mrugnął do niego. – Natomiast udało mi się rzucić okiem na ostateczny projekt. To ogromna inwestycja! Niektóre pomysły są naprawdę bez sensu, nie mówiąc o kosztach!

– Co masz na myśli?

– Na przykład gigantyczne rozarium, Anielski Ogród. Słyszałeś coś o tym?

– Nie.

– Prawdziwe szaleństwo, niby miejsce medytacji. Według projektu poświęcone na to zostaną dzisiejsze pola lawendy aż po jezioro.

– Jak to miejsce medytacji?

Pianelli wzruszył ramionami.

– Stażysta mówił mi o tym przez telefon, w sumie nie bardzo zrozumiałem. Ale mam coś jeszcze. – Z tajemniczą miną wyciągnął z kieszeni zapisaną kartkę. – To oficjalny raport policji dotyczący śmierci Francisa Biancardiniego. Nieźle mu się dostało, biedakowi.

– Torturowali go?

W oczach Pianellego zabłysnął niedobry płomień.

– Oby tylko! To musiały być porachunki.

Westchnąłem.

– Jakie porachunki, Stéphane? Ty wciąż o mafii i o praniu forsy. Zastanów się sekundę, kurwa! Nawet jeśli ojciec

Maxime'a współpracował z mafią, a nie sądzę, dlaczego mieliby go zlikwidować?

– Może chciał ich zdradzić?

– Niby z jakiego powodu? Miał siedemdziesiąt cztery lata i był bajecznie bogaty!

– Takim to nigdy nie dość!

– Uspokój się, ależ idiota z ciebie! Czy naprawdę usiłował napisać nazwisko napastnika na szybie okiennej własną krwią?

– Nie, dziennikarka przyznała się, że tę sensację wymyśliła. Ale ojciec Maxime'a faktycznie starał się przed śmiercią do kogoś zadzwonić.

– Wiadomo do kogo?

– Tak. Do twojej matki.

Zachowałem kamienny spokój, mimo że powalił mnie tą informacją.

– Logiczne, znali się od dziecka i byli bliskimi sąsiadami – oznajmiłem najbardziej obojętnym tonem, na jaki było mnie stać.

Pianelli kiwnął głową, lecz jego oczy mówiły wyraźnie: „Gadaj zdrów, mnie nie nabierzesz!”.

– Rozmawiali ze sobą? Moja mama odebrała ten telefon?

– Zapytaj jej! – odpowiedział Pianelli, wypijając ostatni łyk bezalkoholowego piwa, i zawołał synka. – Wracamy! – zarządził. – Jutro czeka nas trening piłki nożnej!

4

Rozejrzałem się po sali. Maxime'a wciąż otaczali wielbiciele. Po przeciwnej stronie tarasu zauważyłem drugi bar, rodzaj nielegalnej gorzelni – wydawano w nim wódkę na kieliszki.

Wziąłem sobie drinka (wódkę z miętą), a potem drugiego (wódkę z cytryną). Cóż, nie było to rozsądne, ale nie musiałem opiekować się dzieckiem ani holować go następnego dnia na trening. Nie cierpiałem bezalkoholowego piwa ani zdrowego

soku ze szpinaku, a poza tym, kto wie, może w przyszłym tygodniu wyląduję w ciupie!

Musiałem odnaleźć matkę. Dlaczego znikła? Bała się zdemaskowania? A może tego, że morderca ojca Maxime'a dosięgnie i ją?

Trzeci kieliszek wódki (tym razem o smaku wiśni). Może lepiej będzie mi się myślało w stanie upojenia alkoholowego. Oczywiście to nie działało na dłuższą metę, ale zanim człowiek się zaleje, przeżywa krótki okres euforii, burzy mózgu, podczas której chwilę przed ogólnym chaosem może się w głowie zaiskrzyć coś sensownego. Mama wzięła mój wynajęty samochód wyposażony w GPS. A gdybym zadzwonił do agencji, zawiadomił, że ktoś mi zwinął auto, i poprosił, żeby je zlokalizowali? Tyle że w sobotę wieczorem trudno mi będzie dorwać kogoś dyżurującego.

Ostatni kieliszek wódki (z pomarańczą) i w drogę. Mój mózg pracował na najwyższych obrotach. Było to fantastyczne, ale wiedziałem, że nie potrwa długo. Na szczęście wpadłem na coś mądrego: muszę zlokalizować iPada, który leży na siedzeniu w samochodzie. To najzupełniej legalne i nawet mam w komórce odpowiednią aplikację. Otworzyłem ją. Była dobrze skonfigurowana i przeważnie skuteczna. Wprowadziłem dane – adres mailowy i hasło – i wstrzymałem oddech. Na mapie zaczął migać punkt. Powiększyłem mapę. Jeśli mój tablet był wciąż w aucie, samochód musiał znajdować się w tym momencie na południowym krańcu Cap d'Antibes, w miejscu, które dobrze znałem: na parkingu przy plaży Keller. Zostawiali tam pojazdy klienci restauracji albo turyści chcący przespacerować się nad morzem.

Zadzwoniłem do ojca.

– Znalazłem samochód mamy!

– Jak to zrobiłeś?

– Potem ci powiem. Jest na parkingu przy plaży Keller.

– Cóż ona tam, na Boga, robi?

Znowu odniosłem wrażenie, że jest zaniepokojony i coś przede mną ukrywa. Zarzuciłem mu to, zaprzeczył. Podniosłem głos.

– Dość tego, tato! Dzwonisz do mnie, jak masz zmartwienie, ale mi nie ufasz!

– Okay, masz rację! – przyznał. – Mama, wyjeżdżając, zabrała ze sobą jedną rzecz...

– Co takiego?

– Jedną z moich strzelb.

Oczami wyobraźni ujrzałem, jak pod stopami otwiera mi się przepaść. Nie byłem w stanie wyobrazić sobie matki z bronią.

Zacisnąłem powieki.

Okazało się, że wprost przeciwnie, doskonale mogłem sobie wyobrazić matkę z bronią.

– Czy ona wie, jak używać takiej strzelby? – spytałem ojca.

– Jadę tam! – usłyszałem w odpowiedzi.

Nie byłem pewien, czy to dobry pomysł, ale nie miałem pojęcia, co innego można by zrobić.

– Zaraz do ciebie dołączę! – odpowiedziałem.

– Dobrze, pospiesz się!

Skończyłem rozmawiać i wróciłem na salę balową. Atmosfera się zmieniła. Po kilku drinkach ludzie zachowywali się swobodniej. Muzyka ryczała, można było ogłuchnąć. Szukałem Maxime'a, ale go nie znalazłem. Zrozumiałem, że poszedł już na miejsce spotkania, do Orlego Gniazda...

Wbiegłem na ścieżkę pnącą się ku okwieconej półce skalnej. Trasę oświetlono lampionami. Dotarłem do skalistego występu i popatrzyłem w górę. W ciemności żarzył się papieros. Maxime opierał się o kamienną balustradę. Skinął na mnie.

– Uważaj, żebyś się nie poślizgnął!

Zaświeciłem latarkę w komórce i ostrożnie zacząłem się wdrapywać. Zaboląła mnie skrzyżowana kostka. Każdy następny krok był coraz trudniejszy. Wiatr, który wiał cały dzień, nagle ustał. Znowu nadciągnęły chmury. Nie było widać ani jednej gwiazdy. W połowie drogi uszy rozdarł mi dramatyczny krzyk.

Podniosłem głowę. Na tle szarego nieba dojrzałem dwie szarpiące się sylwetki. Jedną z nich był Maxime, drugą ktoś nieznajomy, starający się zrzucić go ze skalnego balkonu. Wrzasnąłem i puściłem się biegiem, ale gdy dopadłem celu, było już za późno. Maxime spadł z prawie dziesięciu metrów.

Rzuciłem się za napastnikiem, ale bolała mnie kostka i nie pobeigłem daleko. Kiedy wróciłem, przy leżącym Maximie zebrała się grupka ludzi. Wezwano pogotowie.

Łzy nabiegły mi do oczu. Przez chwilę wydawało mi się, że w grupie byłych uczniów widzę ducha Vinki. Cudowna zjawa, blada i tajemnicza, sunęła do przodu, ubrana w krótką halkę, czarną ramoneskę, siatkowe rajstopy i botki do kostki.

Daleka, niedosiężna, a jednak bardziej żywa niż wszyscy, którzy ją otaczali.

Annabelle

Sobota, 19 grudnia 1992

Nazywam się Annabelle Degalais. Przyszłam na świat we Włoszech, w piemonckiej wiosce, pod koniec lat czterdziestych. W szkole przezywano mnie „Austriaczka”. Dziś dla uczniów i profesorów liceum, w którym pracuję, jestem Panią Dyrektorem. Nazywam się Annabelle Degalais i zanim zapadnie wieczór, stanę się morderczynią.

Zapada zmierzch. Nic nie zapowiada tragicznego końca pierwszego dnia ferii. Richard, mój mąż, wyjechał z dwojgiem z naszych trojga dzieci, zostawiając mnie samą u steru szkoły. Stoję na mostku kapitańskim, że tak powiem, od samego rana. Działanie i podejmowanie decyzji to moja specjalność. Niepogoda zdezorganizowała życie i wprowadziła zamieszanie. Mogę odetchnąć dopiero po szóstej wieczorem. Dawno wypiałam herbatę z termosu, więc wstaję, żeby pójść do pokoju nauczycielskiego, gdzie jest automat. W tym momencie otwierają się drzwi i na progu mojego gabinetu staje Vinca Rockwell.

– Dobry wieczór, Vinco! – mówię, gdy niezaproszona wchodzi do środka.

– Dobry wieczór.

Patrzę na nią niechętnie. Mimo lodowatego zimna ma na sobie tylko krótką skórzaną kurtkę, minisukienkę w kratkę i botki do kostki na wysokich obcasach. Od razu widzę, że jest naćpana.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – pytam.

– Dać mi siedemdziesiąt pięć tysięcy franków więcej.

Znam Vincę dobrze i doceniam ją, mimo że mój syn jest w niej beznadziejnie zakochany i cierpi z tego powodu. Vinca należy do kółka teatralnego, które prowadzę, jest jedną z moich zdolniejszych uczennic. Myśląca i zmysłowa jednocześnie, ma w sobie odrobinę szaleństwa, co czyni ją interesującą. Jest czytana, błyskotliwa, urodzona artystka. Komponuje piosenki w stylu PJ Harvey czy Leonarda Cohena – eleganckie, tajemnicze melodie, których kiedyś dała mi posłuchać.

– Siedemdziesiąt pięć tysięcy?

Vinca podaje mi brązową kopertę i nie czekając, aż ją zaproszę, pada na fotel naprzeciwko. Z koperty wysuwają się zdjęcia. Jestem i nie jestem zaskoczona. Nie cierpię specjalnie, gdyż wszystkie decyzje, jakie podejmuję w życiu, mają na celu jedno: stworzenie mi pancerza ochronnego. Ten pancerz to moja siła.

– Chyba nie najlepiej się czujesz, Vinco – mówię, zwracając jej kopertę.

– To pani nie będzie się dobrze czuła, kiedy rozdram te zdjęcia wszystkim rodzicom i kiedy wszyscy zobaczą, co za świnią z pani męża.

Vinca drży. Jest zdenerwowana, zmęczona i pewnie ma gorączkę.

– Dlaczego chcesz jeszcze siedemdziesiąt pięć tysięcy? Richard nie dał ci pieniędzy?

– Dał mi sto tysięcy, ale to za mało.

Rodzina Richarda pochodziła z Sologne i była od zawsze biedna. Pieniądze naszej rodziny są moje. Dostałam je od ojczyma, Roberta Orsiniego, który zarobił je własnymi rękami, stawiając eleganckie wille na całym wybrzeżu.

– Nie mam tylu pieniędzy przy sobie, Vinco.

Staram się zyskać na czasie, ale ona jest niecierpliwa.

– To niech pani je zdobędzie! Muszę je mieć najpóźniej do końca weekendu.

Widzę, że Vinca traci grunt pod nogami i kontrolę nad sobą. Z pewnością piła i nałykała się prochów.

– Nic ode mnie nie dostaniesz! – mówię stanowczo. – Pogardzam szantażystami! Richard był głupi, że w ogóle coś ci dał.

– Okay, sama pani tego chciała! – grozi Vinca, wstając. Wychodzi i trzaska drzwiami.

*

Przez chwilę siedzę bez ruchu. Myślę o synu bez pamięci zakochanym w tej dziewczynie i o tym, że właśnie zawala przez nią rok. Myślę też o mężu; Richard myśli wyłącznie kutasem. Myślę o swojej rodzinie, którą muszę chronić, i myślę o Vince. Wiem, skąd bierze się towarzysząca jej wszędzie trująca aura. Nikt nie umie wyobrazić sobie tej dziewczyny za jakiś czas. Wszyscy odbieramy ją jako spadającą gwiazdę, która w nieskończoność będzie miała dwadzieścia lat.

W końcu wychodzę w ciemną, śnieżną noc. Z trudnością pokonuję białe zasy, idąc do pawilonu Nicolasa de Staëla. Muszę przemówić Vince do rozsądku. Otwiera mi drzwi, spodziewając się pieniędzy.

– Posłuchaj, Vinco. Najwyraźniej źle się czujesz. Przyszłam ci pomóc. Powiedz, czemu to robisz? Na co ci te pieniądze?

Dziewczyna wpada w szal. Zaczyna mi grozić. Proponuję wezwać lekarza albo wybrać się na wycieczkę do szpitala.

– Nie jesteś w normalnym stanie. Chcę ci pomóc.

Ze wszystkich sił staram się ją uspokoić, ale nie daję rady. Zachowuje się jak nawiedzona, gotowa na wszystko. Raz płacze, raz śmieje się złowieszczo. Nagle wyjmuję z kieszeni test ciążowy.

– To вина pani ukochanego mężulka!

Po raz pierwszy ja, kobieta gład, po której wszystko spływa, jestem wstrząśnięta. Grunt usuwa mi się spod stóp. Nie wiem, jak zareagować na to trzęsienie ziemi. Widzę koniec mojej dotychczasowej egzystencji. Koniec mojej rodziny. Nie mogę trwać beczynn timer, gdy wokół mnie wszystko staje w ogniu przez

tę głupią dziewiętnastoletnią piromankę! Vinca wciąż mnie prowokuje. Mój wzrok pada na kopię rzeźby Brâncușiego, prezent, który kupiłam w Luwrze dla syna. Tymczasem Thomas lekką ręką dał ten prezent jej! Mgła zasnuwa mi oczy. Chwytam rzeźbę i uderzam nią z całych sił w głowę Vinki. Dziewczyna osuwa się na podłogę jak szmaciana lalka.

*

Jestem w szoku. Czas stanął w miejscu. Pustka. Mój mózg zastygł niczym biały świat za oknem. Gdy odzyskuję świadomość, widzę od razu, że Vinca nie żyje. Jasne, że muszę zyskać na czasie. Wciągam ją na łóżko, kładę na boku, żeby nie było widać rany, i przykrywam kocem.

Kampus przypomina upiorne mokradła. Z ulgą wracam do ciepłego gabinetu. Opadam na fotel. Trzy razy dzwonię do Francisa, który nie odpowiada. To koniec.

Zamykam oczy. Muszę się skupić. Jestem roztrzęsiona, a życie mnie nauczyło, że spokój pozwala rozwiązać dużo problemów. Oczywiście przede wszystkim należy pozbyć się ciała Vinki, zanim ktoś ją znajdzie. Możliwe, ale trudne. Inne plany rozbijają się o przeszkodę nie do przebycia: skandal, jaki wywoła zniknięcie spadkobierczyni rodziny Rockwellów na terenie liceum. Klan przeznaczy na odnalezienie jej ogromne środki. Policja dokładnie wszystko przeszuka, wezwie ekspertów kryminologów, zbierze zeznania uczniów, znajomych Vinki. Może znajdzie się świadek jej romansu z Richardem. Autor zdjęć też pewnie się ujawni, żeby kontynuować szantaż albo żeby pomóc policji. Sytuacja bez wyjścia.

Pierwszy raz w życiu czuję, że wpadłam w pułapkę. Będę musiała się poddać. O dziesiątej wieczorem postanawiam zadzwonić na posterunek żandarmerii. Już mam podnieść słuchawkę, gdy widzę Francisa idącego wraz z Ahmedem wzdłuż budynku biblioteki w kierunku mojego biura. Wychodzę im naprzeciw. Francis także wygląda dziwnie.

– Annabelle! – woła, przeczuwając nieszczęście.
– Zrobiłam coś strasznego! – jęczę i rzucam się w jego ramiona.

*

Opowiadam mu o strasznym spotkaniu z Vincą Rockwell.
– Odwagi! – szepcze Francis, kiedy w końcu milknę. – Ja też mam ci coś do opowiedzenia.

Myślałam, że spotkało mnie najgorsze, tymczasem po raz drugi tego dnia dostaję obuchem w głowę. Francis relacjonuje zabójstwo Alexisa Clémenta i mówi, że wplątani w to są nasi synowie, Thomas i Maxime. Oznajmia, że korzystając z robót w hali sportowej, zamurowali z Ahmedem zwłoki Clémenta w jednej ze ścian. Dodaje, że na początku w ogóle nie chciał mi o tym mówić.

Obejmuje mnie, zapewnia, że znajdzie rozwiązanie, przypomina, jak dużo przeszkód pokonaliśmy, wspierając się wzajemnie.

*

On wpada na to pierwszy. Stwierdza, że paradoksalnie zaginięcie dwóch osób jest mniej niepokojące niż jednej. Śmierć Vinki może pomóc w ukryciu śmierci Alexisa i odwrotnie, jeśli uda nam się połączyć ich losy.

Przez dwie długie godziny pracujemy nad stosownym scenariuszem. Informuję Francisa o domniemanym romansie Vinki z Clémentem – mój syn mówił coś o listach miłosnych, które złamały mu serce. To dodaje Francisowi otuchy, ale mnie – nie. Nawet jeśli zdołamy ukryć ciała, śledztwo skoncentruje się na terenie szkoły i nie wiem, czy wytrzymamy to psychicznie. Francis rozważa argumenty za i przeciw, bierze też pod uwagę pójście na policję i wzięcie zbrodni na siebie. Po raz pierwszy

jestemy u progu kapitulacji. Nie dlatego, że brak nam woli czy odwagi, lecz po prostu są pojedynki, których nie sposób wygrać.

Nagle ktoś gwałtownie wali w szybę. Odwracamy się i widzimy spanikowaną dziewczynę. To nie duch Vinki Rockwell, ale Fanny Brahimy – pozwoliłam jej spędzić ferie w internacie.

– Pani dyrektor! Pani dyrektor!

Spoglądamy na siebie z Francisem. Fanny mieszka w tym samym pawilonie co Vinca. Jestem pewna, że znalazła ciało.

– To koniec, Francis! – mówię. – Dzwoń na policję.

Drzwi gabinetu otwierają się i zapłakana Fanny pada mi w ramiona. Jeszcze nie zdaję sobie sprawy z faktu, że Bóg zesłał mi rozwiązanie problemu. Bóg Włochów, oczywiście. Ten, do którego wznosiliśmy modły jako dzieci w kapliczce w Montaldicio.

– Zabiłam Vincę! – mówi Fanny, szlochając. – Zabiłam Vincę!

Najpiękniejsza w szkole

*Najlepszym sposobem obrony
jest nie odpłacać pięknym za
nadobne.*

Marek Aureliusz

1

Wyszedłem z pogotowia o drugiej w nocy. Czy śmierć ma zapach? Jeśli tak, jest to unosząca się na korytarzach szpitala woń lekarstw i środków odkażających.

Maxime spadł z ponad ośmiu metrów na asfaltową ścieżkę. Upadek zamortyzowała roślinność porastająca zbocze, ale i tak miał pogruchothane nogi, żebra, miednicę i kręgosłup.

Wziąłem ze sobą Oliviera i ruszyliśmy moim samochodem za karetką wiozącą Maxime'a. Przez chwilę go widziałem, był posiniaczony, unieruchomiony do pasa, błydy i podłączony do kroplówek. Uświadomiłem sobie z bólem, że nie udało mi się go ochronić.

W rozmowie z Olivierem lekarze wazyli słowa. Maxime był nieprzytomny. Niskie ciśnienie mimo zastrzyków z noradrenaliny niewiele się podniosło. Miał uraz czaszki, stłuczenie, a może nawet krwiaka mózgu. Usiedliśmy w poczekalni, ale uprzedzono nas, że nasza obecność nie na wiele się przyda. Rokowania były niepomyślne, czekano na wyniki tomografii. Nadchodzące siedemdziesiąt dwie godziny

miały być decydujące. Zrozumiałem, że życie Maxime'a wisi na włosku. Olivier postanowił zostać. Mnie radził iść do domu, odpocząć.

– Naprawdę fatalnie wyglądasz, a poza tym wolę być sam – oznajmił.

I tak nie chciałem być obecny podczas ewentualnego wywiadu policji, więc wyszedłem. Na dworze lało jak z cebra. W kilka godzin pogoda kompletnie się zmieniła. Wiatr ustał, niebo znikło pod grubą warstwą burych chmur, błyskało i grzmiało.

Pobiegłem do mercedesa mamy. Spojrzałem na komórkę – żadnych wiadomości od ojca ani od Fanny. Próbowałem dzwonić, ale bezskutecznie. No tak! Cały tata. Odnalazł matkę, inni zatem mogli pójść do diabła!

Włączyłem silnik, lecz nie ruszałem z parkingu. Było mi zimno. Oczy mi się zamykały, w gardle miałem sucho, męczył mnie kac. Dawno nie czułem takiego wyczerpania. Nieprzespana noc w samolocie, zresztą noc przed wyjazdem również. Zmiana strefy czasowej, za dużo alkoholu, stres. W głowie miałem mętlik. Uspiał mnie monotony dźwięk deszczu uderzającego o blaszany dach. Osunąłem się na kierownicę.

„Thomas, musimy pogadać! Odkryłem coś bardzo ważnego...” – dźwięczały mi w uszach ostatnie słowa Maxime'a. Co takiego niecierpiącego zwłoki chciał mi powiedzieć? Co odkrył? Przyszłość rysowała się ponuro. Nie skończyłem jeszcze swojego śledztwa, ale powoli przywykałem do myśli, że nie znajdę Vinki.

Alexis, Vinca, ojciec Maxime'a, Maxime – lista ofiar wydłużała się. Powinienem to zakończyć, ale jak? W samochodzie matki unosił się zapach mojego dzieciństwa, perfum, których kiedyś używała, Jicky Guerlaina. Pachniały tajemniczo i odurzająco. Rzeńskie wonie Prowansji – lawendy, cytrusów i rozmarynu – zmieszane z narkotycznym zapachem skóry i cybetu. Przez moment byłem jak zaczarowany... Wszystkie drogi prowadziły do matki.

Włączyłem lampkę w suficie. Ile może kosztować taki samochód? Pewnie ze sto pięćdziesiąt tysięcy euro. Skąd mama wzięła na to forszę? Rodzice mieli dobre emerytury i śliczny dom, który kupili pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy ceny nieruchomości na Lazurowym Wybrzeżu były dostępne dla zwykłych śmiertelników. Ten samochód w ogóle do niej nie pasował. Nagle olśniło mnie: matka nieprzypadkowo zamieniła się ze mną autami! Zaplanowała to. Wróciłem myślami do dzisiejszego popołudnia. Postawiła mnie przed faktem dokonanym. Nie zostawiła mi innego wyjścia, musiałem wziąć jej samochód. Ale dlaczego?

Przyjrzałem się pękowi kluczy. Klucz od auta, klucz od domu, trochę dłuższy kluczyk od skrzynki pocztowej i jeszcze jeden dość duży klucz obciążony czarną gumą. Na tym luksusowym breloku – owal z ziarnistej skóry ozdobiony splecionymi, błyszczącymi literami A i P – wisiały klucze otwierające trzy sezamy. Jeśli A oznaczało Annabelle, do kogo odnosiło się P?

Uruchomiłem GPS, sprawdziłem dwa adresy wprowadzone do niego na stałe. Nic nie zwróciło mojej uwagi. Wcisnąłem pierwszy adres: dom. Chociaż szpital znajdował się w odległości niecałych dwóch kilometrów od dzielnicy Constance, GPS wyliczył dystans dwudziestu kilometrów skomplikowaną trasą wybrzeżem w kierunku Nicei.

Odblokowałem hamulec ręczny i wyjechałem z parkingu, zdziwiony i zakłopotany. Zastanawiałem się, co to za nieznanne mi miejsce mama uważała za swój dom.

2

Noc, ulewa, na drodze pustka. GPS doprowadził mnie pod wskazany adres w niecałe dwadzieścia minut. Było to strzeżone osiedle w połowie drogi między Cagnes-sur-Mer i Saint-Paul-de-Vence, Aurelia Park. Dom ojca Maxime'a. Tu został zamordowany. Zaparkowałem samochód we wnęce trzydzieści

metrów od wielkiej żelaznej kraty strzegącej wejścia. Po fali włamań i kradzieży z zeszłego roku musiano wzmocnić ochronę i przed stróżówką stał na warcie cieć o wyglądzie ordynansa.

Wyprzedziło mnie jakieś maserati i podjechało pod wjazd. Były dwie możliwości dostania się do wewnątrz: na lewo goście musieli przedstawić się stróżowi, na prawo wjeżdżali mieszkańcy osiedla, czujnik skanował ich tablicę rejestracyjną i automatycznie otwierał kratę. Nie wyłączając silnika, zastanowiłem się. Inicjały A i P wyglądały na pierwsze litery nazwy tego osiedla – Aurelia Park. Ojciec Maxime’a był jednym z jego deweloperów. Nagle coś mi się przypomniało: mama miała na drugie imię Aurelia. Wolała je od Annabelle. Ach, no i z pewnością to ojciec Maxime’a ofiarował matce mercedesa!

A więc moja matka i ojciec Maxime’a byli kochankami? Nigdy do tej pory nie przyszło mi to do głowy, ale teraz... Włączyłem migacz i podjechałem z prawej strony. Wciąż lało jak z cebra, strażnik na pewno mnie nie widział. Czujnik zeskanował numer tablicy rejestracyjnej i brama się podniosła. No tak...

Jechałem powoli wąską asfaltową drogą między sosnami i drzewami oliwnymi. Osiedle Aurelia Park, wybudowane pod koniec lat osiemdziesiątych, służyło z gigantycznego parku krajobrazowego, zaprojektowanego przez deweloperów. Rosły tu egzotyczne rośliny i przecinała go sztucznie stworzona rzeka, której powstanie było wyczynem szeroko komentowanym w ówczesnej prasie.

Na tym ogromnym terenie wzniesiono około trzydziestu oddalonych od siebie domów. Pamiętałem z artykułu przeczytanego kiedyś w „L’Obs”, że dom ojca Maxime’a nosił numer 27 i stał w najwyższym punkcie, za barierą z gęstej roślinności. W ciemnościach dostrzegłem zarysy palm i wielkich magnolii. Zatrzymałem się przed dużą bramą z kutego żelaza, wystającą z grubego, cyprysowego żywopłotu. Wysiadłem z samochodu.

Gdy podszedłem bliżej, usłyszałem kliknięcie i brama się otworzyła. Klucz, który miałem przy sobie, okazał się kluczem

inteligentnym. Wszedłem na podjazd z kamiennych płyt i zaskoczył mnie dobiegający z bliska szmer; miałem wrażenie, że u moich stóp płynie strumień. Spostrzegłem guzik i go nacisnąłem. Ogród i tarasy rozbłysły światłem. Obszedłem budowlę dokoła i zrozumiałem – podobnie jak słynny dom nad wodospadem projektu Franka Lloyda Wrighta, dom ojca Maxime'a też postawiono bezpośrednio nad wodą.

Nowoczesna konstrukcja nie miała nic wspólnego z Prowansją ani z Morzem Śródziemnym, raczej z architekturą amerykańską. Dwa piętra ze szkła, jasnego kamienia i zbrojonego betonu, osadzone na wspornikach, wtapiały się harmonijnie w skalisty płaskowyż.

Podszedłem do drzwi i cyfrowy zamek natychmiast się odblokował. Bałem się alarmu. Rzeczywiście na ścianie zauważyłem skrzynkę, ale nic się nie włączyło. Tu również wystarczyło nacisnąć guzik, żeby wszędzie zabłysło światło. Moim oczom ukazało się olśniewające wnętrze.

Na parterze znajdowały się salon, jadalnia i otwarta kuchnia. Przestrzeń przedzielono ściankami z jasnego drewna, przepuszczającymi światło, jak w japońskich domach.

Zrobiłem krok do przodu i rozejrzałem się. Zupełnie inaczej wyobrażałem sobie mieszkanie ojca Maxime'a. Było tu elegancko i przytulnie. Ogromny kominek z białego kamienia, dębowe, jasne belki na suficie, meble z drewna orzechowego o zaokrąglonych kantach. Na barku stała do połowy wypita butelka piwa, co wskazywało, że niedawno ktoś tu był. Obok paczka papierosów i zapalniczka z laki, ozdobiona japońską ryciną.

Zippo Maxime'a...

No tak, Maxime przyszedł tu zaraz po naszej rozmowie w domu moich rodziców. To, co odkrył, wzburzyło go i wybiegł, zapominając papierosów i zapalniczki.

Podchodząc do rozsuwanych okien tarasowych, uświadomiłem sobie, że w tym miejscu został zamordowany ojciec Maxime'a. Upadł niedaleko kominka, tam go torturowano,

może nawet zostawiono nieprzytomnego, a on podczołgał się po śliskim parkiecie pod szklaną ścianę zawieszoną nad rzeką. Stamtąd udało mu się zadzwonić do mamy, ale nie wiedziałem, czy odebrała telefon.

3

Mama...

Wszędzie tutaj czułem jej obecność. Sposób ustawienia mebli, dekoracja wnętrza – była tu u siebie. To był jej dom.

Coś trzasnęło. Odwróciłem się i stanąłem z nią twarzą w twarz. A raczej z jej zdjęciem na ścianie po drugiej stronie salonu, w bibliotece. Podeszedłem obejrzeć resztę fotografii. Powoli odsłaniała się przede mną historia, o której nie miałem pojęcia. Na ścianie wisiało około piętnastu fotografii przedstawiających drugie życie Francisa i Annabelle, czyli ojca Maxime'a i mojej matki. Życie to trwało wiele lat. Objechali razem cały świat, czego dowodziły zdjęcia z najciekawszych miejsc na kuli ziemskiej: pustynia afrykańska, Wiedeń pod śniegiem, tramwaj w Lizbonie, Islandia, wodospad Gullfoss, Toskania i cypryś, szkocki zamek Eilean Donan, Nowy Jork sprzed wrześnieowego zamachu.

Największe wrażenie zrobiły jednak na mnie ich twarze, zawsze uśmiechnięte, pełne spokoju i poczucia spełnienia. Dostałem gęsiej skórki. Mama i ojciec Maxime'a byli w sobie bezgranicznie zakochani! Przez całe lata łączyło ich w tajemnicy przed wszystkimi wielkie, namiętne uczucie. Nikt nic nie podejrzewał, nikt nic nie wiedział.

Dlaczego?

Przecież nie musieli się chować! Mogli nawet się pobrać.

W głębi duszy czułem, dlaczego tego nie uczynili. Odpowiedź była skomplikowana. Wiązało się to z ich charakterami. Uparci i stanowczy, zbudowali sobie własny komfortowy świat. Byli silnymi osobowościami, ludźmi płynącymi pod prąd, walczyli

z przeciętnością i z piekłem, które potrafili stworzyć mieszkańcy globu. Piękna i Bestia. Z natury pogardzali konwenansami, kodami społecznymi i małżeństwem.

Rozpłakałem się. Z pewnością dlatego, że na zdjęciach, gdzie mama się uśmiechała, odnajdywałem mamę z dzieciństwa, której łagodność i dobroć przebijały czasem przez zimną maskę Austriaczki. Nie byłem głupi, nie wymyśliłem tego, druga mama istniała i teraz miałem na to dowód.

Wytarłem wciąż ciekące łzy. Byłem do głębi poruszony podwójnym życiem mamy i ojca Maxime'a oraz tą wyjątkową historią miłosną. Prawdziwa miłość bez konwenansów, wspaniałe czyste uczucie, które ich związało, istniało naprawdę, podczas gdy ja musiałem zadowolić się surogatem, historiami, jakie wymyślałem i opisywałem w książkach.

Moją uwagę przykuło ostatnie zdjęcie. Mała fotografia w kolorze sepii, stare klasowe zdjęcie zrobione na rynku w jakiejś wiosce, podpisane ręcznie: *Montaldicio, 12 października 1954*. Usadzone w trzech rzędach dzieciaki mają około dziesięciu lat. Wszystkie są czarnowłose, z wyjątkiem jasnookiej blondyneczki z boku. Wszystkie patrzą w obiektyw, z wyjątkiem drobnego chłopca o okrągłej, stanowczej buzi. Fotograf naciska spust, a Francis odwraca się i dosłownie pożera oczami Austriaczkę. Najpiękniejszą dziewczynkę w szkole. Cała ich historia jest na tym zdjęciu. Wszystko narodziło się tam, w tej włoskiej wiosce, w której dorastali.

4

Podwieszane schody z jasnego drewna prowadziły do sypialni. Od razu rzucało się w oczy, że całe pierwsze piętro było królestwem właścicieli domu. Gabinety, garderoby, sauna. Dzięki przeszklonym ścianom jeszcze bardziej niż na parterze zacierały tu się granice między domem a ogrodem. Miejsce było cudownie położone, z lasem tuż-tuż, a szum płynącej rzeki mieszał się

z odgłosem padającego deszczu. Oszklony taras kończył się krytym basenem, skąd cieszył oczy widok nieba i wiszącego ogrodu, obrośniętego glicynią, mimozą i japońską wiśnią.

Przez chwilę miałem ochotę zawrócić, przestraszyłem się tego, co odkryję. Jednak nie mogłem dłużej zwlekać. Pchnąłem drzwi sypialni. Tu królowała jeszcze większa intymność. Znów zdjęcia – ale tym razem byłem na nich ja, na każdym etapie dzieciństwa. Od dawna czułem, że badając historię Vinki, badam moje własne dzieje.

Najstarsza, czarno-biała, fotografia była podpisana: *Oddział położniczy szpitala Jeanne-d'Arc, 8 października 1974, narodziny T.* Przodek dzisiejszego selfie: aparat trzyma ojciec Maxime'a, obejmując moją mamę z noworodkiem na rękach. Ten noworodek to ja.

Konsternacja. Oczywiście. Prawda jest jak uderzenie obuchem, wzruszenie zbija mnie z nóg. Wszystko robi się zrozumiałe, układa się w logiczną całość, ale ja cierpię. Wpatruję się w ojca Maxime'a i mam wrażenie, że przeglądam się w lustrze. Jak mogłem tego nie zauważyć? Wreszcie rozumiem, dlaczego nigdy nie czułem się jak syn Richarda, dlaczego zawsze uważałem Maxime'a za brata, dlaczego zawsze biegłem na pomoc ojcu Maxime'a.

Oszołomiony usiadłem na brzegu łóżka i wytarłem twarz z łez. Jestem synem Francisa Biancardiniego. Ciężar spadł mi z serca, lecz jednocześnie poczułem straszny żal, że już nigdy z nim nie pogadam. No i czy Richard wiedział o tym i o podwójnym życiu, jakie prowadziła jego żona? Być może wiedział, ale... Może coś czuł, ale nie chciał tego zgłębiać i nie za bardzo rozumiał, dlaczego żona toleruje jego niezliczone zdrady.

Wstałem i podeszedłem do drzwi, zaraz jednak cofnąłem się po zdjęcie z porodówki. W końcu było ono moim dowodem tożsamości. Pod ramką ujrzałem w ścianie mały sejf z klawiaturą sugerującą sześciocyfrowy kod. Niemożliwe, żeby tym kodem była moja data urodzenia... Na pewno nie, ale spróbowałem. Czasem rzecz najbardziej oczywista okazuje się prawdziwa.

Drzwiczki sejfów otworzyły się ze szczękiem. Szafka nie była głęboka. Sięgnąłem do środka i wyjąłem słynny rewolwer, którym ojciec Maxime'a nie zdążył się posłużyć podczas napadu. Obok w płóciennym woreczku znalazłem dziesięć nabołów kalibru 38. Broń mnie nigdy nie fascynowała, raczej mnie od niej odpychało. Wszedłem w ten temat głębiej wyłącznie z powodu moich powieści. Podniosłem rewolwer i zważyłem go w dłoni. Zwarty, ciężki, wyglądał na starego smitha & wesson, model 36. Słynny Chiefs Special, stalowy, z drewnianą rękojeścią.

Czy schowanie rewolweru za tą fotografią miało jakiś ukryty sens? Niby że szczęście i prawdziwa miłość wymagają ochrony za wszelką cenę? Że tą ceną mogą być łzy i krew? Wsunąłem pięć kul do magazynka i zatknąłem broń za pasek. Nie byłem pewien, czy będę umiał jej użyć, ale czułem, że wszędzie czyha niebezpieczeństwo. Ktoś postanowił wyeliminować wszystkich odpowiedzialnych za śmierć Vinki. Z pewnością byłem następny na liście.

Gdy zszedłem na dół, zadzwoniła moja komórka. Wahałem się, czy odebrać... Kiedy ktoś do ciebie dzwoni o trzeciej nad ranem z zastrzeżonego numeru, nigdy nie jest to dobry znak. W końcu odebrałem. Policja z Antibes. Komisarz Vincent Debruyne oznajmił, że moja matka nie żyje. Znalezione jej ciało, a mój ojciec twierdzi, że to on ją zabił.

Annabelle

Antibes

Sobota, 13 maja 2017

Nazywam się Annabelle Degalais. Przyszłam na świat we Włoszech, w piemonckiej wiosce, pod koniec lat czterdziestych. Nadchodzące minuty będą być może ostatnimi w moim życiu.

W środku nocy dwudziestego piątego grudnia zadzwonił do mnie Francis i tuż przed śmiercią wyszeptał: „Uważaj na Thomasa i Maxime’a!”.

Zrozumiałam od razu, że wróciła przeszłość, a wraz z nią niebezpieczeństwo i śmierć. Gdy przeczytałam w gazetach, jak torturowano Francisa, zrozumiałam, że ta historia mogła się zakończyć tylko tak, jak się zaczęła: we krwi i trwodze.

Przez dwadzieścia pięć lat udawało nam się trzymać przeszłość na odległość. W obronie dzieci zamknęliśmy na cztery spusty wrota do naszego życia. Zatarliśmy wszystkie ślady. Nawet jeśli z czasem przestaliśmy być chorobliwie ostrożni, czujność stała się naszą drugą naturą. Zdarzały się dni, gdy oddychałam z ulgą, ale to był błąd.

Kiedy Francis umarł, umarłam razem z nim. Serce mi pękło. W karetce wiozącej mnie do szpitala byłam już jedną nogą na tamtym świecie, lecz przypomniałam sobie o synu, którego musiałam chronić. Zabrano mi Francisa, ale nie zabiorą mi Thomasa.

To będzie mój ostatni czyn: zniszczyć osobę zagrażającą przyszłości mojego syna. I kazać jej zapłacić za śmierć jedyne go człowieka, którego kiedykolwiek kochałam.

Gdy wypuścili mnie ze szpitala, zaczęłam się zastanawiać. Kto po tylu latach mógł jeszcze pałać żądzą zemsty? Kto miał w sobie tyle wściekłości, nienawiści i determinacji? Nie jestem już młoda, ale myślę jasno. Staralam się ze wszystkich sił znaleźć odpowiedź, ale mi się nie udało. Wszyscy, którzy pragnęli zemsty, zmarli lub byli bardzo starzy. Między tryby naszej spokojnej egzystencji wślizgnęło się coś nieprzewidzianego, co groziło katastrofą. Vinca zabrała do grobu sekret, który nam umknął, a który dziś zmartwychwstał, siejąc śmierć na swojej drodze.

Szukałam wszędzie, bez skutku. Aż do chwili, kiedy Thomas przyniósł z piwnicy i rozłożył na stole w kuchni swoje bambetle. Nagle wszystko stało się jasne! Miałam ochotę popłakać się z wściekłości. Wszystko było widoczne jak na dłoni! Po prostu przegapiliśmy pewien szczegół.

*

Gdy dojeżdżam do Cap d'Antibes, jeszcze jest jasno. Zatrzymuję się przed białą fasadą domu przy bulwarze Bacon. Nie widać po niej, jak wielka posiadłość rozciąga się za murem. Stawiam samochód wzdłuż zaparkowanych wozów, bo nie ma wolnych miejsc. Dzwonię do bramy. Ogrodnik podcinający żywopłot mówi, że osoba, której szukam, wyszła na spacer z psami ścieżką Tire-Poil.

Wsiadam z powrotem do auta i jadę kilka kilometrów dalej, na mały parking przy plaży Keller – tam gdzie przecina się droga Garoupe z aleją André-Sella. Wokół mnie pustka. Wyciągam z bagażnika jedną ze strzelb Richarda.

Aby dodać sobie odwagi, wspominam niedzielne polowania w gęstych lasach z moim ojczymem. Uwielbiałam je. Przeważnie milczeliśmy, lecz chwile, które dzieliliśmy ze sobą, były warte więcej niż najdłuższe rozmowy. Pamiętam naszego setera, kochanego Butcha. Cudownie wyszukiwał perliczki, bekasy i zające. Nie miał sobie równych w naganianiu zwierzyny.

Ważę broń w dłoni, gładzę naoliwioną kolbę z orzechowego drewna i przez chwilę przyglądam się delikatnym grawerunkom na stalowej lufie. Jednym ruchem łamię strzelbę i wkładam do komory dwa naboje. Ruszam wąską ścieżką nad brzegiem.

Po pięćdziesięciu metrach widzę barierkę. *Strefa zagrożenia, wejście wzbronione*. To z powodu ogromnych fal w ostatnią środę, pewnie obsunął się teren. Obchodzę barierkę dokoła, przeskakując przez wystające skały.

Morskie powietrze mnie orzeźwia. W oddali widzę piękny masyw Alp. Stamtąd pochodzę. Za ostrym zakrętem spostrzegam wysoką, szczupłą sylwetkę mordercy Francisa i trzy brytany, które spoglądają w moim kierunku.

Podnoszę strzelbę do oka, biorę cel na muszkę. Wiem, że nie będę miała drugiej szansy.

Suchy, krótki strzał. Wraca do mnie falą cała moja przeszłość.

Montaldicio, włoskie pejzaże, szkoła, rynek w naszej wiosce, wyzwiska, przemoc, krew, duma, że nie upadam, uroczy uśmiech trzyletniego Thomasa, wielka miłość mężczyzny innego niż wszyscy...

Wszystko, co liczyło się w moim życiu.

16

Noc wciąż na ciebie czeka

*Uwierz, że noc wciąż na ciebie
czeka.*

René Char

1

Tej burzowej nocy ulice Antibes wyglądały jak ochlapane grubą warstwą kleistej farby, którą niezręczny malarz wylał na płótno.

Była czwarta rano. Spacerowałem w deszczu przed komisariatem przy alei Frères-Olivier. Włożyłem pelerynę, ale woda z włosów ściekała mi pod koszulę. Z komórką przyklejoną do ucha starałem się przekonać najlepszego nicejskiego adwokata, żeby zajął się sprawą mojego ojca, gdyby areszt się przedłużył.

Dusiłem się pod lawiną wydarzeń tragicznych w skutkach. Godzinę wcześniej, gdy opuściłem Aurelia Park, dałem się złapać żandarmom za przekroczenie prędkości. Zdenerwowany, wjechałem na autostradę i nieświadomie przyspieszyłem do stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Kazali mi dmuchać w balonik i te wszystkie koktajle oraz wódka kosztowały mnie natychmiastowe zawieszenie prawa jazdy. Musiałem wezwać kogoś na pomoc. Uratował mnie Pianelli. Wiedział już o śmierci mojej mamy. Obiecał, że będzie jak najprędzej. Przyjechał SUV-em z małym Ernestem, który spał jak zabity na tylnym siedzeniu.

W samochodzie pachniało piernikiem i chyba nigdy nie był w myjni. Gdy jechaliśmy na komisariat, Pianelli pokrótce opowiedział mi o ostatnich zdarzeniach, uzupełniając informacje, jakie otrzymałem od komisarza Debruyne'a. Ciało mamy znaleziono w Cap d'Antibes, na skalistej nadmorskiej ścieżce. Zgon stwierdziła policja wezwana przez zaniepokojonych mieszkańców, którzy usłyszeli strzały.

– Przykro mi to mówić, Thomas, ale zginęła w strasznych okolicznościach. Tu, w Antibes, nigdy nie widzieliśmy czegoś takiego.

W samochodzie wciąż świeciła się lampka w suficie. Pianelli drżał. Błady, w stanie szoku, nigdy jeszcze nie spotkał się z podobną tragedią i to wśród ludzi, których znał osobiście. Mnie znieczuliły wyczerpanie, smutek i ból.

– W pobliżu miejsca zbrodni znaleziono strzelbę, ale Annabelle nie zginęła od kuli – powiedział.

Ledwo mówił i musiałem bardzo naciskać, żeby wyciągnąć z niego resztę.

Relacjonowałem to teraz przez telefon miejscowemu Dupondowi-Morettiemu: twarz mojej matki była zmasakrowana ciosami kolby. Oczywiście nie zrobił tego ojciec, który pojechał tam od razu po rozmowie ze mną. Kiedy dotarł na miejsce, mama już nie żyła. Upadł we łzach na skały i niepotrzebnie jęczał, patrząc na zwłoki żony: „To ja ją zabiłem!”. Powiedziałem adwokatowi, że słów ojca nie należy brać dosłownie. Było jasne, że nie przyznawał się w ten sposób do zamordowania żony, tylko żałował, że nie udało mu się zapobiec jej śmierci. Adwokat zgodził się ze mną i obiecał pomóc.

Ciągle lało, gdy się rozłączyłem. Wbiegłem pod daszek przystanku autobusowego przy placu Général-de-Gaulle i odbyłem dwie kolejne przykre rozmowy. Najpierw zadzwoniłem do Port-au-Prince, potem do Paryża, żeby zawiadomić o śmierci matki mojego brata i siostrę. Jérôme, jak to on, mimo załamania zachował spokój, natomiast wymiana zdań z siostrą była absurdalna. Myślałem, że jest u siebie,

w siedemnastej dzielnicy, tymczasem wyjechała na weekend do Sztokholmu w towarzystwie nowego narzeczonego. Nie miałem pojęcia, że rok wcześniej się rozwiodła. Powiedziała mi o tym, a ja poinformowałem ją o śmierci mamy, nie wchodząc specjalnie w szczegóły. Dostała takiego ataku płaczu, że nie mogliśmy jej uspokoić – ani ja, ani ten typ, który spał obok niej.

Potem przez dłuższą chwilę spacerowałem bez celu w ulewnym deszczu. Musiała pęknąć jakaś rura wodociągowa, wybijając asfalt, bo plac wyglądał jak jezioro. Podświetlone fontanny wciąż wyrzucały z siebie strumienie wody, które razem z ulewą tworzyły mokry woal.

Przemoczony i lepki od deszczu, czułem się zdruzgotany, wypalony. Mgła wygłuszała moje kroki i zasłaniała widok, nie widziałem już ani placu, ani chodnika, ani żadnych znaków na asfalcie. Miałem wrażenie, że zasnęła również moje moralne priorytety i punkty odniesienia. Nie rozumiałem, jaką rolę odgrywam w tej wyniszczającej historii, w tym kryminale bez końca, w który zostałem wplątany bez swojej woli.

2

Nagle mgłę rozdarło światło reflektorów samochodowych. SUV Pianellego!

– Wsiadaj, Thomas! – rzucił, spuszczając szybę. – Tak myślałem, że nie będziesz miał jak wrócić. Podrzucę cię do domu.

Wykończony zgodziłem się. Siedzenie pasażera było w dalszym ciągu zarzucone rupieciami, usiadłem więc z powrotem obok śpiącego Ernesta.

Pianelli wracał z redakcji „Nice-Matin”. Wiadomość o śmierci mamy nie ukaże się w porannym wydaniu, gdyż minął już wieczorny deadline. Pianelli wpadł do biura, żeby zrobić notatkę do wydania internetowego.

– Nie martw się, nie wspomniałem ani o twoim ojcu, ani o podejrzeniach, które na nim ciążyą! – zapewnił mnie.

Jechaliśmy wybrzeżem w kierunku Fontonne. Pianelli powiedział, że wcześniej tego wieczoru wstąpił do szpitala, żeby dowiedzieć się o stan Maxime'a, i spotkał Fanny.

– Była roztrzęsiona! Nigdy nie widziałem jej w takim stanie! – dodał.

Mimo zmęczenia poczułem strach.

– Mówiła coś? – spytałem.

Staliśmy na skrzyżowaniu obok La Siesty. Najdłuższe czerwone światło, jakie znałem...

– Powiedziała mi wszystko, Thomas. Przyznała się, że zabiła Vincę i że twoja matka oraz ojciec Maxime'a pomogli jej to zataić.

Teraz lepiej rozumiałem jego zdenerwowanie. Dowiedział się nie tylko o strasznej śmierci mojej matki, ale też o tym morderstwie.

– Wspominała, co się stało z Clémentem?

– Nie. To jedyny element zagadki, którego mi brak.

Światło zmieniło się na zielone. Wjechaliśmy na drogę do Constance. Byłem wyczerpany, w głowie miałem sieczkę. Wydawało mi się, że ten dzień nigdy się nie skończy. Że zaleje nas wszystkich potop. Zbyt dużo niespodzianek, dramatów, śmierci i do tego groźba wisząca nad moimi najbliższymi. Tak więc zrobiłem to, czego nigdy nie wolno robić. Podniosłem przyłbicę. Przerwałem dwadzieścia pięć lat ciszy, bo uwierzyłem w szlachetność bliźniego. Chciałem, żeby Pianelli okazał się przyzwoitym facetem, dla którego ważniejsza będzie nasza przyjaźń niż ta cholerna gazeta.

Wypaplałem wszystko, łącznie z zabiciem Clémenta i tym, czego dowiedziałem się dzisiaj. Kiedy dojechaliśmy do domu rodziców, Pianelli zatrzymał samochód przed bramą i nie wyłączył silnika. Dyskutowaliśmy jeszcze pół godziny. Cierpliwie pomógł mi odtworzyć wydarzenia minionego dnia. Mama musiała usłyszeć moją rozmowę z Maxime'em. Podobnie jak ja, zauważyła różnice w piśmie między dedykacją w książce a adnotacjami na wypracowaniach szkolnych poprawianych przez Clémenta. Mnie nie mówiło to nic, tymczasem ona od razu

zidentyfikowała mordercę Francisa. Umówiła się z tą osobą albo wysłedziła ją na Cap d'Antibes i pojechała ją zabić. Udało jej się tam, gdzie my ponieśliśmy klęskę: zdemaskowała potwora, nikczemnego zbrodniarza.

Zapłaciła za to życiem.

– Teraz spróbuj odpocząć! – poradził Stéphane, klepiąc mnie serdecznie po plecach. – Jutro do ciebie zadzwonię i pojedziemy do szpitala, do Maxime'a.

Mimo że jego słowa były ciepłe jak nigdy, nie umiałem odpowiedzieć. Wysiadłem z auta, zatraskując drzwi. Nie miałem pilota do bramy i musiałem się na nią wdrapać. Pamiętałem, że można wejść do domu przez piwnicę i garaż, których rodzice nigdy nie zamykali na klucz. W salonie nie zapaliłem światła. Torbę i rewolwer Francisa położyłem na stole. Ściągnąłem z siebie mokre ubranie i zwałem się na kanapę. Opatuliłem się wełnianym kocem i zapadłem w sen.

Grałem i przegrałem na wszystkich frontach. Okoliczności zmówiły się przeciwko mnie i pękłem. To był najgorszy dzień w moim życiu. Lądując rano w Nicei, spodziewałem się oczywiście katastrofy, ale nie tak okrutnej, nie tak niszczyielskiej.

Anielski Ogród

*Może gdy będziemy umierać,
śmierć da nam klucz do tej
nieudanej przygody i opowie
nam dalszy ciąg.*

Alain-Fournier

Niedziela, 14 maja 2017

Gdy otworzyłem oczy, salon był skąpany w południowym słońcu. Spałem bez przerwy do prawie wpół do drugiej ciężkim, głębokim snem, który wyłączył mnie całkowicie z ponurej rzeczywistości.

Obudził mnie sygnał komórki. Nie zdążyłem odebrać, więc odsłuchałem wiadomość od ojca, który z telefonu swojego adwokata zawiadamiał, że go zwolniono i wraca do domu. Chciałem oddzwonić, ale siadła mi bateria. Ponieważ walizkę zostawiłem w wynajętym samochodzie, zacząłem szukać jakiejś ładowarki, lecz po chwili zrezygnowałem. Z telefonu stacjonarnego zadzwoniłem do szpitala w Antibes; niestety, nie udało mi się połączyć z nikim, kto mógłby mi powiedzieć cokolwiek o Maximie.

Wziąłem prysznic i narzuciłem na siebie koszulę od Charveta i marynarkę z wigonii, znalezione w szafie ojca. Po wyjściu z łazienki wypłem jedno po drugim trzy espresso, obserwując przez okno morze lśniąca wszystkimi odcieniami błękitu. Na stole w kuchni wciąż walały się rzeczy z piwnicy, na taborecie

stało ogromne kartonowe pudło, a na drewnianym barze piętrzyły się sterty moich wypracowań szkolnych, dzienniczki, kasety, między nimi zaś leżał zbiorek wierszy Cwietajewej, który otworzyłem. Znów ujrzałem tę cholerną dedykację:

*Dla Vinki.
Pragnę być duszą bez ciała,
by móc zawsze przy Tobie tkwić.
Kochać Cię, wielbić Cię – to żyć.
Alexis*

Zacząłem kartkować książkę, najpierw z roztargnieniem, potem dokładniej. Nosiła tytuł *Do przyjaciółki* i nie była, jak myślałem, zbiorem wierszy. Tekst upstrzony został przez Vincę albo osobę, która jej to ofiarowała, odręcznymi notatkami. Jedno z podkreślonych zdań zwróciło moją uwagę: *Jedyny problem w inaczej doskonałym związku dwóch kochających się kobiet to nie tyle potrzeba mężczyzny, ile potrzeba posiadania dziecka.*

W doskonałym związku dwóch kochających się kobiet...

Przysiadłem i czytałem dalej.

Dwie kochające się kobiety... Wspaniale napisany na początku lat trzydziestych tekst wychwalał miłość między kobietami. Nie był to żaden manifest, raczej pełna niepokoju refleksja na temat niemożności spłodzenia dziecka w takim związku.

Wreszcie zrozumiałem!

Vinca kochała kobiety. A w każdym razie jedną konkretną kobietę, Alexis. To imię mogło odnosić się do obu płci. We Francji nadawane prawie zawsze mężczyznom, w krajach anglosaskich częściej kobietom. Odkrycie to znowu wytrąciło mnie z równowagi, poza tym bałem się kolejnej pomyłki.

Ktoś zadzwonił do bramy. Przekonany, że to ojciec, odblokowałem zamek i wyszedłem na taras. Zamiast ojca zobaczyłem szczupłego chłopaka o delikatnych rysach i intrygująco przejrzystym spojrzeniu.

– Corentin Meirieu, asystent pana Pianellego – przedstawił się hipster, zsiadając z roweru.

Zdjął kask i potrząsając rudą czupryną, oparł o mur dziwne bambusowe urządzenie ze skórzanym siodełkiem na sprężynach.

– Moje kondolencje! – powiedział ze smutną miną, spod gęstej brody, zdecydowanie niepasującej do jego młodego wyglądu.

Zaprosiłem go do domu i zaproponowałem kawę.

– Z przyjemnością, jeśli ma pan coś innego niż kapsułki – odparł.

Poszedł za mną do kuchni i obejrzał dokładnie paczkę mielonej kawy leżącą obok kawiarki.

– Mam coś dla pana! – oznajmił, klepiąc się po kieszeni.

Gdy przygotowywałem kawę, Corentin Meirieu usiadł i wyjął dokumenty pełne odręcznych komentarzy. Stawiając przed nim parującą filiżankę, zauważyłem, że ma w torbie pierwszą stronę drugiego wydania „Nice-Matin” – fotografia nadmorskiej ścieżki przekreślona była wielkim tytułem STRACH NAD MIASTEM.

– Namęczyłem się trochę, ale mam informacje co do forsy na przebudowę liceum! – odezwał się.

Usiadłem naprzeciwko i skinieniem głowy zachęciłem go do dalszych wynurzeń.

– Miał pan rację: koszt prac budowlanych w Saint-Ex w całości pokrywa niedawno otrzymana ogromna darowizna.

– Niedawno, to znaczy kiedy?

– Na początku roku.

Kilka dni po śmierci Francisa.

– Kto jest darczyńcą? Rodzina Vinki Rockwell?

Przyszło mi do głowy, że może Alastair Rockwell, dziadek Vinki, który nigdy nie zaakceptował zaginięcia wnuczki, zorganizował jakąś pośmiertną zemstę...

– Absolutnie nie! – zaprotestował Meirieu, wrzucając do kawy kostkę cukru.

– W takim razie kto?

Chłopak zajrzał do notatek.

– Amerykańska fundacja kulturalna Hutchinson & DeVille.

Z początku nic mi to nie mówiło. Meirieu jednym haustem wypił kawę.

– Fundacja, jak sama nazwa wskazuje, założona została przez dwie rodziny – wyjaśnił. – Hutchinsonowie i DeVille’owie dorobili się majątku po wojnie, otwierając w Kalifornii firmę brokerską, posiadającą dziś setki przedstawicielstw na terenie całych Stanów... Fundacja wspiera kulturę i sztukę. Finansuje głównie działalność szkół, uniwersytetów i muzeów: UCLA, MoMA w San Francisco, muzeum sztuki hrabstwa Los Angeles...

Podciągnął wąskie rękawy przylegającej do ciała koszuli dżinsowej, wyglądającej jak druga skóra, i dalej pracowicie odcyfrowywał swoje notatki.

– Podczas ostatniego posiedzenia zarządu poddano pod głosowanie niezwykłą propozycję pierwszej inwestycji poza granicami Stanów Zjednoczonych.

– Chodziło o rozbudowę i modernizację liceum Saint-Exupéry’ego? – spytałem.

– Właśnie. Dyskusja była ożywiona, projekt interesujący, ale zawierał dziwactwa, na przykład wielką promenadę nad jeziorem, Anielski Ogród czy coś w tym rodzaju...

– Stéphane mówił o jakimś ogromnym rozarium?

– Tak, tak. Zamiarem autora projektu było stworzenie miejsca poświęconego pamięci Vinki Rockwell.

– Przecież to absurd! W jaki sposób fundacja mogła zgodzić się na coś tak szalonego?

– Większość członków zarządu była przeciw, ale jedną z rodzin reprezentuje tylko spadkobierczyni, osoba słaba psychicznie. Zarząd nie ma do niej zaufania. Niestety, statutowo przypada jej tak duża liczba głosów, że bez problemu przepchnęła swoją propozycję.

Przetarłem oczy. Nic z tego nie rozumiałem, ale czułem, że rozwiązanie jest tuż-tuż. Wstałem i poszedłem po plecak. Musiałem coś sprawdzić. Wyjąłem szkolny album, kronikę z roku 1992/1993. Zacząłem przerzucać strony.

– Spadkobierczyni, która ma całkowitą władzę nad fundacją Hutchinson & DeVille, nazywa się Alexis Charlotte DeVille – oznajmił Meirieu. – Myślę, że pan ją zna. Uczyła w Saint-Ex w pańskich czasach.

Alexis DeVille... Ta urocza profesorka literatury angielskiej...

Zatkało mnie. Stałem wpatrzony w zdjęcie pani profesor DeVille. Nawet w kronice jej imiona znikają pod inicjałami A.C. W końcu znalazłem Alexis! Morderczynię mojej matki, morderczynię Francisa! Tę, która próbowała zabić Maxime'a! I tę, która spowodowała zgubę Vinki.

– Regularnie odwiedzała Lazurowe Wybrzeże, aż w końcu zdecydowała się tu mieszkać przez sześć miesięcy w roku – sprecyzował Meirieu. – Kupiła zabytkową posiadłość Villa Fitzgerald na Cap d'Antibes. Zna pan to miejsce?

Wypadłem na dwór, zapominając, że nie mam samochodu. Wahalem się – może podprowadzić rower dziennikarzowi – ale zamiast tego zbiegłem przez garaż do piwnicy i wyciągnąłem spod plastikowej plandeki mój stary motorower Peugeot 103. Wsiadłem na niego i jak za szkolnych czasów usiłowałem odpalić z pedału.

Ale w piwnicy było zimno, wilgotno i nienasmarowany silnik nie chciał zaskoczyć. Znalazłem pudło z narzędziami, zdjąłem nakładkę i wykręciłem świecę. Była czarna i brudna. Jak setki razy, gdy jeździłem motorowerem do szkoły, przetarłem ją szmatą i papierem ściernym i wkręciłem z powrotem. Wracały stare odruchy. Ukryte głęboko wspomnienia z lat nie tak dawnych, kiedy życie wydawało mi się pełne obietnic.

Jeszcze raz spróbowałem ruszyć. Było trochę lepiej, ale silnik gasł na wolnych obrotach. Przesunąłem stopkę w tył, wskoczyłem na siodelko i zacząłem zjeżdżać z górki. Silnik krztusił się, w końcu zaskoczył. Jechałem, modląc się, aby maszyna wytrzymała te kilka kilometrów. Przecież nie musiałem zwalniać.

Richard

Straszne sceny z innego świata kotłują mi się pod czaszką. Koszmar. Zakrwawiona, zmiądzona twarz mojej żony... Piękna twarz Annabelle zmieniona w krwawą miazgę.

Nazywam się Richard Degalais. Jestem zmęczony, wyczerpany.

Jeśli życie jest wojną, przeżyłem nie tylko ciężki atak wroga, ale też piekło w okopach istnienia. W tej najboleśniej z bitew zmuszono mnie do bezwarunkowej kapitulacji.

Stoję bez ruchu w salonie pośród unoszących się w powietrzu złotych drobin kurzu. Dom jest pusty i zawsze już taki będzie. Trudno się z tym pogodzić. Straciłem Annabelle. Kiedy to się stało? Kilka godzin temu na plaży na Cap d'Antibes? Kilka czy kilkadziesiąt lat temu? Czy też raczej nigdy jej nie straciłem, ponieważ nigdy nie była moja...

Jak zahipnotyzowany patrzę na rewolwer na stole przede mną. Nie wiem, skąd się tu wziął. Smith & wesson z drewnianą rękojeścią, czasem widuje się je na starych filmach. Magazynek jest pełen: pięć naboju kalibru .38. Ważę broń w ręce, czuję ciężar stalowego szkieletu. Broń przyzywa mnie. Rozwiązanie oczywiste, żeby pozbyć się wszystkich problemów. Na chwilę perspektywa śmierci przynosi mi ulgę. Zniknie czterdzieści lat dziwnego związku, gdy żyłem obok kobiety, której nie rozumiałem... Która mówiła, że kocha mnie na swój sposób, co oznaczało, że mnie nie kocha.

Myślę, że Annabelle wyłącznie mnie tolerowała, ale i tak było to lepsze niż nic. Żyjąc z nią, cierpiałem, lecz życie bez niej by mnie zabiło. Łączył nas tajemny pakt, przez który wszyscy brali mnie za niewiernego męża – byłem nim, trudno zaprzeczyć – lecz

dzięki któremu plotkarze i ciekawscy trzymali się od nas z daleka. Nikt ani nic nie miało wpływu na Annabelle. Była inna niż wszystkie kobiety, nie podlegała normom, uciekała od konwenansów. Fascynowała mnie jej niezależność. W końcu kocha się w partnerze przede wszystkim jego tajemnice. Kochałem ją, choć jej serce nie było do wzięcia. Kochałem ją, ale nie udało mi się jej uratować.

Przykładam lufę do skroni. Czuję w płucach orzeźwiające powietrze. Zaraz... Kto umieścił tę broń na mojej drodze? Może Thomas? Syn, który nie jest moim synem? Dziecko, które mnie nigdy nie kochało? Zamykam oczy i widzę jego buzię, napływają dziesiątki wspomnień z okresu, kiedy był malutki. Obrazy cudowne i bolesne. Cudowne, bo jestem oczarowany tym inteligentnym, ciekawym wszystkiego i zadziwiająco posłusznym dzieckiem. Bolesne przez świadomość, że to nie ja jestem ojcem.

No, naciśnij spust, jeśli jesteś prawdziwym mężczyzną!

Waham się, ale nie z powodu strachu. Z powodu Mozarta. Trzy dźwięki harfy i oboju. Esemes od Annabelle. Podskakuję! Odkładam broń i rzucam się do telefonu. „Richard, sprawdź pocztę. A.”

Wiadomość rzeczywiście przyszła w tym momencie z telefonu Annabelle. Ale to niemożliwe – ona nie żyje, a jej komórka została w domu. Jedyne wyjaśnienie: musiała przed śmiercią zaprogramować wysłanie tego esemesa.

„Richard, sprawdź pocztę. A.”

Pocztę? Jaką pocztę? Sprawdzam maile na telefonie, lecz nic nie przykuwa mojej uwagi. Wychodzę i betonową alejką zmierzam do skrzynki pocztowej. W środku widzę reklamy restauracji dostarczających sushi do domu oraz grubą, błękitną kopertę, przypominającą naszą miłosną korespondencję sprzed wielu, wielu lat. Otwieram ją. Nie ma znaczka. Może Annabelle włożyła ją tu sama wczoraj po południu, a może, co bardziej prawdopodobne, przyniósł ją goniec. Czytam pierwsze zdanie: *Richardzie, jeśli czytasz ten list, to znaczy, że Alexis DeVille mnie zabiła.*

Dotarcie do końca trzech stron zabiera mi mnóstwo czasu. Jestem poruszony, wstrząśnięty! To pośmiertne wyznania Annabelle i jednocześnie list miłosny, zakończony zdaniem: *Teraz los naszej rodziny spoczywa w Twoich rękach. Jesteś ostatnim, który ma siłę i odwagę, aby opiekować się naszym synem i go uratować.*

Noc i dziewczyna

*W końcu uzyskaliśmy elementy
układanki, choćbyśmy nie
wiadomo jak kombinowali,
zawsze pozostawały luki (...) jak
kraje, których nie potrafiliśmy
nazwać.*

Jeffrey Eugenides

1

Motorower w końcu wyzionął ducha. Pedalowałem jak szalony, z początku na stojąco. Zupełnie jakbym wjeżdżał pod Mont Ventoux obciążony balastem pięćdziesięciu kilogramów.

Villa Fitzgerald przy bulwarze Bacon na obrzeżach Cap d'Antibes wyglądała od ulicy jak bunkier. Mimo nazwy nigdy nie gościła pod swoim dachem amerykańskiego pisarza, ale legendy mają długie życie, nie tylko zresztą na Lazurowym Wybrzeżu. Pięćdziesiąt metrów przed punktem docelowym zostawiłem motorower na chodniku i przeskoczyłem przez nadbrzeżną balustradę. W tym miejscu tutejsze plaże z jasnego piasku zmieniały się w trudno dostępny, skalisty brzeg. Pokonanie urwistego, wyrzeźbionego przez mistral stoku, często pionowo wpadającego do morza, było ryzykowne – mogłem sobie złamać kark – ale chciałem dostać się do willi od tyłu.

Kiedy to się udało, zrobiłem kilka kroków po wywoskowanym betonie, którym obudowany był basen – długi, błękitny prostokąt połączony schodkami wyciętymi w skale z nabrzeżem i małym pomostem. Cały dom stał na skale i miał własny dostęp do morza. Był jedną z nowoczesnych budowli powstałych w szalonych latach dwudziestych, gdy styl śródziemnomorski uległ wpływom secesji. Białą, geometryczną fasadę zwieńczono płaskim dachem, na którym urządzono taras zasłonięty pergolą. O tej porze dnia niebo i morze tworzyły jasnoniebieską nieskończoność.

Pod arkadami mieścił się letni salon. Podszedłem krużgankiem do wielkich oszklonych drzwi – były uchylone. Wślizgnąłem się do środka.

Z wyjątkiem widoku na morski bezkres – w Nowym Jorku miałem widok na rzekę Hudson – ogromne pomieszczenie przypominało trochę mój loft w TriBeCe. Urządzone minimalistycznie, podkreślało wagę każdego szczegółu. Takie wnętrza reklamowano w pismach ilustrowanych albo na blogach pouczających, jak dekorować dom. W bibliotece stały książki podobne do moich, świadczące o przynależności do tej samej kultury: klasycznej, humanistycznej, międzynarodowej.

Królował tu podejrzany porządek, widać było, że mieszkańcy nie mają dzieci. Smutny chłód mało przytulnego wnętrza pozbawionego podstawowego źródła życia: dziecięcych śmiechów, pluszowych zabawek, porozrzucanych klocków Lego, okruchów pod stołem...

– Widzę, że w pańskiej rodzinie wszyscy rzucają się w paszczę lwa? – usłyszałem.

Odwrociłem głowę. Dziesięć metrów ode mnie stała Alexis DeVille. Widziałem ją już wczoraj podczas uroczystości pięćdziesięciolecia szkoły. Ubrana skromnie – dżinsy, koszulowa bluzka w paski, sweter w serek, converse’y – należała do ludzi, którzy zawsze wyglądają dystyngowanie. Towarzyszyły jej trzy brytany: doberman z przyciętymi uszami, rudy amstaff i rottweiler z płaskim pyskiem.

Na widok psów zeszywniałem. Żałowałem, że nie mam przy sobie niczego, czym mógłbym się obronić. Wyszedłem, a właściwie wybiegłem z domu bez zastanowienia, wściekły. No i przecież moją bronią był umysł. Tak przynajmniej utrzymywał Jean-Christophe Graff. Wystarczyło jednak uświadomić sobie, co Alexis DeVille zrobiła mamie, Francisowi i Maxime'owi, by zrozumieć, że w tym przypadku popełniłem błąd.

Teraz, gdy odkryłem prawdę, czułem się bezradny. W gruncie rzeczy czego mógłbym się jeszcze dowiedzieć od Alexis DeVille? Jeśli w ogóle można zrozumieć cokolwiek z uczucia miłości... Łatwo było wyobrazić sobie wzajemne olśnienie tych dwóch inteligentnych, wolnych i pięknych kobiet. Porozumienie intelektualne, upojenie miłosne, dreszcz przy przekraczaniu granic... Nawet jeśli było to dla mnie krępujące, niewiele różniliśmy się od siebie z Alexis DeVille. Dwadzieścia pięć lat temu zakochaliśmy się w tej samej dziewczynie i to cholerne uczucie męczyło nas do tej pory.

Alexis DeVille... Wysoka, szczupła. Koczek. Gładka skóra, po której trudno było ocenić wiek. Zdecydowanie czuła się panią sytuacji. Psy nie spuszczały ze mnie wzroku, a ona kapryśnie odwróciła się do mnie plecami i patrzyła na zdjęcia na ścianach. Słynne seksowne zdjęcia Vinki, o których mówił Dalanegra, te, w których fotograf przeszedł samego siebie: doskonale uchwycił niepokojącą, cudną urodę Vinki, ulotność młodości. „Róża przeżyła to, co przeżywają róże...”

2

Postanowiłem przejść do ataku.

– Wmawia sobie pani, że wciąż kocha Vincę. To nieprawda. Nie zabija się tych, których się kocha.

DeVille oderwała się na chwilę od zdjęć i popatrzyła na mnie zimno, z pogardą.

– Mogłabym z łatwością użyć argumentu, że czasem odebranie komuś życia jest największym przejawem miłości. Ale tu nie o to chodzi. To nie ja zabiłam Vincę, pan ją zabił.

– Ja?

– Pan, pańska matka, Fanny, Francis Biancardini, jego syn... W mniejszym czy większym stopniu wszyscy jesteście odpowiedzialni. Wszyscy jesteście winni.

– Ahmed to pani powiedział?

Przybliżyła się do mnie, a za nią brytany. Pomyślałem o Hekate, greckiej bogini ciemności, zawsze w towarzystwie sfory wyjących do księżyca psów. Hekate, władczyni nocy i czarów, ukrytych pragnień, mrocznych instynktów... Pani najciemniejszych, najniebezpieczniejszych zakątków wyobraźni mężczyzn i kobiet.

– Mimo zeznań świadków nigdy nie wierzyłam, że Vinca uciekła z tym typem! – zdenerwowała się Alexis. – Całe lata szukałam prawdy. Okrucieństwo losu sprawiło, że gdy już zrezygnowałam, rozwiązanie dosłownie podsunęto mi pod nos.

Psy coraz bardziej się mną interesowały, powarkiwały w moim kierunku. Wpadłem w panikę. Widok cerberów mnie paraliżował. Próbowałem nie patrzeć im w oczy, ale i bez tego z pewnością wyczuwały mój lęk.

– To było jakieś siedem miesięcy temu, może trochę więcej... – powiedziała Alexis. – W dziale warzyw i owoców w supermarkecie. Robiłam zakupy i wpadłam na Ahmeda, który mnie poznał. Chciał porozmawiać. Tej nocy, gdy zmarła Vinca, Francis kazał mu przenieść jej rzeczy i dokładnie wysprzątać pokój, żeby zatrzeć ślady, które ewentualnie mogłyby was zdemaskować. Sprawdzając kieszenie jednego z płaszczy, trafił na list i zdjęcie. On jeden od samego początku rozumiał, że Alexis to byłam ja. Przez dwadzieścia pięć lat trzymał język za zębami, idiota!

Była niby spokojna, ale widziałem, że wewnątrz trzęsie się ze złości.

– Ahmed potrzebował pieniędzy, chciał wrócić do siebie, a ja z kolei chciałam poznać te informacje. Za pięć tysięcy euro wyśpiewał mi wszystko: o dwóch ciałach zamurowanych w hali sportowej, o okropnej, krwawej nocy grudniowej w dziewięćdziesiątym drugim, o waszej bezkarności...

– Nie wystarczy powtórzyć jakiejś historii kilka razy, żeby stała się prawdziwa. Tylko jedna osoba jest odpowiedzialna za śmierć Vinki: pani! Winien zbrodni jest nie zawsze ten, kto trzymał broń. Dobrze pani o tym wie!

Po raz pierwszy twarz Alexis DeVille wykrzywiła się w grymasie złości. Trzy cerbery, jakby na niemy rozkaz bogini, okrążyły mnie. Spociłem się jak mysz. Strach zwyciężył. Przeważnie w trudnych sytuacjach udawało mi się zachować spokój; tłumaczyłem sobie zawsze, że mój lęk jest irracjonalny i przesadzony. Ale te psy wyglądały dziko i okrutnie i najwyraźniej wytresowano je do ataku. Mimo to ciągnąłem:

– Pamiętam panią dobrze z tamtych czasów... Bił od pani magnetyzm, otaczała specyficzna aura! Uczniowie panią uwielbiali, już nie mówiąc o mnie! Młoda, zaledwie trzydziestoletnia profesorka, błyskotliwa, inteligentna, piękna, która nas szanowała i umiała zmusić do pracy. Wszystkie dziewczyny z klas humanistycznych chciały upodobnić się do pani! Była pani symbolem wolności, niezależności! A dla mnie stanowiła pani dowód zwycięstwa inteligencji nad miernością świata. Była pani kobiecym odpowiednikiem Jeana-Christophe'a Graffa i...

Słyszając nazwisko mojego profesora, Alexis DeVille zaśmiała się złowieszczo.

– Ha! Ten biedny Graff! Taki sam kretyń jak wszyscy, tyle że wykształcony! On też niczego się nie domyślił. Przez całe lata smalił do mnie cholewki! Pisał wiersze, płomienne listy! Idealizował mnie, tak jak pan Vincę. To zresztą charakterystyczne dla mężczyzn waszego pokroju. Niby kochacie kobiety, ale ani ich nie znacie, ani nie staracie się poznać. Nie

słuchacie nas, nie chcecie nas wysłuchać. Jesteśmy dla was abstrakcją, przedmiotem romantycznych snów!

Tu przytoczyła opis procesu, który Stendhal w jednej ze swoich prac nazwał krystalizacją miłosną: *Z chwilą gdy zaczynacie zajmować się kobietą, widzicie ją już nie taką, jaka jest, ale taką jaką chcecie widzieć.*

Nie mogłem dopuścić, by wyłgała się intelektualnymi unikami. Wiedziałem, że zniszczyła Vincę, i chciałem, żeby się do tego przyznała.

– Myli się pani, bardzo dobrze znałem Vincę. A w każdym razie Vincę z czasów, zanim spotkała panią. Nie przypominam sobie, żeby piła czy faszerowała się lekarstwami. Zrobiła pani wszystko, żeby uzależnić ją od siebie psychicznie, i udało się to pani całkowicie. Zresztą Vinca była łatwą zdobyczą: młoda, egzaltowana dziewczyna, która odkryła przyjemność, namiętność...

– Ach, uważa pan, że ją zdemoralizowałam?

– Sądzę, że pchnęła ją pani w stronę narkotyków i alkoholu, bo w stanie oszołomienia nie była zdolna logicznie myśleć i łatwiej się nią kierowało.

Molosy wystawiły kły i otarły się o mnie, obwąchując moje dłonie. Doberman przyssał się pyskiem do mojego uda. Musiałem się wycofać aż do kanapy.

– Faktycznie, pchnęłam ją w ramiona pańskiego ojca. To była jedyna droga, żebyśmy miały dziecko.

– Z was dwóch tego dziecka pragnęła tylko pani!

– Nie! Vinca też go chciała!

– W taki sposób? Wątpię.

Alexis DeVille poczerwieniała ze złości.

– Nie ma pan prawa nas osądzać! – wykrzyknęła. – Dziś każdy przyjmuje bez oporów, a często nawet z szacunkiem, fakt, że dwie żyjące razem kobiety pragną mieć dziecko. Zmieniła się mentalność społeczna, zmieniły się prawa, nauka poszła do przodu. Na początku lat dziewięćdziesiątych to było nie do przyjęcia.

– Miała pani pieniądze, można było to zrobić inaczej.

– Właśnie że nie miałam! – wrzasnęła. – Moja rodzina tylko z pozoru jest postępową. W rzeczywistości to nietolerancyjni ludzie bez serca, hipokryci i tchórze. Zawsze potępiali mój styl bycia i upodobania seksualne. Zablokowali mi dostęp do pieniędzy. Dzięki pomysłowi z pańskim ojcem za jednym zamachem załatwiłyśmy dwie sprawy: i dziecko, i forszę.

Nasza rozmowa nie miała sensu. Każde upierało się przy swoim. Byliśmy winni i niewinni, byliśmy równocześnie ofiarami i katami. Może po prostu należało pogodzić się z faktem, że w 1992 roku w liceum Saint-Exupéry’ego uczyła się fascynująca dziewczyna, dla której każdy tracił głowę? Dlaczego? Bo w jej towarzystwie zniknęło odwieczne pytanie, jakie stawiamy sobie wszyscy: Co zrobić, żeby przebrnąć przez noc?

3

W powietrzu wisiało napięcie. Trzy brytany zepchnęły mnie pod ścianę i okrążyły, dysząc triumfalnie. Czułem, że to koniec. Serce waliło mi jak młot, mokra od potu koszula przykleiła się do pleców, patrzyłem śmierci w oczy. Wystarczył jeden gest, jedno słowo Alexis DeVille, żebym zginął. Najwyraźniej taki miał być koniec moich poszukiwań: zabić lub zginąć samemu. Jednak mimo strachu usta mi się nie zamykały:

– Mogła pani zaadoptować dziecko albo sama zająć w ciążę...

Alexis DeVille niczym jakaś fanatyczka groźnie zbliżyła palec wskazujący do mojej twarzy.

– Nie! Ja chciałam dziecko Vinki! Dziecko z jej genami, doskonale tak jak ona, mające jej wdzięk, jej urodę! To dziecko miało być przedłużeniem naszej miłości.

– Wiem, że doktor Rubens dawał pani recepty na flunitrazepam, którym faszrowała pani Vincę. Co to za miłość, która doprowadza ukochaną istotę do lekomanii?

– Ty wstrętny, mały...

Zaczął jej brakować słów. Ledwo panowała nad agresywnymi psami. Poczułem ucisk w piersiach i klucie w sercu. Zakręciło mi się w głowie. Staralem się nie zwracać na to uwagi. Jeszcze bardziej przykręciłem śrubę.

– Wie pani, co mi Vinca powiedziała tuż przed śmiercią? „To wszystko Alexis, nie chciałam z nim iść do łóżka”. Przez dwadzieścia pięć lat rozumiałem to zdanie opacznie, przez co zginął człowiek. Ale dziś wiem, co Vinca miała na myśli: „Alexis DeVille zmusiła mnie, żebym przespała się z twoim ojcem, ja tego nie chciałam!”.

Oddychałem z trudem i cały się trząsałem. Miałem wrażenie, że jedyne, co mógłbym zrobić, żeby ten koszmar się zakończył, to rozdziwić się.

– Vinca zmarła w pełni świadoma, jaką wstrętną była pani osobą! Tysiące Anielskich Ogrodów tego nie odkupi!

Pijana wściekłością Alexis DeVille podjudziła psy do ataku.

Pierwszy rzucił się na mnie amstaf. Był tak silny, że upadłem. Upadając, głową uderzyłem najpierw o ścianę, a potem o kant metalowego krzesła. Poczułem, jak kły brytana szukają mojej tętnicy. Staralem się go odepchnąć ze wszystkich sił.

Strzały były trzy. Pierwszy załatwił psa wgrzyzającego się w moją szyję oraz spłoszył pozostałe. Dwa następne usłyszałem, leżąc oszołomiony. Gdy doszedłem do siebie, zobaczyłem, że Alexis DeVille zwała się na podłogę przed kominkiem w rozbryzganej krwi. Popatrzyłem na oszklone drzwi i spostrzegłem niewyraźną sylwetkę ojca.

– Wszystko w porządku, Thomas! – usiłował mnie uspokoić tonem, który pamiętałem z dzieciństwa.

Tak pocieszał mnie, kiedy miałem sześć lat i budziły mnie w nocy straszne sny. Nie zadrżała mu ręka, w której ścisnął drewnianą rękojeść smitha & wessona Francisa Biancardiniego!

Pomógł mi wstać, pilnując, żeby nie wróciły rzucić się na nas dwa pozostałe molosy. Kiedy dotknął mi dłonią ramienia, poczułem się jak sześciolatek z moich wspomnień. Pomyślałem o tym ginącym rodzaju ludzi z pokolenia mego ojca

i ojca Maxime'a. Facetach trudnych, szorstkich, z systemem wartości z innej epoki. Teraz wyśmiewano się z nich, uważano tych męskich, honorowych mężczyzn za śmiesznych, niemodnych. Ale ja byłem szczęśliwy, że dwa razy spotkałem ich na mojej drodze, gdyż nie wahali się zabrudzić rąk, żeby uratować mi życie, nawet jeśli musieli za to zapłacić rozlewem krwi.

Epilog
A GDY MINEŁA NOC...

Przekleństwo posłusznych

Dni po śmierci Alexis DeVille i aresztowaniu ojca były najdziwniejszym okresem w moim życiu. Każdego ranka spodziewałem się, że śledztwo doprowadzi do powtórnego otwarcia umorzonego przed laty dochodzenia w sprawie zaginięcia Vinki i Clémenta. Tymczasem ojciec, siedząc w areszcie, po mistrzowsku zażegnał niebezpieczeństwo. Oznajmił, że od kilku miesięcy miał romans z Alexis DeVille. Żona to odkryła, wzięła z domu strzelbę i udała się do jego kochanki, która czując się zagrożona, zabiła mamę we własnej obronie, a następnie zginęła z rąk ojca. Scenariusz był logiczny. Zachowanie każdej z osób uzasadnione. A przede wszystkim ojciec przekonująco wyjaśnił, że były to zbrodnie w afekcie. Adwokat ojca marzył o procesie. Okrucieństwo, z jakim Alexis DeVille zabiła moją matkę, problemy psychiczne bogatej Amerykanki, psy, którymi mnie poszczuła – wszystko kwalifikowało czyn ojca jako akt uzasadnionej zemsty i otwierało perspektywę może nie uniewinnienia, ale stosunkowo lekkiej kary. Fakt, że była to zbrodnia w afekcie, uniemożliwiał powiązanie tej sprawy z umorzonym śledztwem dotyczącym zniknięcia Vinki i Clémenta.

Dla mnie to było zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe.

*

Przez kilka tygodni byłem jednak przekonany, że szczęście będzie się nadal do nas uśmiechało. Maxime odzyskał przytomność i jego stan poprawiał się z dnia na dzień. W czerwcu został wybrany na deputowanego z okręgu

wyborczego Alpy Nadmorskie i w prasie pisano o nim czasami jako o ewentualnym kandydacie na stanowisko sekretarza stanu. Przez napad na niego teren wokół hali sportowej stał się miejscem dochodzenia, więc nowa budowa, a co za tym idzie wyburzanie hali, nie ruszyła w terminie. Później, kiedy rada nadzorcza fundacji Hutchinson & DeVille postanowiła, biorąc pod uwagę okoliczności, cofnąć dotację na przebudowę szkoły, prace odłożono na czas nieokreślony, a dyrekcja zmieniła strategię – podpierając się argumentami ekologicznymi i kulturalnymi, przedstawiciele zarządu Saint-Ex zaczęli podkreślać ryzyko, jakie wiązałoby się z modernizacją obszaru, będącego krajobrazem naturalnym, tak cenionym przez ciało pedagogiczne liceum.

*

Fanny odezwała się do mnie, jak tylko podano do wiadomości, że aresztowano mojego ojca. Spędziliśmy cały wieczór u wezłowania wciąż nieprzytomnego Maxime'a, wspominając przebieg nieszczęsnej nocy z 1992 roku. Wiadomość, że to nie ona zabiła Vincę, zmieniła jej życie. Wkrótce rozstała się z Thierrym Sénéca i skontaktowała się z kliniką leczenia niepłodności w Barcelonie, żeby poddać się procedurze sztucznego zapłodnienia. Maxime poczuł się lepiej i wpadaliśmy z Fanny na siebie, odwiedzając go w szpitalu.

Przez kilka dni wierzyłem, że ominie nas tragiczny los, na który skazały nas te dwa zamurowane ciała. Przez kilka dni wierzyłem, że zatriumfowaliśmy nad przekleństwem posłusznych.

Nie wziąłem pod uwagę zdrady tego, któremu głupio zaufałem: Stéphane'a Pianellego.

*

– Wiem, że nie sprawi ci to przyjemności, ale piszę książkę, w której będzie cała prawda o śmierci Vinki Rockwell – oznajmił mi ze spokojem któregoś wieczoru pod koniec czerwca, kiedy siedzieliśmy w pubie w starej części Antibes, gdzie zaprosił mnie na drinka.

– Jaka prawda?

– Jedna i jedyna! – rzekł niewzruszony. – Nasi współobywatele mają prawo wiedzieć, co się stało z Vincą Rockwell i Alexisem Clémentem. Rodzice uczniów Saint-Ex mają prawo wiedzieć, że zapisują swoje dzieci do szkoły, gdzie od dwudziestu pięciu lat zamurowane są zwłoki dwóch osób.

– Ależ, Stéphane, jeśli to zrobisz, pošlesz nas do więzienia, Fanny, Maxime’a i mnie!

– Prawda musi wyjść na jaw! – wyskandował, uderzając dłonią o bar, i wygłosił tyradę o jakiejś kasjerce, która straciła pracę, bo pomyliła się o kilka euro, i o nadmiernej tolerancji systemu sprawiedliwości wobec polityków i dyrektorów.

Następnie przeszedł do swojego ulubionego tematu walki klasowej, nazywając kapitalizm narzędziem, za pomocą którego akcjonariusze podporządkowują sobie masy. Zawracał nam tym głowę od matury.

– Słuchaj, Stéphane, co to ma z nami wspólnego?!

Pianelli rzucił mi prowokujące spojrzenie, w którym powaga mieszała się z triumfem. Jakby od samego początku czekał na ten moment. Po raz pierwszy poczułem, jak bardzo nienawidził wszystkiego, co reprezentowaliśmy z Maxime’em.

– Zabiliście dwie osoby, musicie za to zapłacić.

Wypiłem łyk piwa, starając się wyglądać obojętnie.

– Nie wierzę ci. Nigdy nie napiszesz takiej książki.

Wyjął wówczas z kieszeni grubą kopertę i wręczył mi ją. Była to umowa, którą podpisał z jakimś paryskim wydawnictwem na tekst zatytułowany: *Dziwna historia. Prawda o Vince Rockwell*.

– Nie dysponujesz żadnymi dowodami, mój biedaku. Ta książka skompromituje cię jako dziennikarza.

– Dowody są w hali sportowej. – Rozeźmiał się szyderczo. – Jak tylko książka wyjdzie, natychmiast zacznę wywierać presję na rodziców. Dyrekcja będzie zmuszona rozwalić ten mur.

– Oba morderstwa są przedawnione.

– Może, choć z prawnego punktu widzenia to kwestia do dyskusji. Ale zabójstwa twojej matki i Alexis DeVille przedawnione nie są. Kiedy sąd się do tego dobierze, połączy obie sprawy.

Znałem to jego wydawnictwo. Nie było specjalnie prestiżowe ani z ambicjami, miało jednak środki na poważną kampanię reklamową. Jeśli Pianelli faktycznie zrealizuje swój plan, będzie to katastrofa.

– Nie rozumiem, dlaczego chcesz naszej zguby, Stéphane! Dla chwili sławy? To do ciebie niepodobne.

– Wykonuję swoją pracę, to wszystko.

– Twoja praca polega na zdradzaniu przyjaciół?

– Daj spokój, moja praca to obowiązek bycia porządnym dziennikarzem, a poza tym nigdy nie byliśmy przyjaciółmi.

Przypomniała mi się bajka o skorpionie i żabie. „Dlaczego mnie użądliłeś?”, spytała żaba skorpion, kiedy płynęli środkiem rzeki. Przez ciebie oboje zginiemy... „Bo taka jest moja natura!”, odpowiedział skorpion.

Pianelli zamówił kolejne piwo i wbił swoje żądło jeszcze głębiej.

– To fascynująca historia! Rodzina Borgiów w wersji współczesnej! Zobaczysz, jeszcze Netflix zrobi z tego serial!

Patrzyłem, jak ten nadgorliwy dziennikarzyna cieszy się z perspektywy zniszczenia mojej rodziny, i miałem ochotę go zabić.

– Rozumiem teraz, dlaczego Céline od ciebie odeszła... – powiedziałem. – Jesteś zwykłą świnią, pętakiem...

Pianelli rzucił mi w twarz kufel z piwem, ale byłem od niego szybszy. Cofnąłem się i wymierzyłem dwa szybkie ciosy, jeden w twarz, drugi w brzuch. Zwalił się na kolana.

Gdy wychodziłem z baru, mój przeciwnik leżał na podłodze, ale przegrałem ja. Tym razem nikt nie stanął w mojej obronie.

Jean-Christophe

Antibes, 18 września 2002

Drogi Thomasie!

Odzywam się po długich miesiącach milczenia, żeby się pożegnać. Gdy mój list pokona Atlantyk, mnie już nie będzie na tym świecie.

Przedtem chciałbym pozdrowić Cię po raz ostatni. Powtórzyć, jak bardzo byłem szczęśliwy jako Twój nauczyciel, z jaką radością wspominam nasze dyskusje i chwile spędzone razem. Byłeś, Thomasie, najlepszym uczniem w całej mojej karierze. Nie najbłyskotliwszym, nie tym, który otrzymywał najlepsze stopnie, ale na pewno najszlachetniejszym, najwrażliwszym, najbardziej ludzkim i wykazującym najwięcej zainteresowania innymi.

Proszę, nie smuć się! Odchodzę, bo nie mam siły dłużej żyć. Nie z braku odwagi, po prostu poddano mnie zbyt ciężkiej próbie. Śmierć okazuje się jedynym honorowym wyjściem z tego piekła. Nawet przy wsparciu książek, moich wiernych towarzyszek, nie potrafię dłużej utrzymać głowy nad powierzchnią wody.

Mój dramat jest kompromitująco banalny, ale jego pospolitość nie zmniejsza bólu, jaki odczuwam. Przez całe lata kochałem w cichości ducha pewną kobietę. Nie śmiałem wyznać jej mego uczucia ze strachu, że mnie odrzuci. Bardzo długo moim jedynym szczęściem było patrzenie na nią z daleka, jej uśmiech, głos. Nasze porozumienie intelektualne, według mnie, nie miało sobie równych, a wrażenie, które czasem odnosiłem, że ona odwzajemnia moje uczucie, pomagało mi, gdy czułem się podle.

Przyznaję, że wracałem myślami do Twojej teorii przekleństwa posłusznych i naiwnie czekałem, żeby okazała się fałszywa, lecz życie mi się nie odwdzieczyło.

Ostatnio zrozumiałem, że moje uczucie pozostanie nieodwzajemnione i że obiekt mojej miłości jest kimś zupełnie innym, niż sobie to wyobrażałem. Najwyraźniej nie należę do tych, którzy umieją zmienić swój los.

Dbaj o siebie, drogi Thomasie, a przede wszystkim nie smuć się z mego powodu! Nie wiem, co Ci radzić, ale wybieraj właściwe bitwy! Niektóre należy pominąć, zwłaszcza gdy się jest samemu. Czasami warto negocjować i odnieść triumf tam, gdzie ja poległem. Zaangażuj się w innych, samotność zabija.

Życzę Ci szczęścia na przyszłość. Nie wątpię ani sekundy, że uda Ci się to, czego ja nie umiałem osiągnąć: znajdziesz bratnią duszę, w której towarzystwie łatwiej będzie stawić czoło życiowym burzom. Gdyż, tak jak mówił jeden z naszych ulubionych pisarzy, „nie ma nic gorszego niż samotność w tłumie”.

Nie dawaj za wygraną. Zachowaj to, co uczyniło Cię innym niż wszyscy. I uważaj na kretynów – bądź stoikiem. Nie zapomnij, że najlepszy sposób obrony to nie upodobnić się do nich.

Nawet jeśli mój los wydaje się sprzeczny z tym twierdzeniem, wciąż uważam, że słabości są naszą największą siłą.

*Całuję Cię serdecznie
Jean-Christophe Graff*

Oddział położniczy

Antibes, klinika Jeanne-d'Arc

9 października 1974

Francis Biancardini delikatnie uchylił drzwi pokoju. Było późne popołudnie, wielkie balkonowe okno wpuszczało do środka pomarańczowe błyski jesiennego słońca. Ciszę panującą na oddziale położniczym zakłócał jedynie daleki rejwach dzieci wychodzących ze szkół.

Francis niósł mnóstwo prezentów: pluszowego misia dla swojego synka Thomasa, bransoletkę dla Annabelle, dwie paczki herbatników i słoiczek konfitur z wiśni dla pielęgniarek, które się tak wspaniale nimi zajęły. Położył wszystko na stoliku, starając się nie obudzić ukochanej.

Gdy nachylił się nad kołyską, noworodek popatrzył na niego swymi nowiutkimi oczkami.

– Jak tam, maluszk?

Wziął dzieciątko w ramiona i usiadł na krześle, delektując się tym cudownym i trochę uroczystym momentem narodzin dziecka.

Czuł głęboką radość, a jednocześnie żal i bezradność. Annabelle nie wróci z kliniki do niego. Pojedzie do Richarda, swojego męża, oficjalnego ojca Thomasa. On, Francis, musi pogodzić się z tą okropną sytuacją. Annabelle, kobieta jego życia, była istotą wyjątkową. Kiedy się zakochała, postrzegała uczucie w sposób bardzo osobisty i zawsze stawiała je na pierwszym miejscu. W końcu przestał się upierać. O sile naszego związku stanowi jego tajemnica – przekonywała go. Gdyby wszyscy o nim wiedzieli, stałby się pospolity i stracił urok!

Francis znalazł sobie inne uzasadnienie: był zadowolony, że może ukryć przed potencjalnymi wrogami to, co ma w życiu najcenniejszego. Nie ma sensu odsłaniać przyłbicy, człowiek staje się bezbronny.

*

Francis westchnął. Ciągłe odgrywanie frajera było oczywiście maskaradą. Poza Annabelle nikt go właściwie nie znał. Nikt nie wiedział o drzemiącej w nim agresji, o popędzie śmierci, który sterował jego życiem. Wszystko zaczęło się w 1961 roku w Montaldicio, gdy miał kilkanaście lat. Letni wieczór, rynek, fontanna, podpita młodzież. Jeden z chłopaków przystawiał się nachalnie do Annabelle. Parokrotnie go odepchnęła, ale wciąż się do niej kleił. Z początku Francis nie reagował. Pijani byli od niego znacznie starsi, należeli do grupy malarzy i szklarzy z Turynu, którzy przyjechali naprawić szklarnie w jednej z miejscowych posiadłości. Po chwili, kiedy Francis zorientował się, że nikt nie zamierza pomóc Annabelle, grzecznie poprosił natręta, żeby się zmył. W tamtych czasach nie był zbyt wysoki i sprawiał mylne wrażenie mało ruchliwego. Faceci roześmiali się szyderczo. Francis złapał napastnika za gardło i przywalił mu pięścią w twarz. Był silny jak byk, a wściekłość dodała mu mocy. Po pierwszym ciosie nastąpił drugi, trzeci... Francis wpadł w trans. Nikt nie potrafił go powstrzymać, młody robotnik zwał się na ziemię. Od dzieciństwa Francis miał problemy z wysławianiem się, gdy chciał odezwać się do Annabelle, słowa więzły mu w gardle. Tamtego wieczoru zamiast słów użył pięści. Masakrując nieszczęśnika, mówił Annabelle: „Gdy będziesz ze mną, nikt nigdy cię nie skrzywdzi”.

Kiedy skończył, chłopak leżał nieprzytomny, z zakrwawioną twarzą i ustami pełnymi wybitych zębów.

Historia rozniosła się po okolicy nieprzyjemnym echem. Kilka dni później do wioski przyjechali karabinierzy, żeby przesłuchać Francisa, ale on już wyjechał do Francji.

Gdy po wielu latach spotkał Annabelle, podziękowała mu za to, że wówczas ją obronił. Właściwie zawsze się go bała. Mimo to zbliżyli się do siebie i Francis zapanował nad wewnętrzną wściekłością.

Kołysał synka w ramionach. Dziecko zasnęło. Złożył nieśmiały pocałunek na jego czole. Zapach malucha, słodki, upajający, wytrącił go kompletnie z równowagi. Przypomniały mu się świeże bułki i kwiat pomarańczy, które pachniały podobnie. Thomas był taki maleńki! Spokojna, śliczna twarzyczka była pełna obietnic na przyszłość. Ale ciało miał tak drobne...

Francis rozplakał się. Nie ze smutku, ale ponieważ przerażała go kruchość dziecka. Otarł łzę z policzka i z całą delikatnością, na jaką było go stać, odłożył Thomasa do łóżeczka, nie budząc go.

*

Wstał i rozsunął drzwi na balkon. Na zewnątrz wyciągnął z kieszeni kurtki paczkę gauloises'ów i zapalił. To będzie jego ostatni papieros, zdecydował. Teraz, gdy ma rodzinę, musi się oszczędzać. Przez ile czasu będzie potrzebny synom? Piętnaście, dwadzieścia lat? Całe życie? Wciągnął w płuca gorzki dym. Zamknął oczy i wystawił twarz na ostatnie promienie słońca przebijające przez gałęzie wielkiej lipy.

Narodziny Thomasa oznaczały wielką odpowiedzialność. Nie zamierzał się od niej uchylać.

Wychowanie dziecka, chronienie go to długotrwała walka. Trzeba zawsze być skupionym i czujnym. W każdej chwili może nastąpić najgorsze. Ale on da radę, jest solidny, twardy jak gład.

Szum zatoki wyrwał go z zamyślenia. Odwrócił się i zobaczył Annabelle. Uśmiechała się do niego. Gdy padła mu w ramiona, obawy i lęki znikły. Od wody wiał ciepły wiatr. Francis wiedział, że stawi czoło wszystkiemu, jak długo ona przy nim będzie. Siła jest niczym bez rozumu. Razem przewidzą każde niebezpieczeństwo.

Przewidzieć każde niebezpieczeństwo

Mimo zagrożenia książką Pianellogo Maxime, Fanny i ja zachowywaliśmy się jakby nigdy nic. Wyrośliśmy z wieku pełnego lęków, nie mieliśmy ochoty na dyskusje z przeciwnikiem ani usprawiedliwienia. Obiecaliśmy sobie tylko, że zawsze będziemy trzymać się razem.

Widywaliśmy się prawie codziennie, czekając na katastrofę, która być może miała nigdy nie nastąpić. Po cichu zresztą na to liczyłem.

Coś się we mnie zmieniło. Odzyskałem pewność siebie. Znikł gdzieś trawiący mnie od lat niepokój. Poznałem tajemnicę swoich narodzin, stałem się innym człowiekiem. Oczywiście było mi przykro, że dopiero śmierć pogodziła mnie z matką i że poczułem więź z ojcem dopiero, gdy go zaaresztowano. Miałem też żal do losu, że nie pozwolił mi porozmawiać z Francisem, kiedy już wiedziałem, kim był dla mnie naprawdę.

Historia moich trojga rodziców dawała mi do myślenia.

Każde z nich miało życie nie tylko pełne pasji i entuzjazmu, ale też pełne sprzeczności. Niekiedy brakowało im odwagi, a znowu kiedy indziej byli zdolni do nadludzkich, wspaniałych poświęceń. Kochali, lecz mogli zabić. To prawda, że dawali się ponieść emocjom, jednak z pewnością starali się robić wszystko jak najlepiej. Najlepiej unikać banalnych ścieżek, najlepiej godzić przygody z poczuciem odpowiedzialności, najlepiej odmieniać słowo „rodzina”, ale według zasad własnej gramatyki.

Fakt, że byłem ich dzieckiem, nie zmuszał mnie do naśladowania ich, raczej do chronienia tego dziedzictwa i zaakceptowania jego niektórych wskazówek.

Cóż, uczucia i natura ludzi są bardzo skomplikowane.

Życie nie idzie prostą drogą, często wchodzi na kręte ścieżki, gdzie podskórnymi wodami płyną pragnienia, których spełnienia wykluczają się wzajemnie.

Życie jest kruche, raz cenne, raz nic niewarte, raz zanurzone w lodowatych wodach osamotnienia, a raz w gorącym źródle miłości.

Przede wszystkim zaś nie mamy nad nim kontroli. Byle drobiazg może spowodować katastrofę. Wyszeptane słowo, błyszczące spojrzenie, zapraszający uśmiech – wszystko to może wnieść nas na szczyty albo strącić w przepaść.

I mimo tej niepewności udajemy, że panujemy nad chaosem, mając nieśmiałą nadzieję, że potknięcia naszych serc nie pokrzyżują tajemniczych planów Opatrzności.

*

Wieczorem czternastego lipca, aby uczcić wyjście Maxime'a ze szpitala, spotkaliśmy się wszyscy w domu moich rodziców. Olivier, Maxime, ich dwie córeczki, Fanny i nawet Pauline Delatour, która okazała się dziewczyną inteligentną i zabawną i z którą w końcu się dogadałem. Były befsztyki z grilla i hot dogi, żeby zrobić przyjemność dzieciom. Otworzyliśmy butelkę burgunda Nuits-Saint-Georges. Potem usiedliśmy na tarasie, żeby obejrzeć sztuczne ognie nad zatoką Antibes. Spektakl już się zaczął, gdy usłyszałem dzwonek przy bramie.

Zaświeciłem światło w ogrodzie i zszedłem alejką do wejścia. Za bramą stał Stéphane Pianelli. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Włosy miał długie, niezadbaną brodę, oczy podkrążone i czerwone.

– Czego chcesz, Stéphane?

– Cześć, Thomas! – Śmierdział alkoholem na odległość. – Wpuścisz mnie? – spytał, chwytając się żelaznych prętów.

Nieotwarta przeze mnie brama symbolizowała barierę, która rozdzieliła nas na zawsze. Pianelli okazał się zdrajcą, nigdy nie będzie jednym z nas.

– Odpierdol się, Stéphane!

– Mam dla ciebie dobrą nowinę, pisarzu. Nie zrobię ci konkurencji, z mojej książki nici!

Wyjął z kieszeni złożoną na czworo kartkę i podał mi przez pręty.

– Twoja matka i ten Francis to były niezłe skurwysyny! – rzucił. – Całe szczęście, że wpadłem na ten artykuł! Alebym wyszedł na kretyna!

Rozłożyłem kartkę. Wokół huczały petardy i błyskały sztuczne ognie. Pianelli dał mi ksero artykułu z „Nice-Matin”, z dwudziestego ósmego grudnia 1997 roku. Pięć lat po dramacie.

Wandalizm i zniszczenia w liceum Saint-Exupéry’ego

W wigilię Bożego Narodzenia na terenie kampusu Sophii Antipolis dokonano aktów wandalizmu. Największym zniszczeniom uległa hala sportowa liceum międzynarodowego.

Rozmiar szkód oceniła rankiem 25 grudnia dyrektorka klas przygotowawczych, Annabelle Degalais. Wszystkie ściany hali sportowej pomazano graffiti i wulgarnymi hasłami. Wandale wybili szyby, zniszczyli gaśnicę i drzwi do szatni.

Dyrektorka złożyła skargę na policji. Chuligani nie należeli do szkolnej społeczności.

Wszczęto śledztwo i przeprowadzono wstępne dochodzenie. W oczekiwaniu na dalszy ciąg dyrekcja szkoły postanowiła odnowić zniszczoną halę, aby ta mogła przyjąć uczniów już po feriach, 5 stycznia.

Claude Angevin

W artykule zamieszczono dwa zdjęcia. Na podstawie pierwszego można było samemu ocenić skalę zniszczeń w hali sportowej: wulgarnie napisy i rysunki na ścianach, gaśnica rzucona na ziemię, powybijane okna.

– Nikt nigdy nie znajdzie ciał Vinki i Clémenta! – wykrzyczał wściekły Pianelli. – Zresztą to było jasne... Twoja matka i ojciec Maxime’a byli zbyt inteligentni i wyrachowani, żeby się nie zabezpieczyć. Powiem ci coś, pisarzu. Ty i ci twoi przyjaciele powinniście podziękować rodzicom, że wyciągnęli was z tego gówna.

Na drugim zdjęciu ujrzałem mamę. W eleganckim kostiumie, z założonymi rękami, kamienną twarzą i włosami spiętymi w koczek. Za nią stał potężny Francis Biancardini w swojej niezniszczalnej skórzanej kurtce. W jednej dłoni trzymał kielnię, w drugiej dłuto.

No tak, jasne! W 1997 roku, pięć lat po morderstwach i kilka miesięcy przed ustąpieniem mamy ze stanowiska dyrektorki, postanowili wywieźć ciała z hali sportowej. Nie można było żyć z tym mieczem Damoklesa nad głową. Spowodowali zniszczenia, żeby uzasadnić remont, który odbył się podczas ferii Bożego Narodzenia, jedyne okresu, gdy szkoła była pusta. Doskonale warunki dla Francisa – tym razem już bez pomocy Ahmeda mógł spokojnie wywieźć ciała i pozbyć się ich definitywnie.

Pomyśleć, że tak strasznie baliśmy się zdemaskowania, a tymczasem ciał nie było na terenie szkoły już od dwudziestu lat!

Oszołomiony, znów popatrzyłem na Francisa, którego przenikliwe spojrzenie przewiercało fotografa na wskroś, a wraz z fotografem wszystkich, którzy znaleźli się kiedykolwiek na jego drodze. Stalowy, trochę pyszałkowaty wzrok mówił: „Nie boję się nikogo, przewidzę każde niebezpieczeństwo”.

Pianelli poszedł sobie bez dalszych dyskusji, a ja powoli wróciłem do domu, do przyjaciół. Potrzebowałem dłuższej chwili, żeby uświadomić sobie, że nic nam już nie grozi. Na tarasie jeszcze raz przeczytałem artykuł. Przyjrzałem się uważnie zdjęciu matki. Trzymała w ręce pęk kluczy. Pewnie do tej cholernej hali sportowej.

Klucze do przeszłości otworzyły przede mną przyszłość.

Przywilej pisarza

*Pisze się nie po to, żeby zostać
pisarzem. Pisze się po to, aby
w ciszy odnaleźć tę miłość, której
brak w każdej miłości.*

Christian Bobin

Przede mną leży długopis za trzydzieści centów i notatnik w kratkę. Od zawsze to moja jedyna broń.

Siedzę w bibliotece liceum, na moim dawnym miejscu, w małej wnęce, której okno wychodzi na brukowany dziedziniec i fontannę zarośniętą bluszczem. Sala biblioteczna pachnie pastą do podłogi i stopioną świecą. Na półkach za moimi plecami kurzą się stare tomy antologii literatury francuskiej Lagarde'a i Micharda.

Gdy Zélie poszła na emeryturę, dyrekcja liceum postanowiła nazwać moim imieniem budynek, w którym mieściło się kółko teatralne. Odmówiłem i zaproponowałem nazwisko Jeana-Christophe'a Graffa. Ale zgodziłem się napisać i wygłosić krótką przemowę inauguracyjną.

Zdejmuję skuwkę z długopisu i zaczynam notować. Całe życie piszę. Piszę, aby wznosić mury i otwierać w nich furtki. Mury, żeby ograniczyć okrutną codzienność, a furtki, żeby móc wymknąć się do innego świata – tam gdzie rzeczywistość nie jest taka, jaka jest, ale taka, jaka powinna być.

To nie zawsze działa, ale zdarza się, że przez kilka godzin fikcja jest silniejsza od rzeczywistości. Może to przywilej

artystów w ogóle, a pisarzy w szczególności – wygrać czasem tę walkę.

Piszę, skreślam, piszę... Rośnie sterta pokrytych maczkiem stron. Powoli powstaje inna historia. Inna wersja pamiętnej nocy w 1992 roku, z dziewiętnastego na dwudziestego grudnia.

Wyobraźcie sobie... Śnieg, zimno, ciemno. Ojciec Maxime'a wraca do pokoju Vinki, żeby zabrać ciało i je zamurować. Podchodzi do ciepłego łóżka. Podnosi dziewczynę jednym ruchem, jest silny jak byk, niesie ją jak księżniczkę. Ale nie idą do wspaniałego pałacu. Idą do ponurej, zimnej hali, gdzie trwa budowa i czuć mokry beton. Ojciec Maxime'a jest sam ze swymi duchami, tymi dobrymi i tymi złymi. Ahmeda odesłał do domu. Składa ciało Vinki na przygotowanej wcześniej planecie. Zapala wszystkie lampy. Jak zahipnotyzowany patrzy na nią i nie może sobie wyobrazić, że ma ją zalać cementem. Kilka godzin wcześniej pozbył się w ten sposób ciała Alexisa Clémenta i wtedy się nie wahał. Teraz sytuacja się zmieniła. Jest mu ciężko. Spogląda na dziewczynę znów, podchodzi i zarzuca na nią koc, jakby w obawie, że się przeziębii. Przez chwilę wyobraża sobie, że ona żyje. Łzy płyną mu po policzkach. Wzruszony, prawie widzi unoszącą się w oddechu pierś.

Boże! Ona naprawdę oddycha!

Cholera jasna! Jak to możliwe? Przecież Annabelle trzasnęła ją w głowę żeliwnym posążkiem! Dziewczyna była nafaszerowana lekami i alkoholem! To prawda, że środki uspokajające spowalniają pracę serca... Ale przed chwilą sprawdzał jej puls i go nie wyczuł. Znów się schyla i przykładą ucho do piersi Vinki. Słyszy bicie serca! To w tym momencie dla niego najpiękniejsza muzyka.

Francis wie, że nigdy nie dobiłby dziewczyny. To wykluczone. Podnosi ją i niesie do samochodu. Kładzie na tylnym siedzeniu i rusza w kierunku gór Mercantour, do domku myśliwskiego. Nocuje tam, kiedy jedzie na polowanie. Zwykle dojazd trwa dwie godziny, ale teraz są korki i zajmuje mu to dwa razy dłużej. Gdy

wreszcie dociera w góry, kładzie Vincę na kanapie, rozpala w kominku, przynosi drewno i nastawia wodę.

Wszystko już przemyślał. Jeśli mała się obudzi, pomoże jej zniknąć, pomoże zacząć wszystko od nowa. Inny kraj, inna tożsamość, inne życie. Jak w programie ochrony świadków, tyle że bez współpracy z agencjami rządowymi. Poprosi o pomoc kogoś z mafii kalabryjskiej, 'Ndranghety, która od pewnego czasu stara się o jego względy. Chcą, żeby ułatwił im pranie pieniędzy. Pomogą mu ewakuować Vincę. Wie, że to ryzykowne rozwiązanie, zwłaszcza dla niego, ale lubi myśleć, że życie stawia przed człowiekiem jedynie te przeszkody, na których pokonanie go stać. Dobro ściąga zło, zło ściąga dobro. Taki jego los.

Przygotowuje sobie kubek kawy, siada na krześle i czeka. I Vinca w końcu otwiera oczy.

Mijają dni, miesiące i lata. Gdzieś na świecie młoda kobieta, która zostawiła za sobą spaloną ziemię, buduje nowe życie. Rodzi się drugi raz.

*

A więc Vinca żyje.

*

To moja wersja tej historii. Opiera się na zebranych przeze mnie ogromnym materiale. Rzeczywiście podejrzewano ojca Maxime'a o związki z mafią, faktycznie z jego konta płynęły pieniądze do Nowego Jorku, naprawdę widziałem Vincę na Manhattanie.

Lubię myśleć, że to prawda. Nawet jeśli szansa, że wydarzenia potoczyły się w ten sposób, jest jedna na tysiąc, nie można odrzucić tej wersji. To jest mój wkład, wkład pisarza, w sprawę Vinki Rockwell.

Kończę pisanie, zbieram rzeczy i wychodzę z biblioteki. Żółte liście fruwać na wietrze w jesiennym słońcu. Czuję się dobrze, strach znika. Nawet przed sądem czy zrujnowany będę miał na podorędziu stary długopis z pogryzioną skuwką i zmięty notes. Moja jedyna broń. Śmieszna i wszechmocna. Jedyna, która zawsze pozwalała mi przebrnąć przez noc.

Co jest fikcją, co – prawdą

Z Nowym Jorkiem łączy mnie prawdziwa miłość, dlatego akcję moich pierwszych powieści umieszczałem głównie w USA. Z czasem zatęskniłem za Francją. Od dawna nosiłem się z zamiarem wprowadzenia moich bohaterów w świat mojego dzieciństwa – urodziłem się i wychowałem na Lazurowym Wybrzeżu, a najwięcej wspomnień z tamtych lat mam z Antibes.

Sama ochota jednak nie wystarczy. Pisanie powieści to proces delikatny, skomplikowany i kapryśny. Właściwy moment nadszedł, gdy zacząłem pisać o sparaliżowanym przez śnieg kampusie i o dorosłych ściganych przez pamięć młodzieńczych lat. W ten sposób tłem *Zjazdu absolwentów* zostało południe Francji. Sprawilo mi ogromną przyjemność obserwowanie tych miejsc przez pryzmat dwóch różnych epok.

Wydarzenia opisane w powieści są całkowitą fikcją, życie narratora nie ma nic wspólnego z losami autora. Przeżycia Thomasa są przeżyciami Thomasa, kropka. Sceneria tu przedstawiona oczywiście istnieje – droga Suquette, „Nice-Matin”, kafejka Les Arcades, szpital Fontonne – ale została poddana pracy mojej wyobraźni. Gimnazjum i liceum Thomasa, jego profesorowie, bliscy i przyjaciele to osoby zmyślane, zupełnie inne niż te z mojej młodości. No i oczywiście zapewniam was, że nie zamurowałem nikogo w ścianie hali sportowej...

Źródła cytatów

Strona 13: tekst Matthiasa Claudiusa *Śmierć i dziewczyna*; jego transkrypcja muzyczna została wykorzystana przez Franza Schuberta w drugiej części kwartetu smyczkowego d-moll nr 14; strona 23: *Forever Young* – tytuł płyty zespołu Alphaville: Bernhard Lloyd, Marian Gold i Frank Mertens, WEA – Warner Music Group, 1984; strona 25: Haruki Murakami, *1Q84*, t. I, *Kwiecień–Czerwiec*, przeł. Anna Zielińska-Elliott, Warszawa 2010; strona 32: George Orwell, *1984*, przeł. Juliusz Mieroszewski, Paryż 1979; strona 36: Odpowiedź Antona Ego w filmie *Ratatuj*, reż. Brad Bird, USA 2007; strona 42: Jean-Jacques Goldman, *Puisque tu pars*, EPIC Sony Music Entertainment, 1988; strona 42: Mylène Farmer, *Pourvu qu’elles soient douces*, Polygram Music, 1988; strona 46: „Living is easy with eyes closed”, cytat z piosenki Johna Lennona i Paula McCartneya *Strawberry Fields Forever*, płyta *Magical Mystery Tour*, The Beatles, EMI, 1967; strona 55: P.D. James, *Nie dla kobiety*, przeł. Barbara Kopeć, Warszawa 1995; strona 64: Albert Camus, *Obcy*, przeł. Maria Zenowicz, Warszawa 1995; strona 82: Równanie: © Jean-Louis Rouget, maths-france.fr, 2014; strona 82: Władimir Nabokow, *Maszeńka*, przeł. Eugenia Siemaszkiewicz, Warszawa 1993; strona 97: Françoise Sagan, *Des bleus à l’âme*, Paris 1972; strona 109: Jesse Kellerman, *Les visages*, przeł. Julie Sibony, Paris 2009 [oryg.: *The Genius*, New York 2008]; strona 114: Henri Cartier-Bresson, *Images à la Sauvette*, Paris 1952; strona 121: Tennessee Williams, *Le train de l’aube ne s’arrête pas ici*, w: tegoż, *Théâtre*, t. IV, przeł. Michel Arnaud i Matthieu Galey, Paris 1972 [oryg.: *The Milk Train Doesn’t Stop Here Anymore. A Play*, London 1964]; strona 136:

Hervé Bazin z okazji ukazania się powieści autobiograficznej *Żmija w garści*; strona 143: List Juliette Drouet do Victora Hugo z 30 czerwca 1837 roku; strona 145: François de Malherbe, *Consolation à M. Du Périer sur la mort de sa fille* [1607], w: *Œuvres poétiques de Malherbe*, oprac. Prosper Blanchemain, Paris 1897; strona 148: Roger Martin du Gard, *Jean Barois*, Paris 1913; strona 149: Patricia Highsmith, *Znajomi z pociągu*, przeł. Anna Bronaczowa, Warszawa 2003; strona 155: Sean Lorenz, *Dig Up the Hatchet* (pamiętacie tę postać z *Apartamentu w Paryżu?*); strona 167: Richard Avedon, źródło nieznane; strona 184: Patrick Süskind, *Pachnidło*, przeł. Małgorzata Łukasiewicz, Poznań 1998; strona 197: Sigmund Freud, *Objaśnianie marzeń sennych*, przeł. Robert Reszke, Warszawa 2015; strona 207: Anthony Burgess, *Les puissances des ténèbres*, przeł. Georges Belmont i Hortense Chabrier, Paris 1981 [oryg.: *Earthly Powers*, London 1980]; strona 229: Friedrich Nietzsche, w powieści Stéphane'a Zagdanskiego *Chaos brûlant*, Paris 2012; strona 231: Jack London, *Martin Eden*, przeł. Zygmunt Glinka, Warszawa 1990; strona 252: Marek Aureliusz, *Rozmyślenia*, przeł. Marian Reiter, Kęty 2001; strona 266: René Char, *Moulin premier*, w: *Le Marteau sans Maître suivi de Moulin premier*, Paris 2002; strona 272: Alain-Fournier, *Mój przyjaciel Meaulnes*, przeł. Anna Iwaszkiewicz, Poznań 2014; strona 273: Marina Cwietajewa, *Mon frère féminin. Lettre à l'Amazone*, Paris 1979; strona 281: Jeffrey Eugenides, *Samobójczynie*, przeł. Tomasz Bieroń, Poznań 1993; strona 286: Stendhal, *O miłości*, przeł. Tadeusz Boy-Żeleński, Warszawa 1957; strona 303: Stefan Zweig, *List od nieznajomej*, w: *24 godziny z życia kobiety*, przeł. Maria Wisłowska, Warszawa 1958; strona 310: Christian Bobin, *La part manquante*, Paris 1989; strona 313: Denis Diderot, *Kubuś Fatalista i jego pan*, przeł. Tadeusz Boy-Żeleński, Warszawa 2018.

Przypisy

- ¹ General Carlo Alberto Dalla Chiesa, prefekt Palermo, walczył z mafią. Został zamordowany kilka miesięcy po objęciu stanowiska, razem z żoną i ochroniarzem. W jego postać wcielił się Lino Ventura w filmie *Sto dni w Palermo*.